

Ł U K A S Z

MALINOWSKI

# Skald



**R**OWAL SŁÓW

**TOM 2**

Ł U K A S Z  
M A L I N O W S K I

# Skaldy

Ꞥ O W A L S Ł Ó W      T O M 2

INSTYTUT  
WYDAWNICZY ERICA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Opowieść o szaleństwie 3

Księga III: Wykupienie głowy

Opowieść o szaleństwie 4

Epilog, a może prolog

Dodatki od autora:

    Alego opisanie świata

    Słowniczek nazw własnych, terminów i trudnych wyrażeń

Przypisy

Redakcja: ARTUR SZREJTER  
Korekta: DOROTA RING  
Mapy: MICHAŁ SZWAGUŁIŃSKI  
Projekt okładki: Dark Crayon / PIOTR CIEŚLIŃSKI  
Skład: TOMASZ WOJTANOWICZ

Copyright © by Łukasz Malinowski, 2015  
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2015  
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-64185-95-3

Instytut Wydawniczy ERICA  
e-mail: [wydawnictwoerica@wp.pl](mailto:wydawnictwoerica@wp.pl)  
[www.WydawnictwoErica.pl](http://www.WydawnictwoErica.pl)  
Oficjalny sklep [www.tetraErica.pl](http://www.tetraErica.pl)

Odwiedź Ainara Skalda w sieci:  
[ainarskald.pl](http://ainarskald.pl)  
[facebook.com/AinarSkald](https://facebook.com/AinarSkald)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Dotychczas w cyklu „Skald” ukazały się książki:

„Skald. Karmiciel kruków”

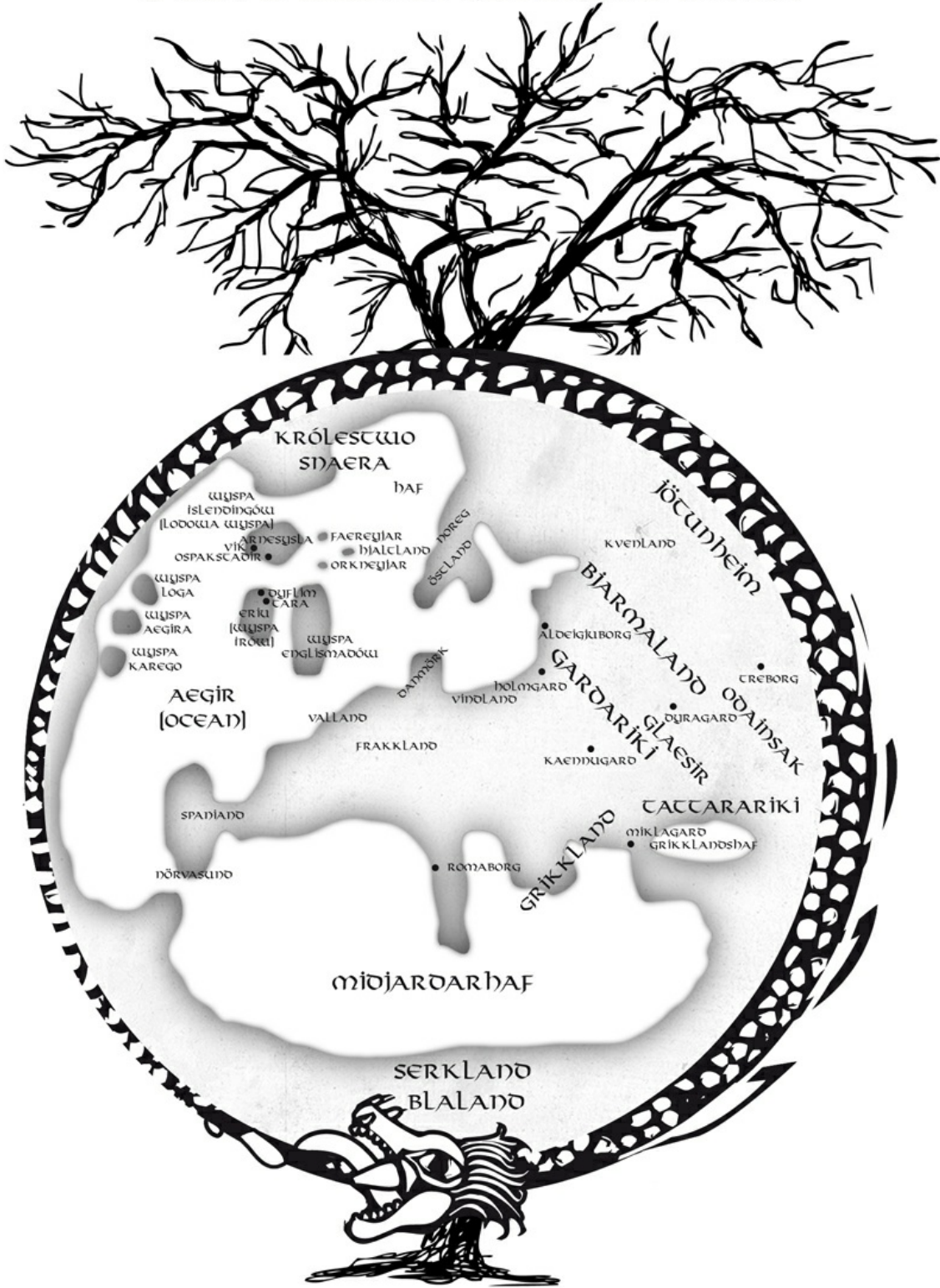
„Skald. Kowal słów, tom 1”

„Skald. Kowal słów, tom 2”

Kolejne tomy w przygotowaniu.



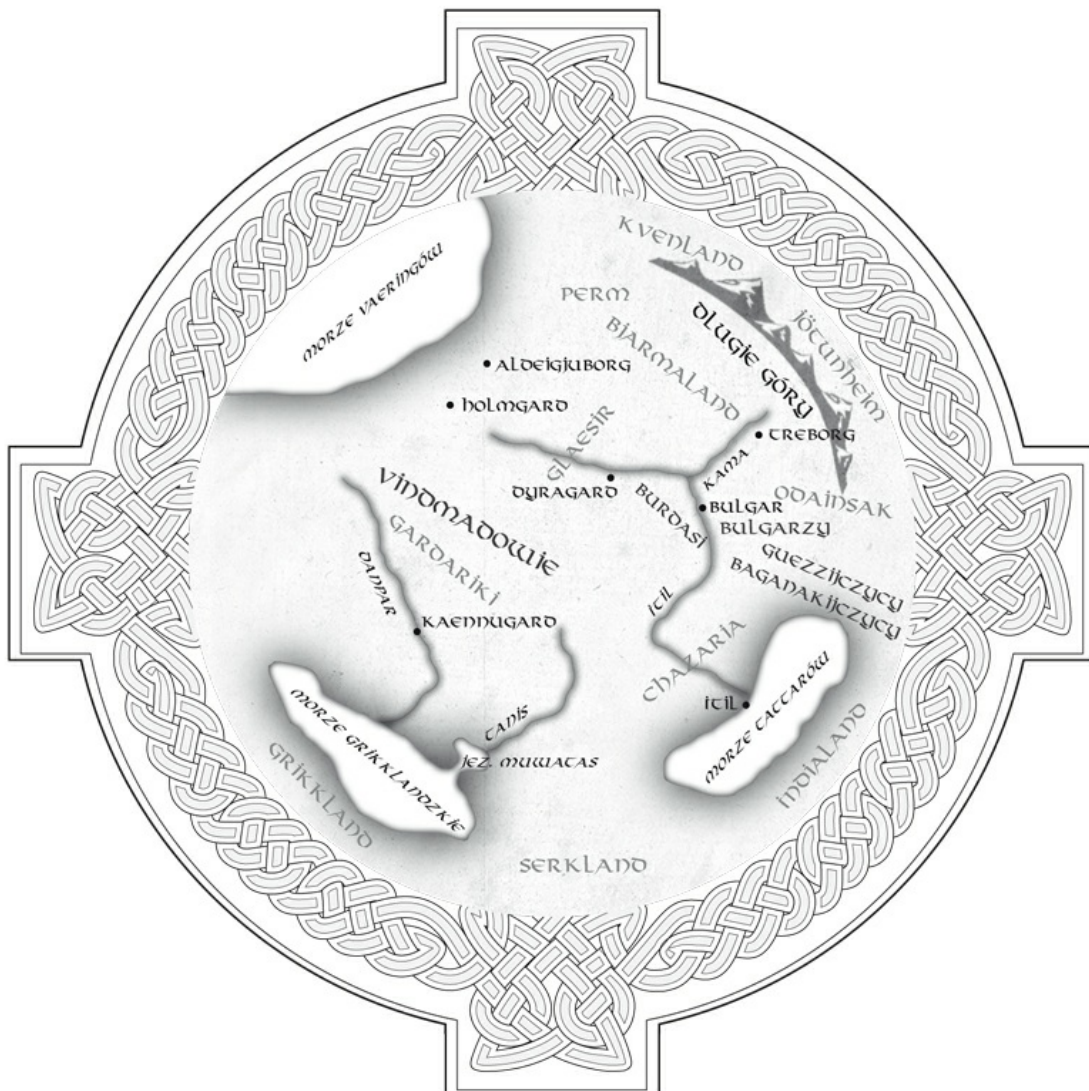
MAPA AINARA SKALDA  
Z OK. 940 ROKU PO NARODZENIU KRISTA





# MAPA WSCHODNICH KRAJÓW

SPORZĄDZONA PRZEZ FINŁOGA BARDA 957 LAT PO NARODZENIU KRISTA  
NA PODSTAWIE RELACJI Z PODRÓŻY AINARA SKALDA





# Opowieść o szaleństwie 3

Vaering<sup>[1]</sup> rzeźbił, opiekun paleniska nadal przypiekał sobie pięty, a młodzieniec stojący na jednej nodze mówił:

– Jest taka stara opowieść hamramirów o rysiu i sarnie. Pewnego razu kot był głodny. Upolował więc sarnę i ją zjadł. Innym razem nie był jednak głodny i tylko zabił sarnę.

Więzień popatrzył na mówiącego, czekając na ciąg dalszy opowieści. Ten jednak nie nastąpił.

– Porywająca historia.

– Nie rozumiesz? Prawdziwy drapieżnik zabija, bo może, a nie dlatego, że musi, aby przeżyć. Taki właśnie powinien być szalony wojownik.

– Niezwykłe odkrycie. A jak niby się domyśliłeś, że szalony wojownik postępuje wbrew rozumowi?

– Śmiech jest dobry, tak jak i szyderstwo, otwiera bowiem drzwi prowadzące do szaleństwa. Mam dla ciebie jeszcze jedną opowieść hamramirów. Pewien ojciec stracił żonę i córkę. Obie zostały zgwałcone, pobite i pocięte na kawałki przez włóczędzów. Mężczyzna wpadł w gniew i pałając chęcią zemsty, zaczął tropić morderców. Przemierzył za nimi góry i lasy, ale z każdym krokiem jego wściekłość była nieco słabsza, a kiedy odnalazł ich po dziesięciu latach wędrówki, nie czuł już złości, a tylko obowiązek dokonania zemsty. Wtedy się dowiedział, że włóczędzy przestali być banitami i założyli własne rodziny. Mieli żony, synów i córki. Stali się poważanymi ludźmi. Mężczyzna zakradł się do domu jednego z nich, ale okazał się słaby. Widząc śpiącą rodzinę, zapłakał, przypominając sobie własną, i nie mógł wypełnić obowiązku. Udał się więc do lasu, zawstydzony swoim tchórzostwem. Wędrował po dziczy

przez kolejnych dziesięć lat, rozpaczając i użalając się nad straconym życiem. Został skogarmadem i przywdział korowy płaszcz. Jego ciało zarosło włosami, a twarz zniknęła pod brodą. Gdy spotykał jakiegoś bartnika, ten uciekał z krzykiem, nie będąc pewnym, czy ma do czynienia z człowiekiem czy bestią. Mimo upływu tych wszystkich lat leśny człowiek nie potrafił zapomnieć o swojej hańbie. Pewnego jesiennego wieczoru natknął się na ogromnego niedźwiedzia i wziął się z nim za bary, walcząc o jaskinię na gawrę. Mężczyzna nie był ułomkiem, a lata spędzone w lesie na miodzie i dziczyźnie tylko dodały mu tężyzny. Byłby nawet zwyciężył, gdyby wspomnienie własnego tchórzostwa nie odebrało mu werwy i nie przywołało łez do oczu. Niedźwiedź, zdziwiony jego zachowaniem, znalazł drogę do jego umysłu i zapytał samą myślą, nie używając słów, dlaczego płacze. Skogarmad odpowiedział, że nie może spełnić przysięgi złożonej na mogile żony i córki, która zobowiązywała go do dokonania krwawej zemsty. Zwierzę nie rozumiało, jak w tak silnym wojowniku może zamieszkiwać słaby duch, ale zgodziło się pomóc człowiekowi. „Pożyczę ci moją skórę” – zaproponowało. Dreng ściągnął więc nożem futro miłośnika miodu i okrył się nim. Wiedział już, co powinien zrobić. Wrócił do chaty pierwszego mordercy i zabił dawnego banitę, jego żonę, syna, córkę i wnuki. Następnie odnalazł domostwa pozostałych włóczęgów i dokonał w nich takiej samej rzezi. W ten sposób po dwudziestu latach dopełnił zemsty. Ludzie mówili, że później zabijał pod postacią wielkiego misia, bo żaden człowiek nie byłby zdolny do takiego bestialstwa.

Księga III  
WYKUPIENIE  
GŁOWY

## 26

Loch był mały i ciemny. Dziura na odchody w prawym górnym rogu, twarde siennik przy lewej ścianie. Wzdłuż dawało się zrobić dwa kroki, wszerek tylko półtora. Nawet siedząc na posłaniu, można było trafić strumieniem moczu wprost do dziury.

Jeść dawano raz dziennie. Rzadka polewka z grzybami musiała również wystarczyć za napitek.

Nocami bywało chłodno, a w ciemnicy nie było nawet szmaty, by się otulić.

Smród, ciasnota, pragnienie, głód i ziąb były jednak nikłymi katuszami. Najgorsze było to, że w piwnicy znajdowało się okno.

Otwór umiejscowiony był niemal przy suficie. Dałoby się precyzyjnie przez niego głowę, gdyby nie znajdujący się pośrodku żelazny pręt. Okno przypominało o wolności, o świecie, który został więźniowi odebrany. Z zewnątrz dobiegały odgłosy bawiących się dzieci, narzekania kobiet i pokrzykiwania drengów, przywołując wspomnienia kłopotów dnia codziennego, ale również sławy i chwały, które można zdobyć na polu bitwy.

Oczywiście okno dawało też nadzieję. Ale tylko tym, którzy mogli liczyć na łaskę uwolnienia i marzyć, że jasny świat zostanie im przywrócony. Jednak dla tych, którzy słońce mieli ujrzeć dopiero w dniu egzekucji, otwór w ścianie był przekleństwem.

Miał też tę przekłątą właściwość, że tak samo jak dawało się przez niego wyrzucić i wyrzucić coś na zewnątrz, można było przez niego zajrzeć i coś wrzucić. Nawet w bogatym Dyragardzie, gdzie wiele się działo, dręczenie więźnia było uznawane za dobrą zabawę, zwłaszcza że skazańcem był

słynny Ainar Skald. Pyszałek, który jeszcze do niedawna przechadzał się po grodzie w swoim szykownym czerwonym kyrtilu. Odwiedzano go zatem często, przestrzegając zasady odgórnego kopa – wszystkie otrzymane z góry szykany i upokorzenia były ze zdwojoną siłą przekazywane w dół, aż lądowały na tyłkach największych zakał grodu, czyli więźniów.

Wodospad moczu wpadający do lochu o wschodzie słońca był czymś zwykłym, podobnie jak plwociny i zwierzęce odchody w okolicach południa.

Więzień dzień w dzień doświadczał *skömm*, hańby, jaką mężczyzna ściągał na siebie poprzez nieczne postępowanie. Dla Ainara nie było gorszej rzeczy, hańba ta niszczyła bowiem *tign* – honor wojownika, na który karmiciel kruków pracował przez całe życie – i tłumiła blask *tírr*, sławy drenga.

Skald nie uważał, że postępował w sposób haniebny, niczego zatem nie żałował, a przez to nie uznawał, by zasłużył na udręki. Ale co z tego? *Skömm* był piętnem, jakie mogli mu nadać tylko inni – opinia zhańbionego się nie liczyła. W powszechnym mniemaniu każdy, kto popadł w niesławę, zasługiwał na nią i wszystko wskazywało na to, że Ainarowi przyjdzie w niej zginąć. Kilka dni temu pilnujący lochu *vardkarl* przekazał więźniowi, że z Treborga wyruszyła armia, co oznaczało, że *Glaesir* i *Odainsak* znalazły się w stanie wojny. Dwa dni później ten sam strażnik oznajmił, że egzekucja Ainara została przesądzona.

Pieśniarz nie przejął się nowinami. Przeżył trzydzieści sześć lat – znacznie dłużej niż większość drengów. Nigdy nie bał się śmierci i zawsze starał się szydzić z jej nieudolnych przymiarek do odebrania mu życia. Wyzywał ją, dawał mrocznej pani po pysku i wystawiał pierś na jej ciosy, ale jak dotąd nie umiała porządnie nadziać go na włócznię. Los każdego jest wyszyty na płótnie przeznaczenia i dnia swojej śmierci nie można zmienić, nieważne jak bardzo dreng naraża się podczas bitwy. A Skald był przekonany, że dzień jego śmierci jest jeszcze odległy. Którejś nocy powiedział mu o tym draug.

W lochu nasiliły się jego kłopoty ze wzrokiem. Wprawdzie tutaj nie miał



wiele rzeczy do oglądania poza rozmywającymi się w półmroku ścianami i plamą jasności wpadającą co rano przez okno, ale i tak zaczynał się tym martwić. Nie chciał skończyć jako starzec potykający się o własne nogi. Wolał przebić się mieczem, niż pozostawać na czyjejś łasce.

Nie był małym dzieckiem, żeby bać się ciemności, ale też nie wyczekiwał nocy z utęsknieniem. Tym bardziej że ostatnio rzadko spędzał je w samotności. Odwiedzał go draug, nieumarły. Za życia nazywał się Brian, a po śmierci zmienił w upiora, którego kował słów zgładził szesnaście lat temu na Lodowej Wyspie. Ainar nie wiedział, czy działo się to na jawie, czy nawiedzała go tylko senna mara, stworzona przez udręczony umysł. Widmo nic do niego nie mówiło i tylko stało w rogu celi, uśmiechając się trupimi ustami i wpatrując się w niego martwymi oczami. Ale choć milczało, Skald dobrze wiedział, o czym chciało mu przypomnieć.

Nienawiść, nie miłość, jest mu przeznaczona,  
lubą jego będzie cudza żona.

Tęsknota za słońcem, za swą ukochaną  
przekleństwem poety, klątwą się staną.

Klątwa lub przepowiednia, a może jedno i drugie. Słowa wypowiedziane przez drauga wiele lat temu wyryły się w pamięci Östmada. I pozostawiły niezachwianą pewność, że nawet gdyby przyszło mu żyć trzy razy dłużej niż innym ludziom, nie umknie przeznaczeniu. Zimne, niebieskie oczy widma przypominały mu o tęsknocie i lęku, jakie będą mu towarzyszyć przez długie, długie lata. I nie uratuje go byle stryczek.

„Słowa dobre, ale do straszenia dzieci” – ciągle sobie powtarzał. Z pewnością nie była to strofa warta zapamiętania. Miała dziwną miarę, rymowane wersy i brakowało jej aliteracji. Nie mówiąc już o bzdurnym znaczeniu. Jego lubą ma zostać cudza żona? Też pomysł. Od lat gustował w mężatkach, które wiele dają, nie żądając nic w zamian. Miałyby się zdecydować na jedną? A ta cała tęsknota za słońcem? Miałyby marzyć o spiekocie? Tylko nienawiść wydawała mu się sensowna, choć mało

odkrywcza, bo widział ktoś drenga, który podczas bitwy kieruje się miłością?

Mściwy trup nie był jednak jego jedynym nocnym zmartwieniem. Wciąż powracał sen, w którym pływał w morzu krwi, a naga kobieta chciała go utopić. Tkwiło w tej wizji coś przerażającego, ale i podniecającego. Mściwa disa kogoś mu przypominała, ale za każdym razem gdy próbował dojrzeć jej twarz – czerwoną od juchy – dziewczyna zanurzała jego głowę we krwi. I wtedy budził się spocony. We śnie obserwowały go też rozbiegane i różnokolorowe oczy karła, a gdy w bezdechu walczył o życie, słyszał jego szaleńczy chichot. To jeszcze bardziej utwierdzało poetę w przekonaniu, że Mödul ma coś wspólnego z jego kłopotami. Dlatego w pierwszej wolnej chwili zamierzał odwiedzić pokurcza.

Nie winił siebie za nieszczęście, w które wpadł, ale przyznawał, że pozwolił wrogom na zbyt dużo. Oj, nie pomagał swojej fylgji, która dbała o jego pomyślność. I aż sam się prosił, by pijane norny plątały wzór na tkanej przez siebie tkaninie jego życia. Odkąd w Holmgardzie odnalazł go Ali, pieśniarz ciągle dostawał się do niewoli, nadstawiając tyłek na kopniaki od losu. Nawet jego zmijowa hamingja powinna się obrazić, że wciąż bezczelnie polega na niej, swoim szczęściu, i odpełznąć, aby szukać mieszkania u innego przedstawiciela człowieczego rodu. Z pewnością u każdego miałyby mniej roboty. Ainar był jednak Skaldem i oczekiwał, że wszyscy podporządkują się rytmowi, jaki wymyślał w pieśniach. Zaklinał więc oba swoje opiekuńcze duchy, żądając, by wyciągnęły go z więzienia.

O poranku dnia nie wiadomo dokładnie którego, choć przynajmniej trzy tygodnie po uwięzieniu, fylgja, hamingja, a nawet stare niedowidzące norny w końcu zrobiły, co do nich należało. W celi pojawił się wąsaty Igor Dirowicz, dowódca gardarikańskich najemników kagana Tirusa, i oznajmił:

– Szczęście cię nie opuszcza, Skaldzie.

Vaering podniósł się, usiadł na posłaniu i powitał gościa szczerym uśmiechem. Polubił tego bezpośredniego junaka, choć męskim zwyczajem rzadko to okazywał.

– A co? – Zaniósł się kaszlem. Dawno już nie przemawiał i sam się

zdziwił, jak cicho i niewyraźnie mówi. Głód, pragnienie i niedoleczone rany odebrały mu siły. – Tirus Wielki dorósł i zrozumiał swoją głupotę?

– Mały kagan ma wielki rozum. Nie przebywam długo w Dyragardzie, ale już się o tym przekonałem. Nigdy nie postępuje pochopnie i we wszystkim, co robi, ma jakiś cel. Teraz postanowił dać ci ostatnią możliwość uratowania głowy.

– Och. A tak się cieszyłem ze spotkania ze smokami. Niewiele tych stworzeń zostało na ziemi i szkoda by było przepuścić taką okazję.

– Jeszcze możesz z niej skorzystać. Wszystko zależy od ciebie.

– Nigdy nie wątpiłem w swoją siłę i moc.

– Nawet podziwiam twoją bezczelność. Ale jesteś tak słaby, że ledwie słyszę, co mówisz. Jeśli marzysz o ocaleniu skóry, musisz się wzmocnić.

Vindmad z Gardariki podał więźniowi drewnianą miskę z kaszą, chlebem i wielkimi kawałkami mięsa. Sam kucnął naprzeciw pieśniarza.

Skald z trudem się powstrzymał, by nie zanurzyć całych dłoni w jedzeniu. Wziął naczynie, postawił je na kolanach i zaczął jeść powoli, jakby wcale nie był głodny.

Igor przypatrywał mu się w milczeniu, krzywiąc się i zatykając nos. Ainar przyzwyczaiał się już do smrodu, ale dla kogoś, kto dopiero tu wszedł, odór odchodów musiał być powalający.

– Wybacz ten wystrój izby. Twój kagan nie jest szczodrym gospodarzem.

Bogatyр skinął głową i rozejrzał się po pomieszczeniu. Właściwie tylko rzucił okiem, bo cela była za mała, by się po niej „rozglądać”.

– Przydałoby się coś do popicia – stwierdził Skald, który zawsze potrafił wykorzystywać ludzką słabość do dawania.

– Zaczekaj chwilę.

Dirowicz zniknął za drzwiami i po chwili wrócił z wielkim dzbanem.

Poeta uniósł naczynie do ust. Spodziewał się świeżej zimnej wody, ale na języku poczuł gorzki smak piwa. Zaczął pić łapczywie, nie dbając już o pozory. Gdy osuszył trzecią część dzbana, odstawił go i otarł dłonią usta.

Już posiłek wydał mu się podejrzany – mięsa było dużo, a do tego okazało się świeże. Teraz zaś dorzucano dzban przedniego piwa. Dla Östmada stało się jasne, z czym miał do czynienia.

– Czyli to mój ostatni posiłek.

Bogaty pokiwał głową.

– Może nim być, ale nie musi. Jutro o wschodzie słońca zdecydują o twoim losie. W tym bowiem dniu Tirus Wielki poślubi Ingigerdę Kolsdottir, a dwa zwaśnione kraje zostaną połączone.

Pieśniarz już dawno przestał się łudzić, że Ingigerd, córka Kola, powie władcy prawdę o poprzednich zdarzeniach i w ten sposób wyciągnie go z kłopotów. Dobrze rozumiał, że dziewczyna była kapryśna i lubiła bawić się mężczyznami. Była też sprytna, więc słusznie wyczuła, że udawanie głupiutkiej i niewinnej dziewicy zapewni jej mocną pozycję u boku Tirusa, który właśnie takiej kobiety szukał. Chcąc przeżyć, musiała zrobić wszystko, by konung zapomniał o swojej zmarłej żonie i zakochał się w nowej. Vaering też nie miał zamiaru się przyznawać, że dał się porwać niewieście – tylko zrobiłby z siebie pośmiewisko, a nie ocaliłby życia.

– Mam więc zadyndać na gałęzi i uświetnić uroczystość. Nic tak nie zapewnia szczęśliwego pożycia jak ofiara na cześć bogów. Jestem zaszczycony.

– Taki był pierwotny plan naszego pana. Ale w ramach podarunku ślubnego córka Kola zażądała pieśni wychwalającej bohaterstwo przyszłego męża. „Świat powinien się dowiedzieć, jak wielkim zaszczytem jest bycie żoną kagana Glaesiru” – tłumaczyła narzeczonemu. Tirus nie mógł odmówić, choć wiedział, że pieśń będzie musiał zamówić u ciebie. Jesteś jedynym skaldem pod ręką. Wymyślił więc układ: jeśli jutro o wschodzie słońca wygłosisz pieśń, która zadowoli Ingigerdę, ocalisz życie.

– W ciemnościach trudno o natchnienie.

– Twój wybór. Co mam przekazać konungowi?

Ainar rozruszał mięśnie twarzy, wyginając brwi do góry i wykrzywiając

wargi. Myślał chwilę, stukając palcami o kamienną posadzkę.

– Powiedz mu, że się zastanowię.

Przywódca najemników wzruszył ramionami i podniósł się z kucek.

– W takim razie do zobaczenia o wschodzie słońca. Widok stryczka pomoże ci podjąć decyzję.

Odgłos ryglowanych drzwi zakończył rozmowę.

Ainar znów został sam ze swoimi myślami.

Właściwie nie było się nad czym zastanawiać. Los ofiarował mu znakomitą sposobność uratowania życia, umocnienia pieśniarskiej sławy i opuszczenia niegościnnych stron.

Tylko że pochwały dla kagana nie chciały mu przejść przez gardło. Oczywiście wcześniej zdarzało mu się kłamać w pieśniach. Nie zdobyłby tylu złotych i srebrnych pierścieni, gdyby nie wiedział, czego oczekują konungowie – w utworach chcieli być tacy, jakimi sami się widzieli, a nie tacy, jacy byli naprawdę. Tłusty brzuch władcy często zamieniał się w żelazny pień, a bezmyślność na polu walki w odwagę i pogardę dla śmierci. Nawet głupców można było nazwać mędrkami bitewnego rzemiosła, gardzącymi podszeptami lęklivego rozumu. Ale nigdy nie układał pieśni dla kogoś, kogo szczerze nienawidził, kogo przeklinał i kogo planował zarznąć przy najbliższej okazji.

Stało przed nim zatem prawdziwe wyzwanie. Skald zaś od dzieciństwa uważał, że nie ma rzeczy, której nie mógłby sprostać. Powtarzał to często ojcu, który co kilka dni próbował kijem wytrzepać z niego tę pewność siebie.

Zabrał się do pracy. Sięgnął po pierwsze słowo, położył je na kowadle własnego języka, rozgrzał pomyslnkiem i zaczął kuć młotem swoich umiejętności. Pracował tak długo, aż zaczęło pasować do dwóch innych słów, aż zlały się w jedność wersu, niczym trzy żelazne pręty zbite w ostrze miecza. Następnie naostrzył swoje dzieło błyskotliwymi kenningami, ostudził je w spokojnym rytmie strofy i wygładził na połysk w poetyckiej mierze zwanej *dróttkvaett*. Gotowy wers odstawił na bok i sięgnął po



kolejne surowe słowa. Skaldskap, sztuka układania poezji, była ciężką pracą, ale nie istniało chwalebniejsze od niej zajęcie dla mistrza poezji. Słusznie zwano Ainara prawdziwie utalentowanym odar smidem – kowalem słów.

W zabawie słowami przeszkodziła mu wrona. Sprytnie ptaszysko miało dobre wyczucie chwili. Gdyby pojawiło się wczoraj, Vaering rzuciłby się i zjadł je na surowo. Teraz jednak, wciąż mając miskę z resztkami obiadu, darował zwierzęciu życie i tylko obserwował jego dziwne zachowanie. Wrona usiadła na czubku dzbana i próbowała napić się piwa. Nie była jednak w stanie tak głęboko sięgnąć, więc spojrzała na pieśniarza z wyrzutem, zakrakała i wyleciała przez okno.

Wrócił do układania pieśni, ale praca nie szła mu tak dobrze jak zwykle. Ból głowy wywołany długotrwałym głodem, bezsilną wściekłością i szybko wypitym trunkiem przeszkadzałby nawet mistrzowi krzykliwej poezji Göllnirowi. Wyrazy nie chciały się łączyć, wersy rozłaziły się podczas głośnej recytacji, a myśli urządziły sobie własne zawody, biegając po głowie w niewiadomym celu.

Nie czekał długo na kolejną wizytę wrony. Tym razem zjawiała się ze sporawym kamieniem w dziobie i wrzuciła go do środka dzbana. Rozległ się głośny plusk.

– Przekłęte ptaszysko! – krzyknął więzień i machnął ręką. Czarnopióre stworzenie nie przestraszyło się jednak, tylko włożyło głowę do naczynia, próbując się napić. I tym razem się nie udało, więc zwierzę zaskrzeczało: „Kra, kra, kra, twoja mać”, po czym odleciało.

Skald był zbyt zdziwiony, by wrócić do układania pieśni. Sięgnął po dzban, by dopić resztkę piwa, ale po zastanowieniu odstawił naczynie z powrotem. Czuł, że ptak jeszcze wróci, gotów więc był poświęcić resztkę trunku na przynętę.

Nie mylił się. Po chwili wrona wleciała przez okno, trzymając w dziobie kolejny niemały kamień. Wrzuciła go do środka dzbana i znów spróbowała dosięgnąć piwa. Tym razem z powodzeniem – trunek, wyparty do góry przez leżące na dnie kamienie, w końcu znalazł się na odpowiedniej

wysokości. Ptak kłapnął dziobem, nabrał w niego piwa, uniósł głowę i dumnie zatrząsł nią, wlewając napitek do gardła. A potem znów zaskrzeczał: „Krrr, krrr, krrr, twoja mać”.

Poeta przypomniał sobie, że widział tego ptaka w wieży Tirusa Wielkiego. Kagan chwalił się wtedy, że potrafi wytresować każde zwierzę.

Ainar z kolei posiadał inną umiejętność – był hagiem, rzemieślnikiem języka, przed którym słowa nie miały tajemnic. Dobrze wiedział, że każdy dźwięk, każda sylaba, każdy akcent czy nawet każda przerwa na oddech współtworzą wielkość dzieła. Zaczął się zastanawiać, jak wykorzystać tajemnicze stworzenie, które musiało być zbłąkaną diwą zaklętą w ptasim ciele. Przyszło mu też do głowy, żeby zmienić miarę poetycką układanej właśnie pieśni, by lepiej pasowała do krakania.

## 27

Błądzili po borach i stepach przez trzy tygodnie. Oni, czyli ukryci w jednym ciele Haukr i Hedin, oraz Ali Czarny Berserk. Poruszałiby się szybciej, ale musieli przedzierać się przez leśne ostępy i ukrywać przed pościgiem. A mieli na karku kilka tuzinów koczowników, których oddziały przeczesywały cały okoliczny teren. Ludzie na koniach przemieszczali się dosyć szybko, ale nie mogli się równać z hamramirem, a nawet z czarnym gridinem Tirusa, który był bardzo wytrzymały i nigdy nie narzekał na tempo, jakie narzucał zmiennokształtny.

Noce spędzali na drzewach, co spotykało się z pewnymi oporami ze strony Blamada. Ale dziwny dreng z tatuażem węża na plecach nie skarżył się i słuchał rad Jastrzębia i Płaszczka. Zachowywał się więc zupełnie inaczej niż podczas podróży w przeciwną stronę. Teraz jednak mężczyzna z zaostrzonymi zębami był im wdzięczny. W końcu uratowali mu życie.

– Dlaczego po mnie wróciłeś? – zapytał ich Ali w pierwszych dniach wspólnej podróży.

Człowiek i ptak nie mogli udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Bóg Göllnir, równie szalony, jak rozumny opiekun hamramirów, radował się, gdy jego wyznawcy robili coś niespodziewanego. Nakazywał też pielęgnować wściekły krzyk szaleństwa w głowie każdego, kogo napotykali. Drużynnik Tirusa zaś chciał wyrzec się swojej natury berserka, traktując szal jako słabość, a nie zaletę, choć przecież hamask, berserksgang czy aesma – obojętnie jak nazywać bojowe zapamiętanie – było największym darem, jaki niebianie zesłali ludziom. Wściekłość czyni człowieka podobnym do boga. Oczyszcza umysł, pomaga zapomnieć i sprawia, że wojownik myśli tylko o rzeczach najważniejszych: życiu i śmierci. Haukr i Hedin chcieli pomóc. Pokazać czarnemu gridinowi, że tylko szaleństwem można zrozumieć świat, w którym los każdego śmiertelnika został z góry ustalony i wyszyty przez norny. Chichot odrmada, człeka pozbawionego rozumu, jest jedyną odpowiedzią, jaką można udzielić przeznaczeniu.

Ale było coś jeszcze. Jastrząb i Płaszcz, wyrzuceni ze swej watahy hamramirów i wyklęci przez braci w szaleństwie, szukali kogoś podobnego do siebie, z kim mogliby polować i zarzywać ofiary. Chcieli też odplacić Kolowi Małemu za to, że skłócił ich z dawnymi braćmi i wysługiwał się nimi do zabijania ludzkich piskląt. Nie zapomnieli o chłopcu imieniem Grani, którego obiecali pomścić. Było to zresztą zgodne z życzeniem ich chcącego pozostać w cieniu przyjaciela z Treborga, dla którego los Ainara i Czarnego Berserka nie pozostawał obojętny.

Oni też uważali Vaeringa i Blamada za interesujących, choć ci szaleńcy nie byli pisklakami, więc człowiek i ptak nie musieli się o nich martwić. Skald i Ali dobrze ich traktowali, przyjęli do stada i walczyli z nimi skrzydło w ramię. Może więc dlatego Haukr i Hedin chcieli podążać wraz z nimi mimo przeświadczenia, że to i tak nie złamie kręgu śmierci, jaki im towarzyszy? A może zdecydował zmysł drapieżcy, który zabraniał pozostawiać własnemu losowi członków watahy? Nie wiedzieli. Nie mieli też pojęcia, gdzie znajdował się Ainar oraz Alosza, dlatego to gridinowi postanowili podać pomocny szpon.

Takich rzeczy nie mówiło się jednak braciom, którzy powinni to sami zrozumieć. Dlatego zmiennokształtny powiedział tylko:

– Podoba się nam sposób, w jakim zabijasz. Wytaczasz dużo krwi, jak jastrząb.

Nie kłamali. Nawet podczas tej rozmowy Blamad pokazał, że rozumie potrzebę okrucieństwa. Dlatego gawędzili sobie przy trzech trupach ścigających ich Tattarów, którzy wysforowali się przed główny oddział.

Wspólnie oprawiali zwłoki. Jastrząb i Płaszcz rozebrali trupy do naga, zrobili im nacięcia na plecach, a potem mocnymi szarpnięciami zerwali skórę z tylnej części ciał. Krwawe ochłapy przybili do pni za pomocą broni koczowników. Ali zajął się dłońmi. Uciał je, nawlekł na rzemień i zrobił z nich naszyjnik, który powiesił na konarze drzewa.

Blamad nie wydawał się zadowolony z odpowiedzi towarzysza, bo pokręcił głową i machnął ręką, strzepując przy okazji krew z przedramienia.

– Podczas zawodów pływackich też mi pomogłeś? – dalej drażył temat.

– Nie. Wtedy goniliśmy się z naszym byłym bratem. I wygraliśmy.

Człowiek i ptak zajęli się wnętrznościami. Rozcięli brzuchy i wyjęli jelita. Zawsze dziwowali się, że tak długie liny mieszczą się w tak małych ciałach. Musieli się sporo nabiegać i wspinać na wiele drzew, by utworzyć krwawą pajęczynę. Nie sprawiło im to przyjemności, czym zawsze odróżniali się od innych hamramirów. Jeśli jednak ich trójka miała uciec kilku tuzinom koczowników, musieli sprawić, by jeźdźcy bali się ich gonić. Wiedzieli, że podobnie myślał berserk, który wykonywał swoją pracę bez wahania, ale też bez uśmiechu zadowolenia.

– Mimo wszystko... Dzięki wam za uratowanie życia.

Nie uszło ich uwagi, że Ali po raz pierwszy zwrócił się do nich obu. Pewnie chciał w ten sposób okazać szacunek. Haukr i Hedin przyzwyczaili się do pomyłek. Nawet ci, którzy wiedzieli o dwóch duchach w jednej głowie, często zwracali się do nich, jakby byli jednym wojownikiem. Ale Jastrząb zawsze się denerwował, że o nim zapominano. Dlatego

w odpowiedzi, wykorzystując ludzkie gardło, zajazgotał z wdzięczności.

– Powiedzcie mi jeszcze, w jaki sposób dostałeś się... to znaczy dostaliście się niepostrzeżenie do grodu i jak znaleźliście taką drogę ucieczki przez obóz koczowników, że podążając nią, napotkaliśmy wyłącznie zwierzęta i pastuchów.

Potężny drużynnik zadawał zbyt wiele pytań, więc Haukr i Hedin próbowali zbyć go milczeniem, ale Blamad naciskał. W końcu powiedzieli mu tyle, na ile pozwalała im wrodzona małomówność:

– Treborg znaczy Drzewny Gród. A my umiemy się świetnie wspinać. Mamy też wspaniałą wzrok i z góry dostrześliśmy, która droga jest najdogodniejsza.

Ali przyjął tę odpowiedź, ale widać było, że nie jest z niej zadowolony. Miał nieobecny wyraz twarzy, gdy wyjmował półksiężycowaty miecz i odrąbywał głowy Hunów. Potem wytarł ostrze, związał ze sobą kucyki zdobiące czubki łysych łbów i dopiero wtedy ponownie się odezwał:

– Nie kłamiecie, ale omijacie prawdę.

Dwaj bracia w jednym ciele już dawno spostrzegli, że Czarny Berserk jest bystry. Podziwiali go za to, choć dziwili się, że tyle czasu poświęca na zbędne myślenie.

– Mamy przyjaciela w Treborgu – przyznali niechętnie. – To on sprawił, że strażnicy pilnujący naszych ulubionych drzew w umocnieniach kremla posnęli pijackim snem, i dał nam Ludożercę, abyśmy w odpowiedniej chwili przekazali go Alemu. Wspominał też o jakimś psie, którym poszczuł samego Kola Małego podczas zawodów pływackich. Powiedział nam jeszcze, że choć koczownicy lubią żyć pod jednym dachem ze swoimi końmi, to kagan, wściekły z powodu smrodu i zamieszania, nakazał im wyprowadzić się od zwierząt i przeorganizować obóz. Kol już dawno wspominał o stworzeniu armii koczowników wolnej od podziału na plemiona i rody. Wymyślił więc, że jeśli zgromadzi razem wszystkie zwierzęta, uda mu się również zjednoczyć ich właścicieli. „Zawładnij stadem koczownika, a stanie się twym niewolnikiem” – jak mawiają na stepach. Nie przewidział tylko, że tym sposobem w pierścieniu zbrojnych



otaczających gard powstanie spora luka.

Nie lubili odpowiadać, bo odpowiedzi rzadko kończyły rozmowę. I tym razem ich słowa wzbudziły tylko większą ciekawość towarzysza. Kiedy odeszli od okaleczonych ciał, a Blamad powiesił na gałęzi ostatnie ostrzeżenie w postaci pęku tatarskich głów, zaczął dopytywać się, kim był ten przyjaciel. Jastrząb i Płaszcz nie mogli tego wyjawić, bo to nie była jego sprawa. Zresztą i tak niewiele mogliby powiedzieć o owym mężu. Tyle tylko, że był wysokim Vaeringiem o rudych włosach i że jeszcze w czasach, gdy służyli u Kola, lubił z nimi rozmawiać, choć nie obnosił się z tą znajomością. Po wygnaniu człowieka i ptaka wolał, żeby jego imię nie zostało ujawnione, bo taka znajomość mogłaby go kosztować życie. Rozumieli to, dlatego nie zamierzali zdradzać przyjaciela, i chociaż darzyli Blamada pewnym zaufaniem, jednak dobrze wiedzieli, że nie miał milczącego ptasiego dziobu, tylko ludzki język, który zawsze lubił być w ruchu.

Trzy tygodnie błądzili po bezludnych terenach, wdając się od czasu do czasu w pogawędki na miecze z koczownikami i zostawiając im krwawe pamiątki w lesie lub wysokiej stepowej trawie. Ten czas zbliżył ich do siebie. Ludzie zwykli mawiać, że męską przyjaźń najlepiej zacieśnia wypity trunek lub dzielenie się jedną kobietą. Haukr i Hedin nie podważali tego, ale wiedzieli również, że nic tak mocno nie zbliża drengów jak wspólne zabijanie.

Ali był im wdzięczny, choć czasem przypominał sobie i o złości. Wtedy wyrzucał im, że przeszkodzili mu w zabiciu Kola Małego. Blamad nigdy jednak nie gniewał się zbyt długo, bo dobrze wiedział, że oni też byli w prawie, by dla siebie zostawić zemstę na kaganie.

Wcześniej nie uzgadniali, dokąd mają zmierzać, mimo to zgodnie kierowali się w stronę Dyragardu. Powoli nadchodził jednak czas decyzji. Zebrało im się na rozmowę przed południem, kiedy biegli przez step, żeby jak najszybciej opuścić odsłonięty teren.

– Za trzy dni powinniśmy dotrzeć do siedziby Tirusa Wielkiego – zaczął gridin bez śladu zadyszki w głosie.

– Powinniśmy, choć nie jesteśmy pewni, czy chcemy.

– Zrobiliście dla sprawy Tirusa więcej, niż było wymagane. Obiecaliście zaprowadzić nas do Trebarga i wywiązaliście się z umowy. Możecie więc udać się wszędzie, dokąd poniosą was nogi.

– Podobnie jak ty.

– Nie. Ja muszę wrócić.

Nie rozumieli tego. Berserk powinien robić to, do czego pcha go gniew, a nie obowiązki.

– Dlaczego? Twój pan nie będzie zadowolony z porażki. Żaden kagan nie wynagradza przegranych.

– Są rzeczy, które należy robić, nawet jeśli nie czeka za to nagroda. Dałem słowo, że wrócę, a w moich rodzinnych stronach przysięga złożona wodzowi jest prawem, którego żaden wojownik nie może złamać.

– A czy twój konung myśli podobnie?

Wytatuowany wojownik wyraźnie nie był tego pewny, bo przez dwa oddechy i sześć kroków zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Wierzę, że tak. Jest dobrym i mądrym władcą, który pomógł mi ujarzmić moją dziką naturę. Zrobił to, co nie udało się nawet imamom Muhammada, których spotkałem w Serklandach. Dzięki niemu poznałem boga Wertragnę, Szalonego Odyńca, który nauczył mnie, jak zakuwać szal w kajdany.

– Twój kagan zakłada drapieżnikom kagańce i próbuje je nauczyć beczeć jak kozy. Kol Mały był lepszym władcą. Pozwalał nam robić, co tylko chcemy, i tylko od czasu do czasu prosił, byśmy skierowali swoją złość na jego wrogów. Wiedział, że szalu nie da się ujarzmić, wszak sam Göllnir jest gniewem, który stworzył świat. Gdy poddajemy się działaniu hamasku, stajemy się jego narzędziem. Stwórczą mocą niszczenia.

– Nie! – Blamad podniósł głos. – Zdolność opanowywania aesmy odróżnia nas od dzikich bestii. Nie da się nic zbudować na krwi i poździe.

– Jak zbudować nowy dom, nie burząc starego? Jak wykarmić dziecko, nie wyrzucając niepotrzebnych starców na mróz? My jesteśmy

zniszczeniem, szponami spadającymi z nieba, nożem wyłaniającym się z ciemności, ogniem trawiącym grody, kosiarzem wycinającym uprawy, rzeźnikiem zabijającym bydło. Burzymy i sprawiamy, że świat się odradza. Znamy swoje miejsce i nie próbujemy zostać krową rodzącą cielęta.

– To tylko wynurzenia schorowanego umysłu. Przyłącz się do mnie, a nauczę cię, jak panować nad gniewem. Może z czasem zrozumiesz, że ten cały „jastrząb” to tylko wytwór twojego umysłu, stworzony po to, by zagłuszyć ludzkie uczucia.

Haukr, słysząc te słowa, mocno się zdenerwował. Zajazgotał i odruchowo sięgnął po szpony – dwa ostre saksy. Hedin powstrzymał go jednak i tylko popchnął biegnącego obok gridina. Berserk zachwiał się, ale nie przewrócił.

– Nigdy nie obrażaj Jastrzębia. Jesteś głupcem, Blamadzie, który wierzy, że można nauczyć wilka spać między owcami. Nadejdzie chwila, gdy zrozumiesz, że świat nie zasługuje na nic więcej niż twój gniew.

Na to Ali już nie odpowiedział.

Przyspieszyli kroku, bo z daleka usłyszeli tętent koni.

W południe zatrzymali się przy strumyku i zaczerpnęli kilka garści wody. Potem pobiegli dalej. Gdy słońce pokonało trzy ćwiartki drogi na niebie, czarny wojownik wrócił do przerwanej rozmowy.

– To co postanowiłeś? Staniesz wraz ze mną przed obliczem Tirusa? Opowiem mu o pomocy, jakiej mi udzieliłeś, i poproszę, by przyjął cię na służbę.

Jastrząb i Płaszcz zauważyli, że towarzysz znów zapomniał o Jastrzębiu. A może zrobił to umyślnie, próbując ich przekonać, że tylko jeden duch zamieszkuje ludzkie ciało? Nie zastanawiali się nad tym długo i postanowili nie pokazywać szponów z tego powodu.

– To nie jest pan dla nas. Ale będziemy ci towarzyszyć.

Człowieka i ptaka ciągnęło do zemsty na Kolu i dawnych braciach, lecz wiedzieli, że przy Czarnym Berserku nie zabraknie im innych okazji do zabijania. Zbliżała się wojna, przeczuwali zatem, że zarówno konung

Odainsaku, jak i jego hamramirzy wkrótce zjawią się u bram Dyragardu.

– Dobrze więc. Musimy sobie wyjaśnić jeszcze jedną rzecz. Gdy spotkam Ainara Skalda, pokażę mu, że jego Kvernbit gryzie nie tylko kamienie<sup>[2]</sup>. Vaering okazał się łamaczem ugód – zdradził kagana Tirusa i mnie. Porwał też Ingigerdę, a swojego towarzysza zostawił na łasce Kola Małego. Ufam, że nie staniesz między mną a moją zemstą.

Haukr i Hedin lubili pieśniarza, który w przeciwieństwie do Alego dobrze wiedział, czym jest szaleństwo Bitewnego Krzyku, bo poetyckie zapamiętanie nie różniło się wiele od hamasku. Oba nie podlegały władzy rozumu i oba były rodzajem natchnienia, które bóg Göllnir wykrzykiwał wprost do uszu swoich ofiarników. Poza tym Vaering zawsze pamiętał o Jastrzębiu w ich głowie. Ale zwada między dwoma drengami była ich wyłączną sprawą.

– Nie będziemy się wtrącać.

– Świetnie. Może więc zwolnimy kroku i pozwolimy, by ci konni wreszcie nas dogonili? Nie będzie ich więcej niż czterech.

Jastrząb zajazgotał, a Płaszcz zawtórował mu ludzkim okrzykiem. Zgadziali się, że nie powinni zjawiać się w Dyragardzie ścigani niczym zające przez sforę psów.

## 28

Po trzech tygodniach spędzonych w ciemnościach słońce sprawia ból. Promienie kłują w oczy, a ich świetliste groty drążą pod czaszką tunele, które ciągną się od skroni do tyłu głowy i wypełniają się cierpieniem. Skaldowi to jednak nie przeszkadzało. Nie, nie czerpał przyjemności z bólu, ale gotów był znieść znacznie więcej, byle tylko oglądać świat w blasku dnia. Gdy źrenice przyzwyczyły się do światła, znów zaczął widzieć wyraźnie i prawie zapomniał o trapiącej go w lochu ślepotcie.

Przyszli po niego tuż przed brzaskiem i kazali się wystroić. Miał

uświetnić ślub kagana – pieśnią lub swoją śmiercią. Musiał godnie wyglądać. Podarowano mu nowy czerwony kyrtyll, którego brzegi rękawów i rozcięcia na piersi pokrywał złoty haft dwugłowego węża. Dostał też czystą koszulę pod kyrtyll, niebieskie wełniane spodnie, a nawet solidny skórzany pas i buty. Niewolnik, który przyniósł ubrania, przekazał mu też słowa Tirusa: „Oto twoja nagroda za przyprowadzenie mi narzeczonej”. Ainar przyjął podarunek w imię zasady, że lepszy kosztowny strój niż goły tyłek, choć nie omieszkał odburknąć, iż złota nić nie waży tyle, co Ingigerd.

Zaprowadzono go na najwyższy stopień dziwacznych umocnień Dyragardu. Po drodze mijali gapiów, którzy pluli mu pod nogi i rzucali przekleństwa w twarz. Skald nie zgiął karku i nie uciekał od pogardliwych spojrzeń. Szedł wyprostowany, z wypiętą piersią, uśmiechał się lekceważąco i pysznił się bogatym strojem. Kundel przekonany o swojej winie podkula ogon ze strachu i skomle pod nogami pana. Podobnie dreng, poprzez okazanie skruchy i pokory, może tylko udowodnić, że w pełni zasługuje na wyznaczoną mu karę i hańbę.

Na miejscu czekał już konung wraz ze swoją narzeczoną, która tuż po egzekucji miała nałożyć małżeński czepek. Ingigerd wyglądała olśniewająco. Miała na sobie czerwoną suknię z ramiączkami, włożoną na żółtą koszulę z długimi rękawami, której mankiety wyhaftowano na zielono. Do ramiączek przyczepione były dwie srebrne, wypukłe tarcze, które stanowiły pierwsze ogniwa ogromnego wisiora. Tworzyła go para kwadratowych płytek, połączonych czterema rzemieniami, na które nawleczono dziesiątki srebrnych koralu i szerokich pierścieni. Zarówno na tarczach, jak i na blaszkach wyłoczono drzewa, których korzenie łączyły się z gałęziami. Całość stroju władczyni dopełniały srebrne bransolety na nadgarstkach, które pobrzękiwały przy każdym ruchu dłoni. Przepych przyodziewku ustępował jednak głównej ozdobie dziewczyny – uczesaniu. Córka Kola powróciła do naturalnego koloru włosów – na wywabienie farby musiała pewnie zmarnować ze dwa dzbany dobrego trunku – więc teraz długie złote loki opadały na jej plecy, wzbudzając powszechny zachwyty i nadając dziewczynie wygląd córki słonecznej bogini Sol. Ainar

zawsze lubił blondynki.

Rozejrzał się w poszukiwaniu smoków, ale żadnego nie zobaczył. Dostrzegł za to innego oślizgłego węża, który uśmiechał się przyjaźnie i pozdrawiał go, unosząc związane dłonie. Również Alosza Czuryłowicz, ten podstępny wysłannik rady veche, podczas dzisiejszej uroczystości miał się przekonać, czy wiatr zdoła rozbijać jego dyndające ciało.

Pętle już na nich czekały. Zwiślały z suchego drzewa, które miało zaledwie dwa konary i rosło tuż nad piątym schodkiem umocnień kremla. Liny były długie, a że poeta nigdzie nie widział podwyższenia, domyślił się, że skazańcy zostaną po prostu zepchnięci lub ujmując rzecz dosłownie, zrzuceni ze schodów.

Pieśniarza i łuczника ustawiono tyłem do przepaści, a przodem do młodej pary i tych kilku strażników, którzy im towarzyszyli. Na najwyższym stopniu nasypu było bardzo ciasno, więc większość gapiów zgromadziła się na drewnianej drodze okalającej kreml lub na szczycie palisady otaczającej siedzibę Tirusa.

– Dziękuję wam za przybycie! – krzyknął kagan, by usłyszeli go wszyscy zgromadzeni.

– Nie darowałbym sobie, gdybym nie został zaproszony – powiedział Skald z największym opanowaniem, na jakie mógł się zdobyć. A ponieważ boski Grinnir obdarzył go mistrzostwem w przybieraniu masek, jego słowa zabrzmiały nad wyraz szczerze.

– Cóż to byłoby za ślub bez pieśniarza? – podjął grę pozorów konung.

– Tylko ten truciciel wydaje się nieproszonym gościem. Może zaczniemy uroczystość od niego.

Młody bogatyry już miał odpowiedzieć, ale uprzedził go władca:

– Jego los jest związany z twoim. Ingigerd wyjaśniła mi, że obaj mieliście równy udział w porwaniu i uprowadziliście moją przyszłą żonę wbrew jej woli, choć nie bez cichego przyzwolenia. Jeśli wygłosisz zmyślną pieśń, ocalisz życie swoje i jego. Jeśli zaś Ingigerd poczuje się zawiedziona twoją skaldyczną biegłością, obaj zadyndacie. To jak?

Uraczysz nas pieśnią czy nie?

Vaering pomyślał, że wybór stawał się coraz trudniejszy, bo nagrody były dwie, a jedna zdawała się wykluczać drugą: własne życie lub śmierć wroga. Większość ludzi ginie wszakże z gorszych powodów niż chęć pognębienia przeciwnika, ale jeśli już miał umrzeć, wolałby mieć u boku kogoś lepszego niż kłamliwego i tchórzliwego łucznika.

– Na Północy, Południu, Wschodzie i Zachodzie ludzie będą sobie powtarzać tę drapę, bo nie słyszano na świecie misterniejszego utworu od tego, który zaraz wygłoszę.

– Świetnie! – krzyknął Tirus i klasnął w dłonie.

Drottinga zapiszczała z radości i uśmiechnęła się do Skalda niczym morderca stojący z nożem nad kołyską.

– Zadbalem o coś jeszcze – dodał władca. – Straże!

Zbrojni podeszli do skazańców, założyli im pętle na szyje i zacisnęli, jednak niezbyt mocno, by sznur nie przeszkadzał w mówieniu.

– A teraz możecie się obrócić i poznać moje smoki.

Ainar, bardziej posłuszny ciekawości niż rozkazowi, okręcił się na pięcie i spojrzał w dół.

Część piątego poziomu nasypu, ta, nad którą się znajdowali, oddzielona była od reszty drewnianym płotem tworzącym sporą zagrodę. W jej środku znajdowało się coś w rodzaju małego stawu, niezbyt głębokiego, bo widać było dno, za to szerokiego na dziesięć kroków. Na znak Tirusa do zagrody wkroczyło dwóch Blamadów z długimi kijami zakończonymi żelazną pętlą. Mężczyźni otworzyli drewniane drzwiczki zamykające wejście jaskini wydrążonej bezpośrednio pod drzewem wisielców. Z czeluści dobyły się leniwe pomruki, wskazujące, że mieszkańcom groty nie bardzo chce się wyłazić. Czarnoskórzy byli jednak przygotowani. Przy wejściu rzucili kilka ryb i wetknęli do środka drągi, drażniąc nimi bestie. W końcu jedna z nich pokazała łeb, a zaraz za nim wynurzyło się całe szkaradne cielsko.

Ainar zobaczył najprawdziwszego smoka. Aż do tej chwili nie wierzył, że Tirus rzeczywiście trzyma w zamknięciu takiego stwora. Podejrzewał, że



władca miał na myśli co najwyżej przerośniętego węża. Ale teraz zniknęły wątpliwości. Jaszczurowi co prawda brakowało skrzydeł, ale był dłuższy od rosnącego mężczyzny, miał twarde smocze łuski, wydłużoną paszczę z dwoma rzędami wystających zębów i cztery grube, ugięte łapy. Cały był koloru błota, a źrenice wyłupiastych oczu wyglądały jak u żmii. Gdy poeta skończył podziwiać stworzenie, z jaskini wylazły dwa kolejne potwory, które poza tym, że były trochę mniejsze, nie różniły się od poprzednika. Bestie szybko uporały się z rybami i rozlazły się po wybiegu. Jedna kłapnęła paszczą na Blamada, a ten cofnął się o krok, nerwowo zaciskając dłonie na drągu i grożąc nim smokowi. Potomek znanego z opowieści Północy wielkiego węża Jörmunganda przyjął te zabiegi z obojętnością i ułożył się pod drzewem wisielców, łakomie spoglądając na skazańców. Dwaj jego pobratymcy wskoczyli do sadzawki i zanurzyli się, lecz w tak przemyślny sposób, że nad wodę wystawały ich wyłupiaste oczy, bacznie obserwujące otoczenie. Widać też było małe kawałki grzbietów i ogony, którymi potwory wiosłowały na boki, jakby były wielkimi kijankami.

– Zaiste, ciekawe stworzenia, choć to za ledwie skarłali przedstawiciele smoczego rodu. Na dodatek nie mają skrzydeł ani palącego jadu w paszczy – stwierdził Östmad, obracając się do kagana.

– Powiesz im to osobiście, jeśli zaraz nie usłyszymy pieśni – odpowiedział Tirus.

Ainar skinął głową na znak zgody i zagwizdał dwa razy, ile tylko miał sił w piersi. Wszyscy popatrzyli na niego jak na szaleńca, ale przestali się dziwić, gdy od strony wieży przyleciała wrona i usiadła na konarze ozdobionym pętlą dla Vaeringa.

– Więcej wiary we własne umiejętności! – zakrzyknął mały człowiek z wielkim przydomkiem. – Już przywołujesz czarne ptaki, by zajęły się twoimi zwłokami?

Pieśniarz uśmiechnął się uprzejmie, udając, że kiepski żart mu się spodobał, odkrząknął i wyrecytował pierwszą strofę:

Stryczek na mej

szyi młodej  
przeszkadza mi  
pisać słowami  
honor tego troszczącego  
się o sławę  
i swe imię.

Dostrzegł, że się spodobało, choć tutejsi ludzie zapewne nigdy nie słyszeli wcześniej pieśni tego typu. Zrezygnował bowiem z dobrze znanego drottkvaettu, a użył miary *runhet*, odmiany *fornyrðislag*, którą kiedyś wymyślił przy piwie razem z Egilem Skallagrimsonem – niezłym skaldem i wspañiałym sprawcą kłopotów, choć nie tak przystojnym jak on sam. Ainar słyszał, że lata później Egil użył tej miary, by wykupić swoją głowę spod topora konunga Eryka, gdy ten pojmał go na Wyspie Englarów. Uznał więc za właściwe, by w podobnym położeniu również skorzystać z ich wspólnego wynalazku i dorzucić swój utwór do skaldycznej rywalizacji, jaką prowadził z synem Skallagrima. Przyszłe pokolenia ocenią, który z nich spisał się lepiej, i zapamiętają utwór zwycięzcy.

Niepowtarzalność tej hatty, miary wierszowej, polegała na tym, że końcowe sylaby wersów się rymowały i głównie to odróżniało ją od innych miar. Pozostałe cechy były już bardziej typowe. Strofa składała się z ośmiu wersów, połączonych ze sobą w pary za sprawą aliteracji. Trzydzieści dwie sylaby strofy ustawiały się czwórkami i tworzyły zgrabny szyk akcentów i przydechów.

Smok pod mymi  
jest stopami,  
jeść mnie woli  
– zadowoli  
się słowami  
sławiącymi

męstwo władcy,  
złota dawcy.

Kagan spojrział na Ingigerdę, a ta pokręciła głową.

– Musisz się lepiej starać, Skaldzie – powiedział Tirus. – Moja wybranka chce usłyszeć więcej o mnie, a mniej o tobie.

Na znak konunga jeden ze strażników podszedł do Ainara, zacieśnił węzeł na jego szyi i pociągnął kilka razy liną do góry, jakby sprawdzał, czy sznur dobrze trzyma. Hag poczerwieniał i zacharczał, próbując nabrać oddech. Uratowało go kolejne machnięcie dłonią władcy, po którym vardkarl puścił linę, przestając się znęcać nad skazańcem. Pocięchą dla pieśniarza było to, że dokładnie w taki sam sposób potraktowano Aloszę. Vindmad nie miał jednak doświadczenia Hangaguda – boga wisielców – i w chwili podduszenia nie napiął mięśni szyi, dlatego teraz zanosił się głośnym kaszlem, z trudem łapiąc oddech.

Serce zdobył,  
złoto złożył  
dla wybranki  
woja córki.  
Mężnie stawał,  
miecz miłował,  
więc krwi kranga...

Ainar powstrzymał język i zagwizdał. Na ten znak wrona siedząca na drzewie dokrakała ósmy wers:

*...kráka krafa!* [\[3\]](#)

Zgromadzeni najpierw popatrzyli niepewnie po sąsiadach, a potem się roześmieli, nie kryjąc podziwu dla Skalda. Pieśniarz odetchnął z ulgą, gdyż

ta część była najtrudniejsza. Słowo *krangr* oznaczało słabeusza, który nie zasługuje na nic więcej poza wytoczeniem z niego krwi, a poeta poddał wszystkim myśl, że chodziło mu o Kola Małego, którego tu powszechnie nienawidzono, więc ludzie chętnie uchwycili się tego pomysłu. Dodatkowo wrona odwróciła ich uwagę i nikomu nie przyszło do głowy, że w rzeczywistości Vaering złorzeczy temu, kto postawił go pod stryczkiem.

W założeniu Östmada pieśń miała pozornie chwalić Tirusa, a w rzeczywistości świadczyć o jego hańbie. Choćby w wypowiedzianej właśnie strofie – mężne stawanie w boju i odważne zdobywanie serca Ingigerdy zasługiwało na pochwałę, jednak to nie kagan, a Ainar i Ali tego dokonali. Wprawdzie wspaniałość czynów drengów okrywa sławą konunga, któremu służą, ale i tak taka chwała nie jest tym samym co własnoręczne załatwienie sprawy. Na dodatek córka Kola została porwana – przynajmniej zgodnie z powszechnym mniemaniem – a nie zdobyta, przez co opiewanie waleczności i hojności Tirusa można było odebrać jako szyderstwo.

Skald mówił dalej, wykorzystując przychyłność słuchaczy:

Tattarów tam  
tysiące łbów  
kruszyli na  
cześć kagana  
jego woje,  
wiodąc boje,  
bo krwi kranga...  
*...kráka kraf!*

Zgromadzeni zakrzyknęli z radości, zwłaszcza że poeta znów gwizdnął i strofę dokończyła wrona. Ptakowi wybaczone, że rym ostatniej głoski nie jest doskonały, bo wszyscy podniecali się tym, że zwierzę potrafi mówić, a nie tym, co ma do powiedzenia. Kagan był jednak bardziej wymagający.

Zrobił zamyśloną minę i szepnął coś do swojej wybranki, zapewne pytając ją o opinię na temat utworu.

– Idzie ci coraz lepiej, Skaldzie, ale Ingigerd mówi, że stać cię na więcej.

Na jego znak rosły vardkarl podszedł do skazańca, chwycił go pod pachy, uniósł i zrobił dwa kroki do przodu. Ainar obserwował, jak spod jego stóp znika krawędź ziemnego nasypu, a pojawia się wolna przestrzeń. Choć dłonie miał związane z tyłu ciała, nogi pozostawały wolne i za ich pomocą mógłby sprawić, że strażnik już nigdy nie rozweseliłby się na widok nagiej kobiety. Nie chciał jednak ryzykować szamotaniny, gdyż smok leżący teraz bezpośrednio pod nim wyszczerzył się na myśl o przekąsce, a dwaj jego pobratymcy wyleźli z sadzawki i zaczęli kłapać paszczami. Wężopodobne stwory musiały czuć się jak małe dzieci w wędzarni, które nie potrafią dosięgnąć kiełbasy wiszącej pod sufitem.

W końcu władcy znudziła się zabawa i wojownik postawił Östmada na ziemi. Na odchodnym mruknął jeszcze coś do wisielca, jakby chciał zapowiedzieć, że jeszcze z nim nie skończył. Vardkarl zajmujący się Czuryłowiczem również dał spokój łucznikowi. Truciciel zniósł te pogroźki lepiej niż poprzednie, gdyż musiało do niego dotrzeć, że nie zabiją ich, dopóki Skald nie skończy pieśni.

Kolejne cztery zwrotki wyglądały podobnie. Ainar chwalił wielkość kagana, który włada potężnym krajem, nie wychylając nosa z gardu i wysługując się najemnikami. Zwrócił uwagę na jego szczodrość, która każe mu hojnie nagradzać drengów, oraz na sprawiedliwość, dzięki której każdy bogaty dostaje to, na co zasłużył. Pochwalił prawa narzucone mieszkańcom Dyragardu, chroniące wiernych poddanych i karzące tych, którzy sami chcą wyrąbać sobie drogę do szczęścia. Wspomniał o kupcach i radzie veche, która zgodnie współpracuje z kaganem ku korzyści bogaczy i na pohybel sąsiadom. Najlepsze zachował jednak na zwrotkę dziewiątą i ostatnią:

Złotowłosa

w piękno zbrojną

zdobył pieśniarz  
zdolny rzeźbiarz,  
lecz w posłaniu,  
poskramianiu,  
sławę wygra  
syn Göllnira.

Końcowy wers Skald wykrzyczał, a słysząc ostatnie „ra”, wrona dołożyła głośne „kra, kra, kra”. Drengowie i bogatyrzy zgromadzeni na palisadzie zawołali: „Tirus Wielki, Tirus Wielki” i zaczęli uderzać bronią w tarcze lub drewniane żerdzie. Pewnie nie wszyscy zrozumieli ostatnie słowa poety, ale ci, którzy byli Vaeringami lub chociaż zapoznanymi z wierzeniami Północy Vindmadami z Gardariki lub Glaesiru, wiedzieli, że wszyscy władcy Noregu lubili się określać synami Göllnira, najwyższego boga wojny. Tirus, który również pochodził z mroźnych krajów, też musiał te słowa tak właśnie zrozumieć. Niespodzianka czekała go dopiero podczas nocy poślubnej – kiedy zobaczy, że Ingigerd nie broni się żadną tarczą, przypomni sobie, iż synami Bitewnego Krzyku nazywano również skaldów. Wtedy w pełni zrozumie, że cała pieśń była kpina z jego honoru.

Jednak na razie cieszył się jak dziecko, prężąc dumnie pierś i kiwając głową z uznaniem. Tylko córka Kola patrzyła na pieśniarza z błyskiem zawadiactwa w oku, który sprawił, że Ainar znów zapragnął skosztować szaleństwa jej miłości.

– Dobrze się spisałeś. Wrona też. Los twój oraz Aloszy pozostawiam w rękach mojej przyszłej żony. Podobała ci się ta drapa, złotowłosa dziewico?

Ingigerd zawsze bezbłędnie wyczuwała chwilę, w której należało się oblać rumieńcem. Czerwień zagościła na jej twarzy, a oczęta zaczęły mrugać, jakby onieśmielone przywoływaniem tajemnic, które trzymała pod sukienką.

– Tak, mój wielki kaganie. Pieśń była miła dla mojego ucha, choć nawet

w połowie nie potrafiła uchwycić twojej wspaniałości. Myślę jednak, że Skald zasłużył na życie.

Miła dla ucha? Hag poczuł się lekko niedoceniony. Stworzenie takiej pieśni to prawdziwy *íþrótt* – poetycki wyczyn godny najwspanialszego pierścienia.

– Słyszeliście! Jesteście wolni.

Najbardziej ucieszył się Czuryłowicz, nie przejmując się, że zbytnia radość z otrzymanej łaski nie przystoi bogatyrowi. Nie można się było jednak niczego więcej spodziewać po trucicielu.

– Bądź uwielbiony, potężny i sprawiedliwy władco. – Vindmad zaczął ścielić jedwabie pod tyłek kagana. – Klnę się na Peruna i Svarozhicha, że nigdy więcej cię nie zawiodę. A tobie, Skaldzie, mój wybawicielu, przebaczam wszystkie dawne przewiny i obiecuję, że będziesz miał we mnie przyjaciela, u którego można zostawić żonę na przechowanie.

Pieśniarz uśmiechnął się życzliwie do Glaesirczyka, poddając się jego grze, a w myślach odpowiadając mu, że nie zostawiłby u niego nawet kozy, obawiając się o jej dziewictwo.

– Źle mnie zrozumiałeś, przebiegły wysłanniku veche. – Tirus położył nacisk na ostatnim słowie, dając do zrozumienia, że ostrzeżenie jest skierowane do szerszego grona. – W Dyragardzie nie ma miejsca dla tych, którzy choć raz zawiedli moje zaufanie. Poeta wykupił życie swoje i twoje, ale kara nie może ominąć was obu. Skazuję was na *fjörbaugsgarðr*, mniejsze wyjęcie spod prawa. Przez trzy lata będziecie *vargar í véum*, wilkami na świętej ziemi, banitami noszącymi maski bestii, wrogami każdego sprawiedliwego mieszkańca tego kraju.

Ainar spodziewał się takiego obrotu spraw. Jak każdy pokurcz Tirus swoją twardością i bezwzględnością nadrabiał lichy wzrost, tłumiąc w zarodku każdą myśl, że mały znaczy słaby. Ale łucznik wydawał się zdruzgotany tą decyzją. Spuścił głowę, jakby boski siłacz Magni zdzielił go maczugą. I wtedy odezwał się poeta:

– Jestem z daleka, więc muszę się upewnić co do kilku spraw. Czy banicja działa tu w taki sam sposób jak na Północy? Czy każdy, nawet



niewolnik i włóczęga, może zabić wyjętego spod prawa drenga, nie obawiając się za ten czyn kary?

Vardkarl podszedł do pieśniarza i zdjął mu pętlę z szyi. Następnie wziął się do przecinania więzów na rękach.

– Tak właśnie jest, Skaldzie. Ale niech strach cię jeszcze nie oblatuje. Dam wam dzień na opuszczenie gardu. W tym czasie żaden z moich zbrojnych was nie tknie, ale nie ręcę za włóczęgów ani żebraków. Jeśli któryś z nich podrapie was nożem po żebrach w trakcie owego pierwszego dnia, nie mogę obiecać, że będę się na niego gniewał.

– Właśnie to chciałem wiedzieć.

Sznur pętający ręce Ainara opadł na ziemię. Pieśniarz odepchnął zdziwionego strażnika i doskoczył do Czuryłowicza. Alosza, który nie został jeszcze uwolniony, spojrział na dawnego towarzysza boju, a ponieważ w oczach można wyczytać, co gra człowiekowi w sercu, Skald ujrzał w nich zespół składający się ze zdziwienia, niedowierzania i strachu, z których ten ostatni pogrywał na próżnej nadziei.

Poeta popchnął truciciela. Bogatyś próbował odzyskać równowagę, cofając się, ale prawa stopa zamiast na ziemię natrafiła na pustkę i Vindmad runął w dół. Sznur naprężył się, a trzask łamanego karku dało się usłyszeć nawet na szczycie palisady.

Alosza Czuryłowicz zadygotał, oddając cześć wisielczej tradycji.

Pierwszy potwór nie musiał nawet wysoko skakać, by odgryźć trupowi prawą nogę w kolanie. Pozostali dwaj kuzyni podziemnego smoka Nidhögga natychmiast dołączyli do uczty. Jeden uczeplił się lewej stopy i ciągnął tak mocno, aż lina pękła. Przedstawiciel dostojnej veche padł na piasek wybiegu, dzieląc się swoim mięsem z jaszczurami, niczym kristmadzki bóg ze swoimi wyznawcami.

Bestie nie umiały jeść z dostojnością, jaką obdarzano je w pieśniach. Rzuciły się na junaka i rozerwały go na strzępy. Jeden wbił pysk w brzuch i rzucał łbem tak gwałtownie, że rozrzucił flaki na odległość kilku kroków. Inny odgryzł głowę i zaczął ją chrupać niczym dzik żołędzia. Ten najmniejszy dobrał się do niezbyt godnego, ale i bardzo smacznego

kawałka, nie przejmując się strzępami spodni między zębami.

Początkowo strażnicy i widzowie byli tak zajęci oglądaniem uczt z człowieka, że zapomnieli o Skaldzie, który zapewnił im tę zabawę niczym najznakomitszy kuglarz. Smoczy posiłek nie trwał jednak długo i uwaga zgromadzonych znów skupiła się na poecie. Strażnicy dobyli broń i zaczęli go okrążyć.

– Oj nie. – Östmad pogroził im palcem. – Kagan dał mi jeden dzień na opuszczenie gardu. A tak przy okazji – tym razem zwrócił się do Tirusa – na Lodowej Wyspie mają taki zwyczaj, że jeśli banita zabije trzech innych wyrzutków, zostaje ułaskawiony. Czy u was też mogę liczyć na taką nagrodę? Zostało mi jeszcze dwóch.

– Pół dnia! – krzyknął konung przez zaciśnięte zęby. – Razem mieliście cały dzień. Gdy słońce zacznie gonić wieczór, urzędę na ciebie polowanie z psami. A teraz wynoś się!

– Wedle rozkazu.

Skald odtrącił dłonią miecz strażnika i zaczął przepychać się do wyjścia. Obiecał sobie, że opuści gard spokojnym krokiem zwycięzcy, a biec zacznie dopiero za bramą.

## 29

– I wtedy uciekliśmy.

– Myślałem, że Czarny Berserk nigdy nie ucieka.

Tirus Wielki przyjmował ich w sali z wysokim siedziskiem. Otulony był niebieskim płaszczem podszytym futrem cętkowanego kota, a pod tyłkiem miał jedwabną poduszkę, by wydawać się wyższym. Obok niego, na stołku bez oparcia, siedziała najpiękniejsza kobieta Wschodu: Ingigerd o Złotych Włosach. Ali już przedtem miał dziewczynę za ucieleśnienie urody, ale teraz, kiedy pozbyła się czerwieni z włosów, wystroiła i wypachniała, była warta więcej niż tuzin haremów potężnych szachów z Serklandów. Dla niej

byłby gotów pokonać smoka.

– Nigdy nie cofam się przed niebezpieczeństwem, jednak dzięki tobie, panie, nauczyłem się panować nad zapalczywością i przedkładać dobro mojego kagana nad swój własny tign. Dreng może bowiem zdobyć swój honor tylko wtedy, gdy lojalnie służy władcy. Uznałem więc, że zamiast ginąć na próżno, lepiej wrócić i powiadomić cię o liczebności i wyszkoleniu wojsk Kola Małego.

Konung zastanawiał się chwilę, patrząc uważnie na gridina.

– Dobrze zrobiłeś, wracając. Zdałeś dwie próby Kola, a poległeś tylko przez czary i podstęp Mödula, karła zrodzonego w czeluściach podziemi. Nie mogłeś wygrać tej partii szatrandżu, gdyż graliście pewnie jego figurami.

Drużynnik skinął głową, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza ten wywód.

– Sami widzicie! Przecież każdy słyszał, że karły grają tylko magicznymi pionami, które zawsze przynoszą zwycięstwo właścicielowi. Było to więc oszustwo, a ty poprzednimi próbami udowodniłeś, że moi ludzie wygrywają w każdym uczciwych zawodach.

Nie była to prawda, ale Blamad wiedział, że te słowa nie są skierowane do niego, tylko do doradców, zauszników i przedstawicieli veche, którzy zgromadzili się w sali i niechybnie rozniosą wieści o tej rozmowie po całym grodzie. Ludzie powinni wierzyć, że ich kagan jest najpotężniejszy, więc Tirus starał się obrócić porażkę w zwycięstwo. Nie warto zatem było teraz wspominać, że dwie poprzednie próby Ali wygrał dzięki podstępom. Ani o tym, że tylko trzecią rozgrywkę prowadzono uczciwie, bo jedynymi czarami używanymi w jej trakcie były niezwykle umiejętności i bystrość Mödula.

– Jak zawsze przejrzałeś swoich wrogów, władco gwiazd. Jest jednak osoba, która ze wszech miar zasłużyła na twój gniew. To Ainar Skald, który porwał Ingigerdę i zostawił mnie na łasce jej rozgniewanego ojca. Widzę, że Vaering zrobił choć tyle, że przyprowadził ci bezpiecznie żonę. Podejrzewam zatem, że jest gdzieś w Dyragardzie. Pozwól mi wymierzyć mu sprawiedliwość.

Twarz władcy zasępiła się w sposób, jaki nie był jeszcze znany Blamadowi. Na wzmiankę o pieśniarzu konung wyraźnie stracił resztki dobrego nastroju.

– Spóźniłeś się o trzy dni. Karę jednak otrzymał, choć gdybym znał twoją opowieść, byłaby ona surowsza. Małżonka zapewniła mnie jednak, że choć Vaering ją porwał, sama chciała uciec od ojca.

Czarny wojownik poczuł ukłucie w sercu. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że dziewczyna umyślnie zostawiła go na łaskę Kola. Nie po tym, co razem przeżyli, i nie po słowach, w których zapewniała go o swoim przywiązaniu. A jednak nie miał powodu nie wierzyć kaganowi, a i bogowie podpowiadali mu, że to była prawda. Ingigerd wzgardziła jego opieką. A na dodatek była już teraz żoną innego.

– Zatem nie może być daleko stąd. Pozwól mi udać się jego tropem.

– Dość już zostało powiedziane o tym łotrze. Niech jego imię nie będzie więcej przywoływane w mojej wieży. Powiedz lepiej, co u twojego boku robi odrmad.

Haukrhedin nie odezwał się, odkąd przybyli do Dyragardu. Teraz siedział ze skrzyżowanymi nogami na drewnianej podłodze i zajadał się ziarnem zwędzonym z worków, które mijali w drodze do wieży.

– Haukrhedin wiernie ci służył podczas całej wyprawy. Jak już wspominałem, bezpiecznie przyprowadził nas do Treborga, a potem uratował mi życie, wyprowadzając z grodu. To wielki rębacz, który pragnie ofiarować swoje szpony na twoje usługi, panie.

– To prawda, hamramirze?

Bestialski wojownik nie zwrócił uwagi na Tirusa. Był zbyt zajęty jedzeniem.

– Nie wygląda na to, żeby był w stanie służyć komukolwiek. Straże!

Dwaj vardkarlowie podeszli do hamramira i wymierzili w niego włócznie. Nie zwrócił na to uwagi i dalej zlizywał ziarno prosto z dłoni.

– Nie, kaganie! Obiecałem, że nie stanie mu się krzywda i znajdzie tu władcę, który hojnie wynagrodzi jego służbę. Jeśli jednak nie pragniesz

jego usług, chociaż pozwól mu odejść w swoją stronę. Proszę cię o to.

– Prosisz mnie? Nie masz do tego prawa, Blamadzie! Nie zapominaj, że ty również zawiodłeś moje zaufanie i nie wywiązałeś się ze swojego zadania!

Władca dał w końcu upust wściekłości, która trawiła go od początku spotkania. Ali wyczuwał ją już wcześniej i wiedział, że wdzięczność za zdane próby była tylko częścią przedstawienia. Mimo wszystko nie uważał, by zasłużył sobie na takie traktowanie.

– Twój gniew jest słuszny, mój mężu – wtrąciła się do rozmowy Ingigerd. – Ale zważ na to, że ten człowiek o umyśle dziecka uratował mi życie i bezpiecznie zaprowadził mnie do Treborga, gdy byłam zagubiona w lesie.

– Zamilcz, kobieto! Za kim jeszcze się wstawisz?!

Czarny drużynnik nie rozumiał, dlaczego kagan złości się na żonę. Była przecież taka słodka i niewinna, a skrzyczana zaczęła pociągać noskiem i ocierać łzy napływające jej do oczu. Taką kobietę należało nosić na rękach. Chyba że... Berserk przypomniał sobie chwilę spędzone z nią w górach i skojarzył, że noc poślubna musiała się już odbyć. Jeśli konung oczekiwał dziewicy, w łóżu spotkała go niespodzianka.

Łzy Złotowłosej potrafiły jednak zmiękczyć serce każdego i również Tirus złagodniał. Po ojcowsku pogłaskał dziewczynę po głowie i powiedział:

– Już dobrze, już dobrze. Idź odpocząć do naszej sypialni.

– Zostanę. Miejsce żony jest u boku męża – odpowiedziała, ocierając ostatnią łezkę i prostując się na krześle.

Władca skinął na znak zgody i widać było po nim zadowolenie. Ali wiedział, że pan Glaesiru pragnął żony uległej, ale i silnej, którą pokochają poddani. Z oczarowaniem tych ostatnich na pewno nie miała kłopotów, zwłaszcza jeśli chodziło o ich męską część.

– Może mi służyć, jeśli sam wyrazi taką chęć – orzekł Tirus, wskazując palcem hamramira.

Wszyscy skupili uwagę na Haukrhedinie, który skończył w końcu dziobać językiem ziarno, wstał i oznajmił:

– Będziemy zabijać twoich wrogów. Odejdziemy, kiedy będziemy chcieli.

Władca gwiazd znowu się zasępił.

– Nie znajdziesz lepszego zwiadowcy, panie – dorzucił Ali. – Oferta odrmada nie jest gorsza niż ta, którą proponują ci najemnicy.

– Skradać umie się jak nikt – przyznał konung – ale wątpię, by poradził sobie z powtórzeniem w zrozumiałych słowach tego, co widział podczas przespiegów. W obliczu wojny marnotrawstwem byłoby jednak odrzucanie usług bitnego drenga. Pozwolę mu dowieść swojej wartości, a nawet dam zaszczytne miejsce w pierwszym szeregu podczas bitwy.

Teraz nadeszła chwila, w której Jastrzębioskóry powinien podziękować władcy za przyjęcie na służbę i zapewnić go o swojej wierności. Szaleniec nie miał jednak pojęcia, co to dobre wychowanie. Stał na jednej nodze, rozłożył ręce i zaczął nimi machać, jakby miał skrzydła. Wytatuowany gridin zdążył się przyzwyczaić do tych dziwactw i wiedział, że w ten sposób bestialski wojownik rozprostowuje kości po jedzeniu. Martwiło go wszakże to, że po owych ćwiczeniach zazwyczaj wydalał resztki pokarmu – i to nie zważając, gdzie przebywa.

– W taki sposób okazuje wdzięczność – zapewnił wszystkich Blamad. Odkąd poznał Skalda, zbyt często musiał naginać prawdę. Bo hamramir z pewnością był wdzięczny, tyle że właścicielowi ziarna, a nie kaganowi. – Twoja propozycja jest wspanialsza, niż mogliśmy oczekiwać.

– Wystarczy tego przymilania. Zabierz tego dziwaka sprzed moich oczu, zanim się rozmyślę.

Strażnicy z pewnością pogroziliby odrmadowi bronią, gdyby nie to, że przez cały czas i tak mierzyli w niego włóczniami. Brodaci Vaeringowie wyglądali na zakłopotanych, gdyż nie bardzo wiedzieli, jak zmusić szaleńca do wyjścia. Dźgać go przecież nie wypadało, skoro władca przyjął go na służbę. Na szczęście dla wszystkich Haukrhedinowi również znudziła się wizyta. Wydłubał więc jakieś ziarenko pomiędzy zębów, wypluł je na

podłogę, obrócił się i ruszył swoim pokraczynym krokiem do drzwi.

– Teraz opowiedz mi o oddziałach, które zgromadził Kol Mały – zażądał Tirus, gdy drzwi zamknęły się za zmiennokształtnym.

– Ogromna ich siła zgromadziła się wokół Treborga. Widziałem tam wiele koczowniczych ludów: Baganakijczyków, Chazarów, Bulgarów i Guezzijczyków. Ściągnęły również oddziały z Bjarmalandu wraz z tamtejszymi magami, wielu Saglabów oraz duży zaciąg Vaeringów, bo te psy są wszędzie tam, gdzie rzuca się dostatecznie wielką kość.

Strażnicy z Północy rzucili Blamadowi niechętnie spojrzenia, które zdradzały drzemiącą w nich chytryść i mówiły „tylko głupiec walczy za darmo”. Była to prawda, bo jeszcze nikt w Austrvegu, krainach Wschodu, nie widział Vaeringa, który bezinteresownie służyłby jakiemuś władcy. Ali słyszał, że nawet na Północy, w swoich rodzinnych stronach, sprzedają wierność tylko tym konungom, którzy mogą im zagwarantować łupy i srebrne pierścienie.

– To tylko tchórzliwi Tattarzy, którzy rozpierzchną się na widok moich wojsk.

– Z pewnością odwagi nie wyssali z wymion swoich koni, ale nie można ich lekceważyć. Kol Mały planuje utworzyć z nich jednolitą armię konnych, która pokona każdego przeciwnika w polu, a z pewnością nie jest tworzona w celach obronnych. Co więcej, władca Drzewnego Grodu rozpoczął gromadzenie wojsk, zanim jeszcze przybyliśmy z ofertą zaręczynową. Myślę, że wojna od początku była jego zamiarem, a ogłoszenie prób stanowiło tylko podstęp, który miał uśpić naszą czujność i przekonać, że pokojowe rozwiązanie jest możliwe. Władca Odainsaku zamierza zaatakować, a pod swoimi rozkazami ma od ośmiu do dziesięciu tysięcy zbrojnych.

W sali rozległy się ściszone głosy. Najbardziej ożywili się przedstawiciele veche, którzy zaczęli między sobą szeptać. Tylko jeden człowiek stał nieruchomo, obojętny na wszelkie nowiny. Wysoki bogatyra z okazałymi wąsami, który bez wątpienia był Vindmadem z Gardariki. Nosił szyszkowaty hełm zwieńczony okazałą końską kitą, a stał po prawej



stronie öndvegi, rzeźbionego siedziska konunga.

– Twoje wieści nas nie dziwią – rzekł kagan, choć poruszenie wśród zgromadzonych wskazywało na coś odmiennego. – Zwiadowcy już mi donieśli o liczebności wroga. Ale i my nie próżnowaliśmy, wiedzeni przecuciem, że nie można ufać w pokojowe zamiary Odainsakczyków. Gdy tylko wyruszyłeś po moją żonę, posłałem po najemników z Serklandów i Blalandu. A niedawno przybył silny oddział Vaeringów i armia Gardarikan, dowodzona przez osławionego w bojach Igora Dirowicza.

Bogaty w okazałym hełmie skłonił się lekko Alemu.

Szalony Odyniec zakwiczał wściekle w głowie Czarne Berserka. Nie tak umawiał się z Tirusem. Miał przywieźć mu żonę i zadbać o pokój, a okazało się, że każda ze stron od dawna przygotowywała się do wojny. Próby były tylko zabawą chłopców bawiących się w konungów, którzy chcieli popisać się przed dziewczynami i pokazać światu, który z nich jest lepszy. Szacunek poddanych był może i ważny, a z pewnością pomagał utrzymać posłuch, ale nic tak dobrze nie rozstrzyga sporów jak stal. Wytatuowany gridin wiedział o tym od dawna, ale mimo wszystko dał się uwieść pięknym słowom władcy i uwierzył, że ten kagan jest inny i naprawdę przedkłada pokój nad wojnę, a opanowanie nad gniew. Jakże wielkim był głupcem...

Wziął kilka głębokich oddechów i powstrzymał gniew. Sam był sobie winny, że nie słuchał podszeptów rozumu i za mało wziął sobie do serca powiedzenie muhammadan: „Mądrość jest ozdobą między waszymi przyjaciółmi i zbroją przeciwko waszym wrogom”.

– W takim razie musimy zaplanować wojnę – powiedział już bez żadnego śladu zdenerwowania. – Należy wysłać jazdę na spotkanie Hunów i przygotować piechotę do wymarszu. Czeka nas bitwa, o której będzie się mówić przez pokolenia.

– Usiądziemy do planowania, ale już nie z tobą.

– Kaganie, powinniśmy się naradzić jak najszybciej, nie ma czasu do stracenia. Jako dowódca twojego przybocznego gridu wezmę się do przygotowania piechoty...

– Nie słyszałeś moich słów? Szaleństwo odebrało ci rozum? Każdy, kto mnie zawiódł, musi ponieść karę. Nie jesteś już przywódcą mojej drużyny i nie poprowadzisz jej do bitwy. Obawiam się, że zbyt długo przebywałeś z hamramirem i przestałeś panować nad gniewem. A wódz nie może działać pochopnie. Pozostaniesz jednak członkiem gridu i być może któregoś dnia wrócisz do łask.

Okowy trzymające w uwięzi szal Wertragny rozgrzały się do czerwoności. Ale trzymały, bo Blamad schłodził je nienawiścią. Musiał być posłuszny. Przysiągł Tirusowi wierność na pięć lat, a nigdy nie łamał danego słowa. Pozostał mu jeszcze rok służby. Odwrócił się w kierunku drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – zatrzymał go konung. – Zostań! Twoja wiedza o wojskach Kola jeszcze nam się przyda. Tylko nie odzywaj się niepytany.

Nie odrzekł słowa i posłusznie wrócił na swoje miejsce, gdzie stanął ze spuszczoną pokornie głową. Gdyby tego nie zrobił i wciąż wpatrywał się w Tirusa, aesma mogłaby wziąć w nim górę nad opanowaniem.

– Wodzem naszej konnicy mianuję Igora. Pierwszym gridinem, a zarazem przywódcą piechoty, zostanie Gleb Hakonowicz. Radźcie więc, jak rozgromić naszych nieprzyjaciół.

– Pozwól mi, panie, wyjechać na spotkanie wroga – odezwał się Igor. – Trzy tysiące moich Gardarikan nawlecze na włócznie każdą ilość tattarskich psów.

– Nie – sprzeciwił się Gleb. – Czarny Berserk słusznie zauważył, że trzon wojsk Kola to jazda. Niech więc Hunowie rozbiją się o wały naszego gardu, gdzie ich szybkość i zwrotność będzie bez znaczenia...

Ali przestał słuchać narady. Nie robiło mu już różnicy, gdzie będzie rozwalać łby koczowników. Oczami wyobraźni zobaczył Haukrhedina, który skakał wokół niego, machając rękami jak ptak i jazgotał w ptasi sposób, naśladując szyderczy śmiech.

Ainar schylił się. Włócznia przeleciała nad jego głową i utkwiała w pniu. Rzucił się do przodu i ciął nisko, mierząc pod kolana wroga. Nie trafił czysto, ale miecz zdołał skrobnąć gołenie. Bogaty, szarpnięty bólem, klęknął, a wtedy na jego głowę opadła ciężka maczuga noszącego ubranie z kory skogarmada, który zaszedł go od tyłu.

Skald obrócił się i odskoczył przed toporem. Jego kolejnym przeciwnikiem był olbrzymi Vaering, który przerastał go o głowę, a swoją dwuręczną siekierą bojową władał z taką lekkością, jakby trzymał w rękach kijek. Pieśniarz nie miał tarczy, a miecz, odebrany jednemu z przeciwników, nie należał do najlepszych wytworów sztuki kowalskiej. Poeta był więc zmuszony płaść między wrogami, by unikać ciosów. Zasięg ramion potężnego drwala okazał się jednak stanowczo za duży, a on sam zbyt szybki, by Ainar zaryzykował przekroczenie niewidzialnej granicy wyznaczonej przez machnięcie brodatego topora. Wolał czekać na ponowne wsparcie skogarmadów. Ci jednak dobijali rannych i wcale nie kwapili się z pomocą.

– W wolnej chwili możecie się przyłączyć! – krzyknął Östmad, uchylając się przed potężnym rąbnięciem z góry.

Olbrzym i on byli już ostatnimi walczącymi. Leśni ludzie grabili trupy lub przyglądali się pojedynekowi, bawiąc się bronią.

Podniósł z ziemi jakiś nóż i cisnął nim w przeciwnika. Ostrze odbiło się od kolczugi, nie robiąc drengowi krzywdy. Topornik uśmiechnął się tylko na tę nieudolną próbę, a jego zimne oczy mówiły wyraźnie, że doskonale zdaje sobie sprawę z sytuacji. Nie miał szans na ujść cało, ale mógł przynajmniej zarąbać tego, kogo ścigał.

– A dlaczego mielibyśmy to zrobić? – Pytającym był Yngvar, beznosy przywódca banitów. Właśnie wycierał zakrwawiony miecz koszulą zdartą z umarłego.

– Jestem teraz banitą takim jak wy. Możemy zostać brać...

Nie zdołał dokończyć. Odchylił głowę, dzięki czemu ostrze topora ucięło mu jedynie kawałek zarostu, zostawiając szyję nietkniętą.

– Braćmi? Masz czelność znów do nas przychodzić i na dodatek ściągasz za sobą ludzi kagana. Tym razem nie ma tutaj chłopca i jego niedźwiedzia. Nie uratują cię.

Rzeczywiście ścigało go kilku ludzi, ale nie było to wielkie polowanie z psami, jak obiecał kagan. Widać złość minęła Tirusowi i uznał, że szkoda czasu oraz wysiłku na pościg za jednym banitą. Ainar czuł się lekko niedoceniony.

Przyznawał, że leśni ludzie mogli być trochę zdenerwowani, bo celowo zaciągnął do nich gridinów kagana. Długo ich zwodził, chowając się na drzewach i mylił trop, wędrując strumieniami, ale w końcu udało mu się przywieść ich do domku Nikolasa, z którego gościnności korzystał kilka tygodni temu. Skogarmadowie czekali już przygotowani, najwidoczniej zostali ostrzeżeni przez zwiadowców. Wspólnie ze Skaldem rozprawili się z oddziałem pościgowym, więc poeta miał nadzieję, że jego plan się powiedzie – korowi ludzie rozumieją, iż łączy ich wspólny wróg.

– Nie szukam ochrony. Co więcej, obiecuję, że ze mną narazicie się na takie niebezpieczeństwa, przez jakie nawet bogowie popuściliby w spodnie. Mogę wam dać to, o czym myśl utrzymuje was przy życiu i nie pozwala odejść w bardziej przyjazne strony. Zemstę.

Drwał zaryczał, wściekły, że nie może trafić przeciwnika. Musiał czuć się poniżony, że tak go lekceważono – pieśniarz, zamiast walczyć, wolał rozmawiać. Olbrzym zaatakował ze zdwojoną siłą. Zamachnął się toporem i uderzył poziomo, celując w tułów. Östmad odskoczył, a ciężkie żeleźce wbiło się w pień sosny. Właśnie na coś takiego Ainar czekał. Doskoczył i ciął z góry, mierząc w dłoń topornika.

Gridin kagana nie popełnił błędu – puścił broń, więc miecz przeciął samo stylisko. Na jedno uderzenie serca Skald stracił równowagę. Przeklęte jedno uderzenie serca, które mogło być jego ostatnim. Rosły wróg uderzył go pięścią w twarz i poeta poleciał do tyłu, by uderzyć plecami o ziemię. Powietrze tchórzliwie uciekło z jego piersi. Olbrzym ryknął,

wieszcząc swoje zwycięstwo, wyrwał topór z pnia i zamachnął się na gramolącego się z ziemi pieśniarza.

Świst strzały brzmiał jak pieśń o nadziei. Pocisk trafił w nogę gridina i przeszedł na wylot. Barczysty mężczyzna zachwiał się i zasyczał z bólu. Nie puścił wprawdzie styliska, ale jego cios stracił rozmach i ostrze broni uderzyło o ziemię. Wysłannik konunga spojrział w dół, na grot wystający mu z uda, po czym oparł się na toporze jak na lasce.

Jeszcze wstając, Ainar ciął od dołu. Miecz trafił pod brodę przygarbionego Vaeringa i uciął mu szczękę, aż po sam nos. Najemny dreng żył jeszcze przez chwilę, wijąc się u stóp Skalda.

Zwycięzcę nagrodziły śmiechy skogarmadów. Najbardziej rozbawiony był ten, który opuszczał łuk po udanym strzale. Poeta naliczył dwudziestu korowych mężów, ale wiedział, że w okolicznych lasach ukrywa się przynajmniej setka banitów okaleczonych w imię sprawiedliwości Tirusa. Bez rąk, palców czy nosów wyglądali jak oddział trupów powstałych z pola bitwy. Pieśniarz nie dał się jednak zwieść łachmanom, ubraniu z kory i pordzewiałej broni. Miał przed sobą twardych rębaczy, którzy niejedną zimę przetrwali w lesie. Opuścił więc miecz, gdy skogarmadowie otoczyli go i wcelowali w niego żelazo.

– Kupiłeś sobie trochę czasu na rozmowę, Skaldzie – powiedział Yngwar.

Östmad nie potrzebował niczego więcej.

## 31

Gard nie był miejscem dla nich. Wszędzie pełno ludzi i ich problemów. Dzieci wydzierały się bez powodu, baby głośno plotkowały, kłótnie handlarzy rozbrzmiewały nad targiem, a męskie śmiechy i przekleństwa dochodziły z placów, na których ćwiczili wojownicy. Gwar nigdy nie ustawał i choć w nocy trochę cichł, każdego ranka wybuchał z siłą większą

niż poprzedniego dnia.

Psy i koty plątały im się pod nogami. Haukr i Hedin zajadłe je kopali, gdyż jastrzębie nigdy nie żyły w zgodzie z pchlarzami. Człowiek i ptak chodzili po grodzie bez celu, czekając na kolejny przydział. Z wcześniejszymi nie poszło im najlepiej, chociaż się starali.

Najpierw zlecono im stróżowanie na umocnieniach dolnego gardu. Dano im włócznię oraz powyginany hełm i kazano stać między smerdowskimi synami przy wieńczącej wał palisadzie. Mieli wypatrywać nieprzyjaciela. Sąsiedzi opowiadali im o życiu na gospodarstwie, szczególną uwagę poświęcając wypasom bydła. Jastrząb i Płaszcz nie odezwali się do nich słowem, ale ci i tak zaczęli się kłócić, przekrzykując się nad ich głową. Poszło chyba o to, czy więcej mleka daje trzy-, czy czteroletnia krowa.

Tkwienie na umocnieniach wydało im się strasznie nudne i pozbawiane sensu. W końcu o wiele łatwiej dostrzec nieprzyjaciela z wierzchołka drzewa. Wątpili również w możliwość skutecznego zabijania za pomocą kija z metalowym grotem, który trzymali w rękach. Byli jednak wytrwali i nie skarżyli się. Musieli wszakże w końcu rozprostować kości, pewnego popołudnia wskoczyli więc na szczyt ostrokołu i przespacerowali się po zaostzonych palach. Następnie zaczęli po nich biec, od czasu do czasu dołączając przewrót w powietrzu. Ludzie byli zachwyceni – najwidoczniej nigdy wcześniej nie byli świadkami ptasiej zwinności. Kilku postanowiło popisać się taką samą sztuczką, a dziwnym trafem byli to ci sami, którzy wcześniej zabijali nudę stróżowania, popijając miód. Śmiałkowie nie mieli jednak zadatków na hamramirów. Jeden spadł na zewnętrzną stronę wału i złamał sobie nogę. Dwóch innych poślizgnęło się przy próbie biegu po palach i przysiadło na drewnianej ścianie okrzakiem, tak że zaostzone żerdzie wbiły im się w kupry. Zrobiło się wielkie zamieszanie i sam Gleb, dowódca gridinów, przybył, by znaleźć winnych. Tak zostali ptakiem ofiarnym i choć nie zabito ich na cześć bogów, wydano ze służby. I tak mało brakowało, żeby znów stanęli przed kaganem, ale Hakonowicz obawiał się, że odpowiedzialność spadnie i na niego, bo nie dopilnował swoich ludzi. Wolał więc siedzieć cicho i załatwić zmiennokształtnemu

przeniesienie.

Drugim przydziałem była służba u najemnych Vaeringów, którzy mieli ich przyuczyć do walki w skjaldborgu – murze tarcz. Sławne to ustawienie bojowe ludzie Północy mieli doskonale opanowane i dzięki niemu siali postrach we wszystkich krajach, w jakich się pojawili. Polegało na tym, że każdy z drengów z pierwszego szeregu trzymał tarczę, która osłaniała jego lewy bok oraz prawy bok sąsiada. W taki sposób zachodzące na siebie osłony tworzyły drewnianą ścianę, a wojownicy z drugiego szeregu mogli ją dodatkowo wzmocnić dachem, układając w podobny zakładkowy sposób tarcze nad swoimi głowami. Wtedy żaden deszcz strzał nie był im groźny.

Haukr i Hedin wiedzieli wszystko o tym szyku, bo nie raz walczyli przeciwko tak ustawionemu przeciwnikowi. Ale co innego wiedzieć, a co innego umieć w nim walczyć. Drewniane koło wydawało im się nieporęczne i z pewnością ich spowalniało. Woleli zdawać się na swoje uniki i odskoki, bo szybkość jest najlepszą bronią jastrzębi. Poza tym, trzymając deski zamknięte w żelaznej obręczy, nie mogli obnażyć szponów, a niepochlebne zdanie o walce kijem z grotem wyrobili sobie już wcześniej. Ciągłe też mylili, czy prawa krawędź ich tarczy powinna zachodzić na drewnianą osłonę sąsiada, czy chować się pod nią. A gdy ćwiczyli walkę w zwarciu, zawsze pierwsi odrzucali tarczę i łamali tym samym cały szyk. Uznano więc, że się nie nadają, i wydalono ich z oddziału.

Trzeci przydział ich ucieszył. W końcu skierowano ich tam, gdzie pasowali najlepiej – do zwiadu. Mieli dołączyć do oddziału Gardarikan, którzy konno przeczesywali okolicę. I tu znów pojawił się kłopot, ponieważ Haukr za nic nie chciał się zgodzić, by Hedin dosiadł wierzchowca. Nie umieli jeździć na rumaku, a Jastrząb w ich głowie nieustannie jazgotał, że nie po to ptak ma skrzydła, by szorować kuprem grzbiet innego zwierzęcia.

Vindmadowie z odległego Gardariki nie mogli się nadziwić, że nowy śmiał wzgardzić ich luzakiem, ale w końcu zgodzili się, by biegł koło nich pieszo. Zapewne spodziewali się, że nie dotrzyma im kroku.



Mocno się więc zdziwili, gdy Jastrząb i Płaszcz mknęli po stepie tuż obok nich, a niekiedy ich wyprzedzali. Natomiast gdy dotarli do lasu, Haukr przekonał Hedina, że nie warto czekać na konnych i lepiej będzie, gdy sami się rozejrzą. Wskoczyli więc na drzewa i rozpoczęli prawdziwy zwiad.

Sprawdzili każdy strumyk, zajrzeli za każdy pień. Przywitali się z tutejszymi jastrzębiami, podrażnili się z gałęźnikami<sup>[4]</sup>, zabili rysia. Dostrzegli skogarmadów, którym się wydawało, że potrafią poruszać się niezauważeni po lesie, podpatrzyli jakiegoś smerda bałamucącego dziewczynę w krzakach. Nieprzyjaciół żadnych nie zauważyli, ale wyczuli, że gdzieś tam w lesie grasują ich byli bracia hamramirzy. Nie pobiegli ich pozdrowić, choć mieli na to ochotę. Poszukiwania mogłyby zająć dni, a byli teraz członkami oddziału i musieli wykonywać rozkazy.

Pod wieczór wrócili do obozu i poczekali na powrót reszty zwiadowców. Gdy zjawili się Vindmadowie, ich przywódca oskarżył człowieka i ptaka o samowolne oddalenie się od oddziału i zarzucił im, że całe popołudnie spędzili, wylegając się w lesie. Jastrząb i Płaszcz opowiedzieli, że nowa para jastrzębi zaległa się ćwierć dnia drogi stąd, a dziki znalazły sobie nowe żerowisko nieopodal strumienia. Garadrikanin uznał, że Haukr i Hedin sobie z niego drwią, po czym czerwony na twarzy oznajmił, że mają wracać do gardu, zanim każe ich oblać smołą i wytarzać w pierzu. Nie zrozumieli tego żartu, ale usłuchali.

Pokraczne ludzkie nogi poprowadziły ich między magazyny i spichlerze. Tutaj ruch był największy. Zwożono ziarno, dzbany z piwem, suszone ryby i mięsiwa, bochny chleba i krążki żółtych serów. Dwóch niewolników kłóciło się, czy sery powinny być umieszczane razem z mięsem, czy układane obok worków z mąką. Zaprzęgnięte w woły wozy, które zajeżdżały przed drzwi budynków, były zawsze powożone przez trzech ludzi – smutny smerd trzymał lejce, a zbrojni po jego bokach dbali, by wytrwał w swojej szczodrości. Po rozładowaniu wozy ruszały w drogę powrotną, ale miały już tylko jednego pasażera – zrozpaczonego woźnicę.

Szykowano się do długiego oblężenia.

Haukr i Hedin minęli starca z siwą brodą, który klęczał przed vardkarlami i błagał ich z płaczem, by oddali część ziarna zabranego wczoraj z jego gospodarstwa. Tłumaczył, że w okolicy grasują potwory, które niszczą plony i palą spichlerze. Strażnicy byli niewzruszeni. Człowiek i ptak wspomnieli swoich byłych braci. Nie raz pomagali im rozsiewać strach i niszczyć zapasy przeciwnika przed nadejściem armii Kola.

Przeszli koło ściany, na której podsuszało się mięso, i zerwali kawałek koniny. Wartownicy spojrzeli na nich groźnie, ale nie odważyli się zaprotestować.

Zostawili gwar za plecami i podeszli pod rozległą szopę. Wspięli się na jej wysoki, spadzisty dach i przykucnęli na kalenicy. Mięso było dobre, ale woleliby coś świeżego i własnoręcznie upolowanego. Nie ma większego smakołyku niż zając w krwistym sosie, podany w samym futerku.

– Tutaj jesteś! Wszędzie cię szukałem.

Haukr i Hedin nie musieli spoglądać w dół. Już z daleka zauważyli, że Czarny Berserk krążył między domami.

– Możesz się przysiąść.

Ali był bardzo silny i nawet dosyć szybki, ale jednak niezdarny – przynajmniej w porównaniu z nimi. Gdy wspinał się po dachu, kilka deszczulek ześlizgnęło się na dół, a gdy przysiadł na kalenicy, ta wygięła się i cały dom zatrzęsł się, jakby zaraz miał się zawalić.

– Chodzą słuchy wśród gridinów, że służba u kagana ci nie służy – zagadnął wytatuowany drużynnik.

– Obiecaliśmy zabijać, nie służyć.

– Mimo wszystko mógłbyś się trochę postarać. Poręczyłem za ciebie.

– I jak na tym wyszedłeś? Konung cię nagroził?

Blamad zamilkł. Nawet Jastrząb i Płaszcz słyszeli, że został odtrącony przez władcę. W całym gardzie szeptało, że Ali jest teraz tylko zwykłym gridinem i nikt nie będzie żałował, jeśli ktoś pchnie go nożem w plecy. Haukr i Hedin zdążyli już zauważyć, że towarzysz cieszył się wcześniej

szacunkiem mieszkańców tylko dlatego, że kagan trzymał go u swego boku. Teraz, gdy pozbawiono go pozycji, wyszło na jaw, że ludzie mają go za dzikiego ludożercę, nad którym nie da się zapanować. Opowiadano, że próbował zjeść Ingigerdę i właśnie za to został ukarany.

– Wiem, co myślisz. Konung okazał się niewdzięcznikiem, tak jak ostrzegaleś. Może i rzeczywiście nie zostałem potraktowany sprawiedliwie, ale nie osądzaj Tirusa zbyt pochopnie. To mądry władca, który osiąga cel wszelkimi możliwymi sposobami. Nie zamierzam podważać jego decyzji i będę mu wiernie służył jeszcze przez najbliższy rok.

Haukr i Hedin myśleli o niskim panu zupełnie coś innego. Na swój ludzki sposób Tirus Wielki był roztropny, ale jedno czyniło z niego głupca – wiara, że zdoła utrzymać porządek tam, gdzie musi panować nieład. Jego wojsko może stać w równym szeregu, ale podczas bitwy i tak zderzy się z przeciwnikiem, tworząc mieszaninę ciał ulepionych z gniewu i nienawiści. Człowiek i Jastrząb nie zamierzali jednak znęcać się nad Czarnym Berserkim, więc nie wypowiedzieli swoich myśli. Chcieli tylko popatrzeć, jak szal wygrywa z rozumem.

– Podczas burzy i wiatr hula.

Ali popatrzył się na nich, jakby właśnie powiedzieli coś niedorzecznego.

– Tak... A wracając na ziemię, moja służba też nie jest wymarzona. Nigdy nie sądziłem, że życie prostego gridina może być tak pracowite i nudne zarazem. Zwożę żywność do grodu i pomagam ją rabować uczciwym smerdom. Jestem w tym najlepszy, bo wystarczy, że stanę na środku osady i uśmiechnę się do mieszkańców, a gospodarze sami ładują wozy. Pomagam też naprawiać wały i pogłębiać studnie. Mówię ci to, żebyś docenił, jak wielką szansę właśnie daje nam obu kagan, przydzielając nowe zadanie. Właściwie to początkowo chciał powierzyć je mnie, ale poprosiłem, bym mógł wybrać się z tobą. Twoje niezwykle umiejętności najlepiej wykorzystywać w walce.

– Podczas burzy i wiatr hula.

– Co ty tak z tą burzą? Na niebie nie ma ani jednej chmurki. Nie ciekawi

cię, jaki to przydział?

Człowiek użyczył jastrzębiowi gardła, a ten zajazgotał. Przyjmowali wszystkie zawłóści losu, nie zastanawiając się nad nimi.

Czarny drużynnik pogodził się z tym, że nie otrzyma innej odpowiedzi.

– Mamy popłynąć w górę Kamy i zatopić każdy statek, który wypłynął z Treborga.

Haukr i Hedin popatrzyli się na niego wrogo i zajazgotali ponownie, tym razem bardziej smutno. Nienawidzili wody i nigdy nie nauczyli się pływać. Za to umieli bardzo dobrze przewidywać pogodę.

## 32

Smyk kończył dzisiaj trzynaście lat, a wszyscy nadal traktowali go jak dziecko. Dzięki ojcu, wpływowemu kupcowi, wzięto go na wojnę, dołączono nawet do młodszego gridu kagana Kola Małego, co było uważane za wielki zaszczyt. Miał w końcu służyć u boku najznakomitszych drengów Odainsaku. Na drogę dostał nowiutką kolczugę, miecz, włócznię i tarczę oraz ojcowską radę: „Nie przynieś mi wstydu, synu”. Cały ten oręż nie na wiele mu się jednak przydawał, gdyż ciągle odsyłano go do pilnowania koni albo powierzano zadania typu „przynieś, zanieś”, które uwłaczały jego pochodzeniu. Lekceważono go, bo jeszcze nigdy nie walczył w bitwie i nikogo nie zabił. Dla doświadczonych wojowników był zaledwie chłopcem, na którego nie warto było zwracać uwagi, bo pewnie i tak polegnie w pierwszym starciu.

Tego popołudnia sytuacja miała się zmienić. Wezwano go do namiotu przywódcy gridu – i to nie gridu młodszego, złożonego z kupieckich synów, ale tego starszego, w którym służyli najlepsi drużynnicy. Smyk poszedł tam pełen niepewności, ale i nadziei.

Skinieniem głowy przywitał go sam pierwszy gridin, Magnolf Krwawa Siekiera. Jego przydomek wziął się od tego, że mężczyzna miał na obu

policzkach wytatuowane niebieskie topory, celujące ostrzami w nos. Powiadano, że jednym uderzeniem siekiery bojowej potrafi przeciąć konia na pół, a Smyk, patrząc na jego szerokie ramiona, nie śmiał w to wątpić. Inna wieść głosiła, że nie ma gorliwszego od niego blotmada – ponoć każdy zdobyczy topór oraz maczugę wrzucał do najbliższej rzeki lub jeziora, by oddać cześć swojemu ulubionemu bogu, walecznemu Magniemu. Mówiło się również, że niegdyś dowódca drużyny nosił imię Olaf, ale zmienił je, gdy Magni uratował mu życie w bitwie.

Rosły wojownik siedział na pniaczku, a po bokach miał swoich sławnych zastępców, Orma i Palma. Obaj byli znani z bezwzględności oraz z tego, że podczas napadów na wrogie osady zawsze gwałcili najwięcej kobiet.

– Jesteś synem Vikara? – przemówił Magnolf.

– Tak, panie.

– Świetnie. Mam więc zadanie w sam raz dla ciebie. Wykaż się, a staniesz w murze tarcz u mego boku.

Chłopak poczuł ciarki na plecach, a serce zaczęło mu szybciej bić. Pomyślał, że w końcu ktoś dostrzegł, że jest dorosły.

– Wszystko, co każesz, panie. Nie zawiodę cię.

– Słuchaj zatem. Udasz się do obozu Baganakijczyków i odnajdziesz ich przywódcę o imieniu Togrul. Poznasz go po złotych kolczykach w lewym uchu i tym, że nie ma jednego oka. Na razie wszystko jasne?

– Oczywiście.

– Dobrze. Kiedy staniesz przed jego obliczem, przekażesz mu wiadomość ode mnie. To bardzo ważne, byś powtórzył ją dokładnie w taki sposób, jaki ci to zaraz powiem. Masz dobrą pamięć?

– Znakomitą. Mój ojciec jest kupcem i ćwiczył mnie w liczeniu.

– Świetnie. Powiesz mu zatem, co następuje: „Magnolf Krwawa Siekiera odkrył, jak Tattar odróżnia w nocy klacz od swojej żony: ta druga jest ciaśniejsza”.

Trójka drengów ryknęła śmiechem, prawie spadając z pniaczków. Smyk

zgrzytnął zębami, ale pokornie spuścił głowę.

– Zapamiętałeś? – zapytał pierwszy gridin, ocierając łzy śmiechu.

– Tak.

– To powtórz.

– Magnolf Krwawa Siekiera odkrył, jak Tattar odróżnia w nocy klacz od swojej żony: ta druga jest ciaśniejsza.

Drużynnicy po raz drugi zanieśli się śmiechem, tym razem bardziej rozweseleni miną posłańca niż samym żartem.

– To na co jeszcze czekasz? – ponaglił go wytatuowany dreng. – Zmykaj i wracaj z odpowiedzią.

Chłopak wyszedł z namiotu, ledwo powstrzymując się od płaczu. Wojsko wyruszyło z Treborga już trzy tygodnie temu i jak na razie nie posmakowało krwi, nie licząc błahych potyczek z mieszkańcami napotkanych osad. Ludziom się nudziło i różnie umilano sobie czas. W czasie wypraw najpopularniejsza była właśnie zabawa w obelgi, która dobrze wpisywała się w niechęć, jaka panowała między oddziałami tak różnorodnego wojska. Bjarmalandczycy, Tattarzy, najemni Vaeringowie i przybocznicy kagana wysyłali do siebie umyślnych, za ich pośrednictwem obrażając się nawzajem. Trwała zatem wojna na wyczekanie – przegrywał ten, kto pierwszy dał się sprowokować i zabił posłańca. Wtedy obóz stawał na krawędzi wojny i zwaśnionych musiał godzić konung, który wprawdzie pozwalał na słowną rywalizację, samemu śmiejąc się z co bardziej wyszukanych obelg, ale pilnował porządku. Zwykle nakładał na przegranych główszczyznę za życie umyślnego, a zwycięzcom zmniejszał racje żywnościowe. Takie rozwiązanie zdarzało się rzadko, bo wodzów nie było łatwo wyprowadzić z równowagi. Także i podczas tej wyprawy jeszcze nikt nie zginął, choć kilku posłańców zostało poobijanych.

Smyk wiedział wszystko o tej zabawie, ale nie spodziewał się, że przekazanie obelgi zostanie zlecone jemu, synowi możnego Vikara, znanego ze śmiałych wypraw handlowych do Bulgaru, a nawet samego Miklagardu. Zwykle wykorzystywano do tego wyrostków z mało znacznych rodów, a nie wojowników, którzy weszli już w dorosły wiek. Nie cierpiał więc na myśl

o możliwym pobiciu czy śmierci, ale z powodu urażonej dumy. Jedyłą pociechą było dla niego to, że udane wywiązanie się z zadania rzeczywiście dawało pewną korzyść. Sława śmiałka, który rzucił groźnemu Hunowi obelgę w twarz i wyszedł z tego cało, nie trwała może długo, ale pozwalała zostać zapamiętanym przez starszych gridinów.

Idąc do obozu koczowników, minął połową siedzibę kagana. Zawsze się dziwił, jak można tak szybko postawić równie ogromny namiot – wszak wojsko zatrzymało się na postój późnym popołudniem, a jeszcze przed zmierzchem jurta Kola stała gotowa.

Trzynastolatek zatrzymał się w nadziei, że może uda mu się zobaczyć konunga albo chociaż karła-czarownika, ale strażnicy przy wejściu łypnęli na niego spod oka, a jeden z nich zdeptał jego dorosłość słowami:

– Zmykaj stąd, chłopcze.

Naburmuszony syn kupca ruszył dalej, ale nie uszedł kilku kroków, gdy usłyszał dźwięk rogów. Zawsze oznaczał, że dzieje się coś istotnego. Wiedziony przecuciem, schował się za najbliższy namiot i podkrał do buka rosnącego tuż za siedzibą władcy. Kol Mały zawsze rozbijał swoją siedzibę w pobliżu jakiegoś drzewa, co nie było takie łatwe, zważywszy na to, że większa część drogi wiodła przez step.

Smyk wspiał się na drzewo i czekał na rozwój wypadków. Z wysokości dostrzegł, że do obozu zbliża się duży oddział... pni. Przetarł oczy, ale wrażenie, że bezlistny las wędruje w jego stronę, nie zniknęło. Naprzeciw dziwnych przybyszów wyszedł oddział najemnych Vaeringów, którzy ustawili się w mur tarcz. Od strony obozów Tattarów nadjechał duży zagon jazdy i zaszedł obcych od tyłu. Ale do walki nie doszło.

Z wędrującego lasu oddzieliły się trzy pnie i podeszły do najemników. Mur tarcz rozluźnił się i przed szereg wyszli trzej drengowie. Przez chwilę cała szóstka rozmawiała, a potem ruszyła w kierunku środka obozu.

Kiedy znaleźli się bliżej, potomek Vikara dostrzegł, że wygląd pni nadawały nieznajomym długie szare płaszcze, do których podoczepiane zostały kawałki kory. Mężczyźni byli brudni, a ich twarze zakrywały maski wykonane z dużych kawałków kory, w których powycinano otwory na oczy



i usta.

Pochód zbliżył się do namiotu kagana, z którego wyszedł Kol, jeden z jego niewolników oraz Mödul. Do władcy dołączył również Magnolf wraz ze swoimi zastępcami.

– Panie – odezwał się Hogni, przywódca najemnych Vaeringów. – Ci ludzie zapewniają, że mają dla ciebie ważne wieści.

Konung obrzucił przybyszy pogardliwym spojrzeniem, dzielając odczucie, jakie żywił wobec nich Smyk. Nie wyglądali ani przyjemnie, ani sztywnie, więc gdyby chłopak stał na miejscu władcy, kazałby poszczuć tych obdartusów psami. Ojciec zawsze mu powtarzał, że nie warto rozmawiać z mężczyzną, który nie potrafi zadbać o swoją broń. A porzewiałe miecze i topory tych ludzi wyglądały, jakby wygrzebano je z jakiejś mogiły.

– Skogarmadowie – powiedział kagan i splunął obcym pod nogi. – Zwiadowcy donosili mi o waszym oddziale. Tak się właśnie zastanawiałem z Mödulem, czy kazać was wyróżnić, czy najpierw zapytać, dlaczego ciągnięcie za moim wojskiem.

Kol Mały zaczął rozmowę w języku Vaeringów, bo choć mową tą nie posługiwało się wielu jego poddanych, znał ją każdy, kto miał coś ważnego do powiedzenia. Dla Smyka, kupieckiego syna, było to oczywiste.

– Mądry konung zawsze pyta głowę Mimira o radę, nim podejmie decyzję – powiedział jeden z banitów. Potomek Vikara nie odróżniał ich od siebie, bo choć widział ich jak na dłoni, to płaszcze i maski całej trójki były takie same. Dlatego po sposobie, w jaki się zachowywali, nazwał ich w myślach: Gadułą, Gburem i Milczkiem. Teraz przemawiał ten pierwszy. – Przewidzieliśmy twoje wahanie i pospieszyliśmy, by wyjaśnić ci nasze zamiary.

– Prawda to – dodał Gbur.

– Aha – uzupełnił Milczek.

– Mówcie więc i nie marnujcie mojego czasu.

– Chcemy się do was przyłączyć – oznajmił Gaduła.

– A na cóż mi usługi morderców, złodziei i kłamców, których pobratymcy skazali na wygnanie?

– Ponieważ wygnał nas twój największy wróg, Tirus Wielki. Nie będę cię oszukiwał. Część z nas zasłużyła sobie na trudny żywot leśnych ludzi, ale większość zawiniła tylko nieposłuszeństwem wobec niesprawiedliwych praw narzuconych przez kagana – dzięki czemu nie straciła swojego tiru ani tignu. Sława i honor są dla nas najważniejsze. Dlatego nie traktuj nas jak banitów, ale raczej jak wojowników w walce z niesprawiedliwością Dyragardu.

Słowa te wydały się Smykowi głupotą, wszak ojciec go nauczył, na czym tak naprawdę polega świat. Wszystkim kieruje proces kupna i sprzedaży. Handlarz oferuje zboże głodującemu i w zamian otrzymuje zapłatę. Matka sprzedaje dzieciom swoją opiekę, za co otrzymuje na starość dach nad głową. Konung zapewnia drengom pierścienie i opiekę dla ich rodzin, a w zamian otrzymuje ich krew przelaną w bitwach. Bogowie zsyłają pomyślność za odpowiednio bogatą ofiarę, a córki pana mórz Aegira i olbrzymy władające rzekami oczekują od żeglarzy – w zamian za dobrą pogodę – wrzucenia do wody monet. Jeśli ktoś uważał, że został oszukany przez los rządzący tym procesem wzajemnej wymiany, znaczyło to, że jest kiepskim kupcem i zasłużył na poniesienie strat. Skoro skogarmadowie dali się wygnać z własnych domów, z pewnością zasłużyli na swoje przeznaczenie i godni są jedynie pogardy.

– To wciąż nie wyjaśnia, na co mi usługi wygłodniałych kalek.

– Raczej dwóch setek drengów, którzy z dumą noszą swoje rany i walczą zaciekle jak wilki. Z pewnością znajdziesz dla nas jakieś zajęcie. Dla ułatwienia dodam, że znamy każdą ścieżkę w okolicznych lasach i każdy bród na tutejszych rzekach. Wiemy, gdzie najlepiej rozbić obóz, gdzie jest najdogodniejszy wodopój i który strumyk niesie najczystszą wodę. Możemy być pomocni w zaopatrzeniu wojska, bo wszędzie mamy porozkładane sidła. Umiemy też wskazać, w których osadach stoją największe spichlerze i gdzie smerdowie ukrywają żywność przed rabusiami.

– Moi ludzie głodni nie chodzą, a Itilem płyną statki ze zbożem, którego

wystarczy nam na rok oblężenia Dyragardu.

– Poza tym lepiej mieć na smyczy kundle niż ranne wilki, które w każdej chwili mogą ugryźć – dodał Magnolf.

Gbur warknął, splunął pierwszemu gridinowi pod nogi i powiedział:

– Mówisz o sobie, psie?

Wytatuowany dreng uniósł brodaty topór, który trzymał w rękach, i zrobił krok do przodu. Kagan powstrzymał go jednak niedbałym gestem, a jego śladem poszedł Gaduła, który opanował swojego człowieka, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Ręczę za swoich ludzi. Niektórzy są porywczy, jak na prawdziwych bogatyrów przystało, ale można na nich polegać.

– To wciąż za mało, by zaryzykować przymierze z wami.

– Wszyscy pochodzimy z Dyragardu. Wiemy, w których miejscach wały są gorzej usypane i gdzie palisada jest mniej solidna – tłumaczył dalej Gaduła.

Smyk znał kagana na tyle, by wiedzieć, że bardzo szybko podejmuje decyzje. Jeśli Kol do tej pory nie przyjął oferty skogarmadów, ich sprawę można było uznać za przegraną. Kupiecki syn usadowił się lepiej na gałęzi i niecierpliwie czekał, kiedy zacznie się rzeź. Obstawiał, że Magnolf zetnie głowę Gburowi, przywódca Vaeringów nawlecze Milczka na włócznie, a Gadułą zajmie się sam konung, rozrąbując mu tułów mieczem, od ramienia aż po brzuch.

– Wystarczy, że pojnę kilku smerdów i powiedzą mi to samo.

– A czy pomogą ci odzyskać córkę? – wtrącił się do rozmowy Milczek.

Władca błyskawicznie obrócił głowę i spojrzał ze złością na skogarmada.

– A jak niby wy możecie mi pomóc? Wiem dobrze, że jest w Dyragardzie i wzięła już ślub. Tirus rozgłasza to, gdzie tylko może, bo myśli, że w ten sposób zyskuje prawo do władania Odainsakiem. Ale gdy jego głowa potoczy się do mych stóp, Ingigerd zostanie wdową, a ja znajdę jej godniejszego męża.

– Świetny plan. – Gaduła znów wrócił do układów. – Musisz tylko prosić bogów, by oszczędzili ją podczas rzezi, która wybuchnie po zdobyciu gardu. Jak myślisz, czy pokonany Tirus odda ci córkę, czy raczej pchnie ją nożem?

Kol warknął w sposób, jaki nie przystawał kaganowi.

– Jeśli spadnie jej włos z głowy, spalę Dyragard i wyrnę wszystkich jego mieszkańców.

– Słuszna jest ojcowska zemsta. Ale czy nie lepiej porwać dziewczynę z grodu, nim zacznie się oblężenie? Wciąż mamy wielu przyjaciół w Dyragardzie, którzy mogą pomóc małemu oddziałowi dostać się do twierdzy i wykraść twoją córkę.

– A jako gest dobrej woli przekazemy w twoje ręce psa, który uprowadził Ingigerdę z Treborga – obiecał Gbur.

Powiedzieć, że konung się ożywił, to jak przyznać, że pierścień jest ledwie ładną ozdobą. Zmrużył oczy, poruszył płatkami nosa, napiął mięśnie karku i bardzo powoli zapytał, kładąc nacisk po kolei na każde słowo:

– Ainara Skalda? Zdołaliście go schwytać?

Smyk słyszał o tym Vaeringu i nawet skrycie go podziwiał za odwagę i bezczelność. Choć władca początkowo utrzymywał, że jego córka zaniemogła i leży w domu, szybko zaczęto szeptać, że została porwana. A kiedy Ali Czarny Berserk uległ karłowi w grze w szatrandż i razem ze zbuntowanym hamramirem zorganizował rzeź pod Hallą Drzewa, stało się dla wszystkich jasne, że ta trójka uknuła spisek, by pojmać Ingigerdę i zgładzić kagana. Dlatego na dźwięk imienia poety nie tylko Kol, ale i wszyscy jego ludzie zacisnęli dłonie w pięści lub wzmocnili uchwyty na rękojeściach broni.

– Sam do nas przyszedł, chcąc, byśmy mu pomogli zorganizować zasadzkę na Tirusa Wielkiego. Ale uznaliśmy, że układ z tobą będzie korzystniejszy.

– Słusznie. Wydajcie mi go, a rozważę przymierze z wami.

Banici popatrzyli po sobie, przesyłając wiadomości gestami. W końcu

cała trójka przytaknęła, a Gaduła ogłosił ich decyzję:

– Najpierw skończmy się układać. Potem damy ci Skalda.

Kagan zamyślił się, a jego zmarszczone czoło zaczęło przypominać korę starego dębu.

– Nie nazwę swoim przyjacielem kogoś, kto ukrywa przede mną twarz. Zdejmijcie maski.

Przybysze się zawahali.

– Wiesz, panie, że jesteśmy skogarmadami. Vargami żyjącymi w lesie jak wilki – zaczął tłumaczyć Gaduła. – Naszą tradycją jest ukrywanie twarzy przed światem, który nas odrzucił. Wyrzekamy się swoich imion i dla wszystkich obcych stajemy się bezimiennymi dziećmi puszczy. Chroni nas to przed oczami smerdów, którzy może i są strachliwi, ale w kupie lubią polować na co znaczniejszych z nas, licząc na nagrodę.

– Nie dbam o wasze zwyczaje. Jeśli mamy dobić targu, musicie pokazać swoje szkaradne gęby. W innym razie czeka was rozmowa z Magnolfem, który spragniony jest nauki i zawsze uzyskuje od swoich nauczycieli tę wiedzę, na jakiej mu zależy.

Dowódca drużyny przybocznej rozwiął wątpliwości, w jaki sposób zwykł się uczyć, gładząc brodę topora. Podrażniona palcami siekiera wydawała złowrogi metaliczny dźwięk.

Skogarmadowie ponownie naradzili się gestami, chrząknięciami i kiwnięciami. W końcu Gaduła sięgnął za tył głowy, popracował chwilę nad rzemieniem i ściągnął maskę.

Ukryty na drzewie chłopak dostrzegł brzydką twarz bez nosa. Niebieskie oczy i pewność siebie świadczyły, że banita był Vaeringiem. Nie miał zarostu, a jego krótkie brązowe włosy były tak zmierzwione, że przypominały gniazdo kosa.

– Na imię mam Yngvar i jestem przywódcą skogarmadów. Uprzedzając pytanie: nos straciłem, gdy po pijaku powiedziałem gridinom Tirusa, że gównu smerda i kagana śmierdzi tak samo. Doniesiono o tym konungowi, a ten ukarał mnie za brak szacunku. Uciekłem zaraz po wymierzeniu kary,

dobrowolnie skazując się na banicję.

– Ja okazuję więcej sprawiedliwości swoim ludziom. Jeśli są wobec mnie lojalni, mogą mówić, myśleć, a nawet wachać, co tylko zechcą. Zawrzemy układ. Teraz pora na twoich ludzi.

– Kaganie. Pokazałem ci swoją twarz, biorąc na siebie brzemię łamacza tradycji skogarmadów. Pozwól zatem zachować maski moim ludziom.

– Coś za bardzo chcą pozostać nierozpoznani. Niech drzewa ściągają korę albo każę drwalom je ściąć!

Zamaskowani banici nawet nie drgnęli.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego zakrywamy twarze – odezwał się Milczek. – Niektórzy z nas mogli mieć w przeszłości zatargi z twoimi ludźmi i nie chcemy, by to wpłynęło na naszą dalszą współpracę.

– Niektórzy, czyli wasza dwójka? A z kim byliście w zwadzie?

– Wydaje mi się, że ich rozpoznaję. – Głos był donośny, ale jego właściciel mały i pokraczny. Smyk poszukał wzrokiem Mōdula, który w towarzystwie wysokich mężczyzn wyglądał jak ułomne dziecko – takie, które wystawia się w zimie na mróz, by umarło.

Obcy drgnęli, a syn kupca zauważył, że ich dłonie przesunęły się bliżej mieczy, które nosili przy pasie.

– Jeden z nich jest złodziejem, który ukradł mi coś, co znajdowało się pod moją opieką. Ale zdarzyło się to już jakiś czas temu, nie żywię zatem wobec niego urazy.

Milczek zwrócił głowę ku karłowi i choć jego twarz zakrywała maska, Smyk był pewny, że przybysz uważnie przygląda się czarownikowi.

– Nie macie się zatem czego obawiać. Skoro poszkodowany nie chce was ukarać, i ja nie będę się mścić. Możecie śmiało pozbyć się kory z twarzy.

Leśni ludzie dalej szli w zaparte, a ich ręce ciążyły ku broni. To nie podobało się Kolowi, który nie przywykł, by mu się sprzeciwiano. Jako syn kupca Smyk dobrze o tym wiedział, pamiętając o losie, jaki spotkał handlarzy, którzy oszukali kagana.

– Propozycja tych ludzi jest dla nas korzystna – stwierdził czarownik – a ich przywódca poszedł na ustępstwo. Pozwól więc chociaż jego ludziom zachować twarz, a raczej pozostawić je zakryte. – Karzeł zaśmiał się ze swojego żartu, ale ten nikogo innego nie rozbawił. – Może więc zrobimy tak: odbierz od nich przysięgę wierności, sam złoż im przysięgę opieki, a potem zażądaj zdjęcia masek. Jako twoi ludzie nie będą mogli odmówić.

Konung milczał przez chwilę, zapewne ważąc słowa doradcy. Podrapał się po blond włosach, pokazując tym samym, że jego ramię jest grube jak konar, a pierś szeroka niczym pień dębu.

– Przystajecie na te warunki? – zapytał Kol, zwracając się do zamaskowanych.

Skinęli głowami.

– Przynieść trzy pierścienie – zażądał władca.

Niewolnik kagana opuścił zgromadzonych i zniknął za połami namiotu. Szybko wrócił, niosąc trzy naramienne pierścienie ze srebra. Każda z ozdób miała kształt węża, który chciał zjeść własny ogon.

Władca sięgnął po pierwszą obręcz i wręczył ją Yngvarowi.

– Przysięgam na pierścień, że będę ci wiernie służył, aż Tirus Wielki nie padnie pokonany u twych stóp – powiedział przywódca skogarmadów i uklonił się głęboko.

– I ja obiecuję, że w zamian za twój miecz i krew przelaną w bitwie roztoczę nad tobą opiekę. Nie będziesz chodził głodny i spragniony, a po zwycięskich bitwach dostaniesz swój udział w łupach. Jeśli jednak pokażesz plecy moim wrogom lub złamiesz przysięgę wierności, niech Jednoręki zstąpi z nieba, by uciąć ci prawicę, a ten srebrny pierścień niech stanie się żywym wężem, który pożre twoje serce.

Yngvar ściągnął płaszcz i włożył dłoń w obręcz, którą przeciągnął na ramię. Piękna ozdoba wyglądała dziwacznie na tle rękawa brudnego, zielonego kyrtyllu.

– Jesteś moim konungiem – obdarowany zakończył rytuał.

W ten sam sposób Kol Mały odebrał przysięgi od pozostałej dwójki.



Tylko ostatni z nich, Milczek, złożył swoje przyrzeczenie nieco innymi słowami:

– Na pierścień, który mi wręczasz, i miecz u mego boku klnę się na bogów i norny trzymające nożyce nad tkaniną mego życia, że będę ci przyjacielem, dopóki krew Tirusa Wielkiego nie ucieknie z jego ciała, a jego trzewia nie mieszają się z błotem. Obiecuję odebrać Tirusowi jego żonę i oddać w twoje ręce Ainara Skalda, który tak bezczelnie cię oszukał.

Na miejscu varga Smyk nie mówiłby tak głośno o tym oszustwie, choć trudno było inaczej nazwać porwanie Ingigerdy. Kagan nie lubił jednak, gdy przypomniano mu o porażkach. Ale nawet jeśli czuł złość, nie okazał tego, tylko w zwyczajowy sposób zakończył odbieranie przysięgi.

– Skoro jesteście już moimi ludźmi, okażcie mi szacunek i należycie się przedstawcie – zażądał władca, choć widać było, że po słowach Mödula jego ciekawość już się ulotniła i robił to tylko z obowiązku.

Pierwszy maskę zdjął Gbur, który oznajmił:

– Zwą mnie Nikolas. Nie mówię dużo, bo pochodzę z Południa i gęba mnie boli od tych vaerińskich kwików.

Ci, w których płynęła krew Północy, zmierz yli varga niechętnym spojrzeniem. Ale nikt nie raczył mu odpowiedzieć.

– A mnie – powiedział Milczek, rozwiązując rzemień maski – zwą Ainarem Skaldem, który wyrzekł się imienia swojego ojca i nad którego nie ma bieglejszego w strof składaniu. I tak jak obiecałem, oddaję się w ręce kagana.

Słowa przybysza nie wzbudziłyby większego zdziwienia, nawet gdyby ten oznajmił, że jest gardskonungiem Miklagardu albo zaczął tańczyć nago dookoła Kola. A przecież tylko rzucił brzozową korę pod nogi konunga i uśmiechnął się wyzywająco.

Smyk nigdy nie widział poety, ale po zachowaniu zebranych ludzi domyślił się, że skogarmad naprawdę był tym, za kogo się podawał.

Władca ryknął, a jego ryk brzmiał jak trzask starego jesionu wyginającego się podczas burzy.

– Ty kłamliwy wężu, ty psie ze skundlonej suki! Każę drzeć z ciebie pasy i wyrwać ci język!

Obstawa kagana dobyła broni i wymierzyła ją w pieśniarza. Skogarmadowie też obnażyli żelazo, ale nie bardzo wiedzieli, jak się zachować: oddać gardła w obronie towarzysza czy dochować nowo zawartej przysięgi.

– Nie zapominaj, że teraz jesteśmy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi?!

Kol Mały rzucił się do przodu z zaciśniętymi pięściami. Östmad zdołał się uchylić przed prawicą zacierającą ku jego szczęce, ale wtedy na brzuchu Ainara wylądowała lewa pięść siłacza. Skald zgiął się wpół i zrobił trzy kroki w tył. Konung podążył za nim i widać było, że miał ochotę zatłuc banitę na śmierć. Między walczących wkroczył jednak Mödul. Sięgał olbrzymowi zaledwie do pasa i kiedy oparł o niego dłonie, wyglądał jak chrząszcz toczący kulę gnoju do swojego legowiska.

– Uspokój się, kaganie. Skald słusznie zauważył, że jest teraz twoim człowiekiem. Zawarłeś z nimi układ, a prawdziwa tożsamość skogarmadów nie zmienia jego warunków.

– Zamilcz, karle! Nie ostrzegłeś mnie, kto kryje się za maską, choć podobno go rozpoznałeś!

– Poeta świetnie panuje nad głosem i umie go zmieniać, ale mnie nie zdołał oszukać. Milczałem jednak, ponieważ propozycja korowych mężów była dobra i korzystna dla nas wszystkich. Jeśli chcesz odzyskać córkę, musisz powściągnąć swój gniew. Nie wymagam, byś zapomniał o krzywdzie, ale odłóż zemstę przynajmniej do czasu, aż nasz wspólny wróg zostanie pokonany.

Władca zaprzestał prób wyminięcia czarownika i stanął w miejscu. Rozluźnił pięści i rozmasował nadgarstki.

Smyk czuł się zawiedziony, że jednak nie dojdzie do walki. Siedząc okrakiem na konarze, przesunął się trochę do przodu, by lepiej słyszeć.

– Nie żywię do ciebie urazy – zapewnił kagana pieśniarz. – Podczas

spotkania w Treborgu wykonywałem tylko rozkazy Tirusa.

– Który kazał ci porwać moją córkę.

– Nie. To była robota Aloszy Czuryłowicza, który już zawisł za ten czyn. Dowiedziawszy się, że Tirus to człowiek bez tiru i tignu, który swoich ludzi wynagradza tylko żelazem, porzuciłem jego służbę i poprzysięgłem go zniszczyć. Już samo to czyni nas przyjaciółmi.

Konung podszedł do jednego ze swoich ludzi i wyrwał mu z rąk włócznie. Bawił się nią przez chwilę, a następnie wskazał grotem pierś Skalda i powiedział:

– A jednak trudno mi będzie ci zaufać.

– Zaufanie to ułuda, jaką mężowie karmią swoje żony, gdy chcą odwiedzić łożę sąsiadki. Wypełnię przysięgę i nie oczekuję, że w zamian zaprosisz mnie do własnego skarbcza. A na dowód swojej przydatności zdradzę ci, że na tamtym drzewie siedzi ktoś ciekawy naszych rozmów. Nie trzeba pytać głowy Mimira, by domyślić się, że to zwiadowca Tirusa Wielkiego. Albo twój człowiek, który przekazuje wiadomości do Dyragardu.

Smyk rozejrzał się po okolicznych drzewach, nielicznie rozsianych między namiotami, by dostrzec tego zdrajcę. Gdy nikogo nie zauważył, przyszło mu do głowy, że poecie mogło chodzić o niego. Tym bardziej że wściekły kagan wpatrywał się wprost w konar, na którym siedział trzynastolatek. Syn kupca cofnął się w kierunku pnia i niechcący trącił nogą o gałązkę. Ze strachem dostrzegł, że Kol unosi włócznie do rzutu. Chciał krzyknąć, że to pomyłka, że jest tylko ciekawskim chłopcem, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Zobaczył nadlatujący pocisk i na gadanie było już za późno. Poczuł potworny ból, gdy wielki grot przebił jego chudy brzuch i wyszedł plecami. Siła rzutu pociągnęła wątłe ciało do tyłu i przytwierdziła je do pnia. Nie było na całym Wschodzie lepszego włócznika nad Kola Małego. Tuż przed śmiercią Smyk pomyślał, że przynajmniej umiera jak mężczyzna. W końcu został zauważony.

Podczas burzy wiatr hulał. Woda wlewała się na pokład, jakby mało mieli tej, która spadała na nich z góry. Żagiel łopotał jak ryba wyciągnięta na brzeg, a statek bujał się niczym kołyska w rękach pijanego wuja. Ali wymiotował za burzę, łącząc się w bólu nienawiści do rzecznych rejsów z Haukrhedinem, a Vaeringowie śmiali się z nich na całe gardło, pokrzykując, że to przecież tylko niemrawe pohukiwania boga Magniego, które są dziecinnymi igraszkami w porównaniu ze sztormem na pełnym morzu. Jednak nawet dla tych twardych żeglarzy z Północy dalsza podróż stała się niemożliwa.

Statek musiał dobić do brzegu, podobnie jak cztery pozostałe, które za nim płynęły. Okręty zostały wyciągnięte z wody i przeniesione między drzewa. Berserk spodziewał się, że Vaeringowie po prostu je tam przeciągną po ziemi, ale żeglarze kochali swoje statki miłością nieskalaną, która każe nosić ukochane na rękach. „Czasem my kroczyliśmy na wiosłach, a czasem statki kroczyły na naszych barkach” – wyjaśnili.

Okręty ludzi Północy były właściwie łodziami, tyle że znacznie dłuższymi. Czarny gridin nie mógł się nadziwić, jak tak wąskie stateczki mogły wygrywać walkę z nurtem i niesprzyjającym wiatrem. Miały niskie burty i małe zanurzenie, a kiedy woda stawała się wzburzona, wyglądały jak dryfujące pnie – dlatego łodzie tego typu nazywano snekkjami<sup>[5]</sup>. Każdy statek miał też swoje imię, a brało się ono od tego, co przedstawiała rzeźba na jego dziobnicy. Ten, na którym płynął Ali, zwany był „Bitewnym Żurawiem” i właśnie głowa tego ptaka widniała na przedzie okrętu, w miejscu, gdzie stewa i wszystkie pasy poszycia zawijały się do góry i łączyły. Pozostałe długie łodzie z ich małej floty znano jako „Rogatego Tura”, „Morskiego Węża”, „Rzecznego Wilka” i „Niegrzecznego Niedźwiadka”.

Wszystkie statki miały maszty i kwadratowe lniane żagle, ale za ich pomocą tylko wprawiano okręty w ruch. Za osławioną szybkość okrętów bojowych ludzi Północy odpowiadały wiosła. Flota wysłana przez Tirusa

składała się z łodzi rodzaju *tuttugusessar* – dwudziestoławkowców – co oznaczało, że na każdej z nich było czterdziestu wiosłarzy. Załogę uzupełniali sternicy oraz po jedenastu drengów stojących w części dziobowej każdego ze statków. Razem armia liczyła ponad dwie północne setki<sup>[6]</sup> doświadczonych snekkjamadów.

Burza trwała dwa dni. Nie grzmiało może przez cały czas, ale Vaeringowie nie chcieli ruszać dalej, póki ciemne chmury zasłaniały słońce, a porywisty wiatr trwał w sojuszu ze wzburzonym nurtem i utrudniał żeglowanie w górę rzeki. Nie był to jednak czas zmarnowany. Pracowali toporami, drwiąc sobie z deszczu i gromów, które uważali za odgłos rozbijania czaszek olbrzymów przez walecznego Magniego. Ścięli kilka wysokich brzóz, ociosali pnie w zgrabne bele i ułożyli je na pokładach. Czarny Berserk nie znał się na budownictwie, potrafił co najwyżej postawić niezgrabną chatę, ale wiedział co nieco o praktycznym podejściu do życia ludu Północy, który równie chętnie zajmował się wojaczką jak kupiectwem. Dlatego obstawiał, że żeglarze gromadzili drzewo, by potem sprzedać je w Dyragardzie. Spytał ich nawet o to, ale drażnili się z nim, odpowiadając, że będą budować gród na rzece.

Świt po burzy zawsze jest pogodny i przynosi nadzieję, że Allah czy Ormuzd nie zapomniał o świecie, który stworzył. Tak było i tym razem. Gdy Ali, leżąc pod liściastym dachem, otworzył oczy z zamiarem odmówienia porannej jaszty na cześć wschodzącego słońca, wiosłarze przynosili już statki na wodę, radośnie pogwizdując, ale i przeklinając ciężar okrętów. Szybko uporali się z tą pracą i nim świetlista tarcza zdążyła na dobre osadzić się na niebie, wiosła zaczęły burzyć wodę.

Gridin Tirusa był świetnym pływakim, ale nie przepadał za wodą, choć i w jego rodzinnych stronach częściej niż dromederami posługiwano się łodziami. Należał jednak do tych wielbicieli stałego lądu, którzy zawsze wybierają most i wierzchowca zamiast brodu i pokładu statku. Jego niechęć do żeglowania była jednak niczym w porównaniu z lękiem, jaki do wody żywił Haukrhedin. Hamramir albo przesiadywał na środku statku, trzymając się kurczowo masztu, albo chował się w przestrzeni między pierwszą

ławką a dziobnicą. Nawet gdy brzuch odmawiał jastrzębiemu drengowi posłuszeństwa, tylko nieznacznie wychylał się za burłę, nie dbając, że w ten sposób brudzi poszycie. Wioślarze denerwowali się na niego z tego powodu, ale nikt nie śmiał mu zwrócić uwagi – mścili się natomiast w inny sposób i od czasu do czasu uderzali wiosłami tak, by woda ochlapała tego miłośnika ładu. Za każdym razem gdy im się to udawało, odrmad kulił się przestraszony i otrzepywał jak mokry ptak, który z powodu wilgotnych piór nie może wzbić się w powietrze.

Minęło już sześć dni, odkąd opuścili przystań nieopodal Dyragardu. Początkowo podróż była sielanką, gdyż płynęli w dół Itilu. Dopiero kiedy natrafili na rzeczne skrzyżowanie, Vaeringowie chwycili za wiosła i skierowali statki w górę Kamy. Ali dobrze wiedział, że właśnie ten rzeczny trójnóg był najcenniejszym miejscem w regionie, o który stale rywalizowały trzy ośrodki. Tirus Wielki na swojego największego wroga wybrał Kola Małego i z nim toczył boje o przywództwo i kontrolę nad handlem w dorzeczu Itilu i Kamy, ale nie mniej groźne było wielkie i dostatnie miasto Bulgar, którego kagan panował nad całym dolnym Itilem, aż do Chazarii. Obaj zwaśnieni konungowie musieli się słono opłacać władcy tego ośrodka, by ich statki mogły korzystać z przystani jego miasta i bez zakłóceń podróżować dalej. Na szczęście dla nich obu kagan Bulgaru nie miał wystarczająco silnej floty, by przeciwstawić się Vaeringom i samodzielnie zawładnąć całym handlem w regionie. Zdaniem Blamada ta sytuacja nie mogła trwać wiecznie i jeśli z kimś opłacało się prowadzić wojnę, to właśnie z tym bogatym miastem, do którego zawitała już wiara w Allaha, a kalifowie z Serklandów ślali do jego kagana poselstwa. Ali był jednak tylko najemnikiem, który mógł sobie sądzić, co chciał, a decyzje podejmowali władcy. Wprawdzie był czas, kiedy Tirus Wielki słuchał jego rad, wszakże poważnie traktował tylko te, które dotyczyły bitew, rzezi i zbrojnych napadów.

Berserk zaprzętał sobie myśli tymi rozważaniami, bo nie miał nic ciekawszego do roboty. Do wiosła nie chciano go wziąć, bo nie miał w tym doświadczenia, a dowódca i zarazem sternik „Bitewnego Żurawia” – łyśy

Vaering z długą rudą brodą, zwący się Tharbrand – nie miał ochoty z nim rozmawiać. Ludzie tytułowali tego mężczyznę styrirem, czyli tym, który dzierży w rękach *stýri*, choć zazwyczaj oddawał wiosło sterowe któremuś z zaufanych podwładnych. Tak więc bezczynny Ali, wsłuchując się w miarowy odgłos uderzania wiosła o wodę, przyglądał się przybrzeżnym zaroślom, obserwował polujące ptaki i zerkał na rybaków, którzy na ich widok pospiesznie zwijali sieci i wiosłowali do brzegu. Ich zachowanie było uzasadnione, bo Vaeringowie zwykli się zabawiać strzelaniem z łuków lub ciskaniem włóczniami w ruchome ludzkie cele. Dumni i chełpliwi wojownicy nigdy nie przepuszczali okazji, by popisać się swoją sprawnością.

Przed południem dnia siódmego nareszcie coś zaczęło się dziać. Napotkali samotny stateczek. Kiedy ludzie Północy zaczęli strzelać do jego załogi, nieprzyjaciel odpowiedział tym samym. Wrodzy żeglarze nie byli jednak tak głupi, by ryzykować zwarcie – szybko zawrócili i popłynęli w górę rzeki. Blamad był pewien, że ich dwudziestoławkowce z łatwością dogoniłyby nieprzyjaciela, ale Vaeringowie nie tylko nie podjęli tego wysiłku, ale nawet zwolnili. Natomiast na *húnn* – szczyt masztu każdego z ich okrętów, wdrapał się jeden z wojów, by wypatrywać nieprzyjaciela.

Na ich statku funkcję obserwatora pełnił Haukrhedin, który wprawdzie bał się wody, ale i tak pozostawał najsprawniejszym wspinaczem spośród załogi. Na rozkaz styrira podskoczył i chwycił w powietrzu linę łączącą sterburtę ze szczytem masztu. *Höfuðbenda* naprężyła się, ale wytrzymała ciężar hamramira, który wspiął się po niej na samą górę. Tam przysiadł na gnieździe, a może raczej na grzędzie – była to bowiem tylko krótka deska przybita w poprzek masztu. Usiadł na niej okrakiem, wziął gruby pał między nogi i chwycił go rękami.

Nie minęło dużo czasu, a obserwatorzy dostrzegli nieprzyjaciół i zaczęli wykrzykiwać wieści o liczbie okrętów. Najdokładniejszy był jednak hamramir, choć trzeba było trochę pogłówkować, by go zrozumieć.

– Trzy drewniane rumaki z przodu widzimy. Potem pięć wielkich ferjów, a za nimi jeszcze dwie vindasnekkje.



Berserk szybko się domyślił, z jakiego rodzaju flotą mają do czynienia. W jej środku płynęły promy, z pewnością wypełnione zbożem, a z przodu i z tyłu pilnowały ich wojenne łodzie. *Vindasnekkja* była jednostką używaną przez *Vindmadów*, bardzo podobną do *vaerińskich* długich łodzi, ale krótszą, jeszcze węższą i – co wydawało się nieprawdopodobne – o mniejszym zanurzeniu. Naprzeciwko siebie mieli zatem *saglabijskich* żeglarzy, z których usług zwykł korzystać *Kol Mały*.

– Zwrot na bakburcie! – krzyknął *Tharbrand*, a ten sam rozkaz wykrzyczeli *styrirowie* pozostałych statków, bo sternik „*Bitewnego Żurawia*” był też dowódcą całej floty.

Wytatuowany *gridin* podejrzewał, że *Vaeringowie* planują jakiś manewr, by oskrzydlić przeciwnika. Zdziwił się więc, gdy statki zawróciły. Prawda, *Saglabowie* mieli dwa razy więcej okrętów, ale z pewnością ich załogi nie były tak liczne i bitne jak obsada statków *Tirusa*. Odwracanie się rufą do przeciwnika wydało się *Alemu* tak samo hańbiące, jak pokazywanie mu pleców. Zwrócił jednak uwagę na korzyść płynącą z tego ustawienia – wioślarze, którzy zawsze siedzieli tyłem do dziobu, byli teraz zwrócony przodem do przeciwnika.

Płynąc w dół rzeki, mieli wiatr po swojej stronie, ale *Vaeringowie* nie zamierzali z niego skorzystać. *Zbrojni* z dziobów rzucili się do fałów, ściągnęli żagiel i ułożyli go na pokładzie. Z kolei siedzący na ławkach żeglarze porzucili rytmiczne wiosłowanie na rzecz niemrawych uderzeń w wodę, tak że statki płynęły teraz raczej dzięki sile nurtu niż ich pracy.

Przeciwnicy zaczęli ich doganiać, co zdawało się nikogo nie zasmucać.

Kiedy wszystkie *dwudziestoławkowce* zrównały się ze sobą, wioślarze wciągnęli swoje drągi na pokład i część z nich chwyciła za pień, z których po jednym załadowano wcześniej na każdy statek. *Bogowie Północy* z pewnością poskapili *Vaeringom* skromności, ale siły dali im pod dostatkiem. Żeglarze „*Bitewnego Żurawia*” unieśli ciężki bal i przekazali jego koniec załodze płynącego po sterburcie „*Niegrzecznego Niedźwiadka*”. Następnie *snekkjamadowie* z obu okrętów przywiązali okorowaną brzozę do masztów, tak że obie jednostki połączył solidny, choć

cienki trap. W tym samym czasie wioślarze z bakburty „Bitewnego Żurawia” odebrali koniec drzewa od załogi „Rogatego Tura” i w podobny sposób umocowali olbrzymi bal do masztu. Nim obie floty znalazły się na odległość strzału z łuku, wszystkie długie łodzie zostały połączone brzożami, tworząc stabilną tratwę rozciągającą się niemal przez całą szerokość rzeki. Po takiej konstrukcji można było śmiało spacerować. Unosiła się spokojnie z nurtem i tylko drengowie z krańcowych statków musieli pracować wiosłami, by utrzymać kurs. Nikt nie mógł przebić się przez taką linię umocnień. Blamad zrozumiał, że Vaeringowie wcale sobie z niego nie kpili, wspominając o budowie rzecznej grody. Zastanawiał się jednak, czy okrętów nie wystarczyło połączyć linami, ale gdy zapytał o to jednego z żeglarzy, ten popatrzył na niego kpiąco i odpowiedział:

– Na spokojnych wodach jeziora lub zatoki morskiej tak właśnie robimy. Ale na rzece prąd jest zbyt mocny, by liny utrzymały nas blisko siebie. Niby moglibyśmy związać łodzie burta w burzę, ale wtedy szyk byłby za krótki i vindmadzkie psy po prostu by nas wyminęły. – Ostatnie słowa powiedział, uśmiechając się, a przy okazji pokazując, że na przedzie zębego szeregu brakuje mu dwóch wojowników.

Czarny Berserk przeszedł na rufę, gdzie gromadziły się już siły uderzeniowe. Dołączył do niego hamramir, który słusznie uznał, że dalsza obserwacja nie jest konieczna – nawet z pokładu dało się policzyć załogi wrogich okrętów. Okazało się, że nieprzyjaciel miał przewagę, dysponował trzema setkami ludzi.

Ali zauważył, że Saglabowie nie przyglądali się beczynnemu ich manewrom. Dwie snekkje wyprzedziły promy ze zbożem i wspólnie z trzema przednimi statkami utworzyły szereg. Ferje pozostawiono w odwodzie.

Pierwsze strzały uderzyły w wodę. Z każdym oddechem padały jednak coraz bliżej i w końcu nadeszła chwila, gdy jedna z nich wbiła się w rufę „Bitewnego Żurawia”. Był to znak rozpoczęcia prawdziwego ostrzału, bo do tej pory napastnicy tylko sprawdzali odległość i nie marnowali pocisków.

Vaeringowie byli przygotowani. Chwycili za tarcze – do tej pory zawieszane przy burtach – i zakryli pokład drewnianym dachem nabijanym żelaznymi guzami umb. Od czasu do czasu w dachu pojawiała się wyrwa, przez którą obrońcy rzeczno grodu wypuszczali własne strzały i wyrzucali włócznie. Dachówki bardzo szybko najeżyły się wrogimi pociskami, ale skutecznie chroniły załogę przed bitewnym deszczem. Blamad mógł to wszystko obserwować, bo wraz z hamramirem przykucnęli i oparli się plecami o rufę, która osłaniała ich przed niebezpieczeństwem.

Potem nadleciały kamienie. Okazały się groźniejsze, bo czasem samym swoim ciężarem mogły zrobić wyrwę w tarczowym dachu i otworzyć tym samym drogę dla strzał. Jednak i te pociski nie wyrządziły jakiejś dotkliwej szkody załodze „Bitewnego Żurawia”. Podczas całego ostrzału zranionych zostało jedynie kilku drengów. Czarny gridin był przekonany, że straty wśród Saglabów były o wiele większe, bo nie wszyscy z nich mieli tarcze.

Odgłos uderzenia oznaczał, że zawody w rzucie do celu dobiegły końca. To ucieszyło wytatuowanego wojownika, bo Wertragna sprzyjał tylko tym, którzy bez lęku szarżowali na nieprzyjaciela. Z pewnością umiłowałby sobie „Bitewnego Żurawia”, którego kil od strony rufy i dziobu pokryty był żelaznymi blachami, podobnie jak kły Szalonego Odyńca.

Dziób okrętu Saglabów wbił się w tył statku Tharbranda. Odgłos łamanych desek złał się z uderzeniami tarcz o pokład – Vaeringowie pozbyli się swojego dachu. Ci, którzy mieli na sobie kolczugi, teraz je zdjęli, a niektórzy odrzucili nawet hełmy. Żelazo było dobre do ochrony na lądzie, ale w wodzie tylko pociągało na dno.

Ali, jak na berserka przystało, i tak nie nosił żadnej zbroi; nie musiał się więc zastanawiać nad bitewnym strojem. Miał jednak wątpliwość, jakiej użyć broni. Ludożerca nie miał sobie równych spośród ostrzy Wschodu i pozwalał skutecznie trzymać przeciwnika na odległość. Na statku było jednak ciasno, a Blamad zauważył też, że wszyscy ludzie Północy dobywają saksów – krótkich mieczy – lub niewielkich toporków. Odpiął więc pas z serklandzką bronią, położył go na pokładzie i wziął do ręki katar, sztylet zakładany na pięść. Następnie ustawił się w pierwszym

szeregu, u boku mając tylko Haukrhedina, a za sobą Tharbranda razem z kilkoma jego doborowymi ludźmi.

– Nie okazujcie nikomu łaski! – krzyknął brodaty styrir.

– Niech jötun tej rzeki i alfy tych ziem przyjmą ofiary z poległych! – dodał Vaering stojący po prawicy dowódcy.

– Zabić!

– Zabić!

– Zabić! – krzyczeli wszyscy snekkjamadowie.

– Niech Wertragna zniszczy ich ciała, a Allah przyjmie ich dusze – powiedział Ali sam do siebie i przeskoczył na wrogi statek.

Na wąskim pokładzie nie da się ustawić zwartego szyku. Przed Saglabów wysforował się topornik bez koszuli, przez którego skórę na piersi przewleczono gwoździe, jakby były kolczykami. Czarny Berserk spadł na harcownika i zaczął rzeź.

Chwycił drzewce topora, nim żeleźce zdążyły opaść na jego głowę, po czym wbił katar w brzuch przeciwnika. Szerokie ostrze przebiło skórę i mięśnie, zatrzymując się dopiero na kręgosłupie. Ścisnął rękojeść. Metaliczny dźwięk i wrzask bólu Vindmada oznaczały, że dwa ukryte ostrza wystrzeliły z boków broni. Szarpnął, następnie z dziury wielkiej na dwie pięści wyjął nóż razem z jelitem zaplątanym między trzema klingami. Jucha trysnęła na pokład, a w czerwonej kałuży uklęknął umierający, patrząc, jak kilka łokci brzuszego sznura wychodzi z jego ciała. Ali wziął zamach, wtedy jelito oderwało się od noża i poleciało na głowy pozostałych Saglabów.

Blamad uśmiechnął się do przeciwników, upewniając się, że strach ma po swojej stronie.

Nie walczył jednak z tchórzami. Ludzie Kola otrząsnęli się z odrętwienia i uderzyli na niego kupą. Z pomocą przyszedł mu Haukrhedin, który spadł na Saglabów z nieba, a przynajmniej tak się wydawało. Czarny gridin domyślił się, że hamramir wspiął się na sam szczyt rufy i stamtąd zeskoczył na nieprzyjaciela. Jastrzębi dreng jak zwykle walczył szponami i pląsał po

pokładzie w sobie tylko znanym układzie obrotów i przewrotów.

Vaeringowie nie czekali, aż szaleni wojownicy zdobędą całą chwałę dla siebie. Obie strony zderzyły się z brzękiem żelaza. Pod niebo poleciały przekleństwa. Na pokładzie saglabijskiej łodzi zapanował wspaniały bitewny nieład.

Ali trzymał Odyńca w łańcuchach, chodź boski dzik niecierpliwie przebierał racicami i wydychał rozgrzane powietrze nosem. Czarny Berserk nie był jednak młodzieniaszkiem i wiedział, że początek bitwy nie jest najlepszą chwilą na oddanie się berserksgangowi. Zamiast szału wybrał zimną walkę. Spodobał mu się toporek, którym walczyła jego pierwsza ofiara, więc go sobie zatrzymał. Rąbał nim, a katarem wiercił dziury w ciałach wrogów, wykorzystując jedynie swoją siłę, a nie umiejętność. Walczył niedbale, przez co hańbił przeciwników, zadając im byle jaką śmierć.

Szybko przebili się przez pierwsze osiem rumów<sup>[7]</sup> i dotarli w okolice masztu. Tutaj obrona była najzacieklejsza i skupiona wokół jasnowłosego olbrzyma walczącego bez koszuli, który zapewne był dowódcą łodzi. Wyróżniał się też niezwykle gęstym owłosieniem, które pokrywało całe jego plecy i pierś, nadając mu wygląd niedźwiedzia. Tharbrand wskazał go dwoma ociekającymi krwią toporkami, w ten sposób dając znać swoim ludziom, że sam zamierza go pokonać. Przywódcę Saglabów chroniło jednak pięciu innych bogatyrów.

Wertragna radził swoim szalonym wojownikom, by atakować, nie zważając na własne bezpieczeństwo, a grikkmadzki uczony Prokopiusz zalecał, by nigdy nie lekceważyć przeciwnika. Czarny Berserk zawsze starał się wypośrodkować obie znane sobie mądrości, ale tego dnia Szalony Odyniec wyjątkowo głośno kwiczał w jego głowie. Odskakując przed pchnięciem długiego noża, Blamad potknął się o porzucone na pokładzie wiosło, a upadając, wyrznął głową o zwiniętą cumę. W oczach Allaha musiał być jednak osobą prawą, bo dopisało mu szczęście. Przeskoczyło nad nim dwóch Vaeringów i zajęło jego miejsce w szeregu.

Zbierając się z pokładu, zerknął na hamramira. Hamask już nim

zawładnął. Spojrzenie odrmada stało się nieobecne, a on sam oderwał się od ludzi Północy i walczył w pojedynkę. Zajmował się właśnie junakiem stojącym przy sterburcie. Trzymając jeden szpon w ustach, przebiegł po burcie i przeskoczył nad uniesionym do ciosu mieczem. Jeszcze w locie chwycił höfudbendę jedną ręką, okręcił się na niej i wyrzwał nogami w plecy przeciwnika. Ten upadł tak nieszczęśliwie, że rozbił sobie twarz na ławce wiosłarskiej. Wtedy jego pecha dopełnił jastrzębi dreng, który rozorał mu plecy saksami.

Ali zdołał w końcu powstać i otarł krew zalewającą mu oczy. Ból promieniejący z rany na czole utrudniał powstrzymywanie sząlu, ale czarny gridin zdołał się opanować. Wziął trzy głębokie oddechy i odmówił ćwierć jaszty na cześć Księżycy.

Thrabrand w końcu zdołał się dostać do owłosionego przywódcy i stoczył z nim pojedynek wart opowieści. Styrr machnięciem toporków zabronił wtrącać się swoim ludziom. Jego siekierki zataczały pętle w powietrzu i raz po raz spadały na niedźwiedziego olbrzyma. Saglab bronił się pałką i szablą, oparty plecami o maszt. Gdyby statek był suchszy, mógłby się zapalić od iskier, które krzeszło uderzające o siebie żelazo.

Niedźwiedzi bogatyrr był zwinny pomimo swoich rozmiarów – nie tylko blokował ciosy, ale i uchylał się przed nimi. Z tego powodu sosnowy maszt zaczął wyglądać jak drzewo obgryzione przez bobry, bo styrr solidnie poharatał go toporkami. W końcu Thrabrand pokazał, dlaczego Tirus Wielki pozwolił mu dowodzić flotą. Zmylił przeciwnika, markując cios w nogi, uskoczył przed szablą i lewą siekierką rozrąbał głowę wielkiego Vindmada. Włochacz padł u stóp zwycięzcy jak niewolnik przed obliczem boskiego ghana Wagadou – takie porównanie od razu przyszło Alemu do głowy.

Śmierć przywódcy wypędziła ducha walki z serc Saglabów. Ludzie Kola zaczęli się cofać, a niektórzy wskoczyli do rzeki i popłynęli w kierunku innych okrętów. Być może tam mieli zamiar stawić opór, ale Blamad podejrzewał, że byli niczym skorpiony, które lubią odgrażać się szczypcami, jednak uciekają pod kamień przy najmniejszym

niebezpieczeństwie.

Oczyszczenie reszty okrętu nie trwało długo. Berserk zdążył zabić jeszcze dwóch wrogów, nim Vaeringowie wznieśli okrzyk zwycięstwa i potrząsnęli bronią. Niektórzy podnieśli ucięte głowy i rzucili je w stronę tych okrętów nieprzyjaciela, które nie włączyły się jeszcze do walki.

Czarny drużynnik poszukał wzrokiem hamramira. Jastrzębi dreng krwawił z kilku ran, lecz żadna nie wyglądała na poważną. Trudno też było stwierdzić, w jakim stopniu posoka na postrzępionym kyrtilu była daniną od pokonanych wrogów, a w jakim jego ofiarą na cześć zwycięstwa. Z pewnością jednak samopoczucie Haukrhedina było dalekie od dobrego. Siedział bowiem na jednej z ławeczek i wymiotował na zwłoki. Rozkołysany walką statek nie był przyjemnym miejscem dla miłośników twardej ziemi. Również Alemu zrobiło się niedobrze, ale tylko splunął za burtę.

Gdy pokład zatrzęsł się pod ich stopami, Blamad stracił równowagę i wpadłby do wody, gdyby nie chwycił się stagu, liny łączącej rufę z masztem. Podobnie jak wszyscy pozostali zaczął wypatrywać przyczyny wstrząsów i szybko ją odnalazł.

W sterburtę krańcowego statku rzeczno-grodu uderzył prom ze zbożem. A zaraz po nim jedna vindasnekkja. Cała konstrukcja obronna zaczęła się niebezpiecznie obracać i ustawiać bokiem w stronę dołu rzeki. Vaeringom groziło rozbicie się o lewy brzeg. Ali przeklął szalonych ludzi Północy i pomysłowość Tharbranda. Od początku czuł, że rzeczny gród upadnie. Trzeba było związać statki linami, które teraz dałoby się łatwo przeciąć, a nie bawić się w wymyślanie nowych ustawień bitewnych. Z wściekłości uderzył pięścią w burtę, odłamując spory kawałek drewna.

Przed poddaniem się szalowi uratował go nowy obrót wydarzeń. Szyk zaczął się wyrównywać – to wiosłarze z „Morskiego Węża”, stojącego na drugim krańcu konstrukcji obronnej, mocniej popracowali swoimi drągami. Również drengowie na staranowanym statku otrząsnęli się po uderzeniu i wrócili do wiosłowania. Wodnej twierdzy wciąż jednak groziło rozbicie, ponieważ Saglabowie, którzy zaczęli przeskakiwać na zaatakowany okręt,



mieli na nim liczebną przewagę nad obrońcami. Jeśli udałoby im się wyróżnić wioślarzy, cała twierdza byłaby nie do uratowania.

Styrir wykrzyczał rozkazy i Vaeringowie powrócili na swój statek. A potem, korzystając z drewnianych trapów, połowa z nich pod przywództwem samego Tharbranda pobiegła na odsiecz. Ali i Haukhredin ruszyli ich śladem.

Rzeczny gród nareszcie pokazał, ile jest warta swoboda poruszania się między okrętami po drewnianych złączach. Oddział Tharbranda najpierw przeszedł na „Niegrzecznego Niedźwiadka” i wsparł jego załogę w walce z niedobitkami Saglabów, których łódź bezwładnie obijała się o dziób vaerińskiego okrętu. Po oczyszczeniu tego statku wzięli ze sobą część jego obsady i przeszli na staranowanego „Rzecznego Wilka”.

Vindmadowie już prawie wyróżnili obrońców i mieli się właśnie wziąć do zabijania wioślarzy, którzy zamiast się bronić, nadal walczyli z nurtem. Ali był pełen podziwu dla ich odwagi – wystawiali się na ciosy, aby uratować całą wodną twierdzę.

Bogatyrzy nie byli w ciemną białą i widząc nadchodzącą odsiecz, dali jej odpór tam, gdzie mogli osiągnąć powodzenie – przy krańcu drewnianego trapu. Przez to część Vaeringów utknęła na „Niegrzecznym Niedźwiadku” i kotłowała się przy wąskim przejściu, ale większość poradziła sobie w inny sposób. Drengowie przerzucili między burtami wiosła i zaczęli po nich przechodzić, udowadniając Czarnemu Berserkowi, że ich popularna zabawa w pływaniu po dragach nie była tak głupia, jak wcześniej uważał. Saglabowie próbowali oczywiście zrzucić wiosła do wody, ale wielu ludziom Tirusa udało się przedostać na „Rzecznego Wilka”. Wśród nich był i Ali.

Haukhredin nie potrzebował żadnego trapu. Wierzył przecież, że w połowie jest jastrzębiem. Znalazł na pokładzie linę i siekierkę, po czym wspiął się na grzędę „Niegrzecznego Niedźwiadka”. Tam przywiązał koniec sznura do toporka i rzucił nim w kierunku sąsiedniego statku. Broń wbiła się w maszt, ale gdy hamramir pociągnął linę, żeleźce wyrwało się z belki. Nie załamał się niepowodzeniem i kolejny raz pokazał, że ludzie

słusznie mają go za odrmadę. Zrezygnował ze sznura i po prostu skoczył. Maszt był wysoki na dwadzieścia łokci, więc większość ludzi połamałaby sobie nogi podczas lądowania. Hamramirowi udało się jednak trafić prosto w żagiel, który wciąż łopotał na wietrze. Lniany materiał ugiął się, ale nie rozerwał. Jastrzębi dreng sturlał się pod nogi zdziwionych Saglabów.

Gdy zmiennokształtny zniknął w zamęcie bitwy, Blamad wrócił myślami do swoich przeciwników. Ci wciąż byli w przewadze, bo dołączyła do nich załoga kolejnego promu ze zbożem. Druga ferja nie miała dość miejsca, by dobić wprost do burty „Rzeczno Wilka”, otoczonego przez dwa statki Kola. Uderzyła za to w okręty vindmadzkie, a te przekazały cios vaerińskiej snekkji. Konstrukcja obronna znów się zatrzęsała i odchyliła ku dołowi rzeki. Wioślarze podołali jednak wyzwaniu i ponownie naprostowali sztyk.

Ali spojrzął za siebie i dostrzegł, że ostatnie statki Kola dobiły do rzeczno grodu na całej jego rozpiętości. Wszędzie zaczęło się malowanie pokładów na czerwono. Mimo równowagi sił berserk nie miał wątpliwości, że bitniejsi podwładni Thabranda wezmą górę nad przeciwnikiem. Dlatego sądził, że los bitwy rozegra się właśnie na „Rzeczno Wilku” i „Niegrzeczno Niedźwiadku”, gdzie skupiło się główne natarcie Saglabów. Właśnie na taką chwilę czekał ze swoim szalem. Szalony Odyniec szarpnął się na łańcuchu opanowania, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Blamadę. Wytatuowany wojownik wyszeptał jaszę do Wertragny, prosząc, by święty szal zniszczył przeciwników, ale oszczędził sojuszników. I by opuścił jego ciało zaraz po bitwie.

Wrzask czarno gridina zagłuszył bitewną wrzawę, przykuwając uwagę przeciwników. Dwóch zamachnęło się na berserka toporkami, równocześnie próbując go przekrzyczeć.

Umysł Alego przestał się wtrącać do walki. Ciało, uczone zabijania od wielu lat, samo wiedziało, co robić. Toporek w prawej ręce zablokował uderzenie vindmadzkiej siekiery. Katar w lewej dłoni zatkał usta drugiemu Saglabowi, zanim ten zdążył zadać cios. Lewica puściła rękojęść, zacisnęła się w pięść i uderzyła w skroń mężczyzny siłującego się z jego czarną

prawicą. Wróg stracił równowagę, a olbrzym z Południa wypchnął go barkiem za burzę.

Dłoń Blamada poszukała znajomego kształtu i wyrwała katar z trupich ust.

W głowie wroga ziała czerwona dziura pełna krwi zmieszanej z włosami, mózgiem i pokruszonymi kośćmi. Szalony Odyniec tarzał się w tym bajorze niczym świnia w błocie.

Prawa noga też umiała zabijać. Stopa chroniona przez buty z cieleńcej skóry dosięgła dłoni wroga, który nie umiał prawidłowo trzymać miecza. Sztych podbitego ostrza wbił się w oko bogatyra, który padł trupem zgładzony przez własne żelazo.

Wertragna uczynił głowę Alego twardą niczym żelazo. Kolana ugięły się, ratując czerep przed ścięciem, a następnie wyprostowały. Czoło trafiło w nos Saglaba i poprawiło w policzek, obalając przeciwnika na pokład. Pięta Czarnego Berserka nadepnęła na głowę pokonanego i waliła w nią, aż czaszka pękła. Stopa zaczęła się lepić od krwi i mózgu.

\*\*\*

Człowiek schował się w ostępach głowy, a ptak robił, co chciał. Okręt nie różnił się zbytnio od lasu – po wysokich masztach i solidnym olinowaniu można było wspinać się do woli. Statek miał jednak tę wadę, że naokoło niego znajdowała się woda. Haukr i Hedin nienawidzili wody i nigdy nie nauczyli się pływać. Gdyby nie jastrzębia odwaga, Płaszcz pewnie dalej siedziałby na „Bitewnym Żurawiu”, kurczowo trzymając się masztu.

Upadek na pokład bolał. Drapieznik w ciele człowieka sturlał się z żagla wprost pod nogi Vindmadów. Uratowało go tylko zdziwienie przeciwników. Zanim wstał, zaczął na oślep sieć szponami. Dwóch ludzi Kola upadło z przeciętymi ścięgnami wprost na niego, chroniąc Haukra własnymi ciałami. Ranni zostali zarąbani mieczami pobratymców. Jastrząb z trudem wygramolił się spod trupów i schował pod wioślarską ławką,

w którą uderzył czyjś topór. Broń przebiła drewno, ale ostrze zatrzymało się dwa palce od czoła potwornego wojownika.

Odturlał się i wstał po drugiej stronie ławki. W tym rumie panował nie mniejszy ścisk niż w poprzednim, a zmiennokształtny nienawidził walczyć w tłumie. Nawet jastrząb może zostać zadziobany, gdy otoczy go setka gołębi.

Krwawił z kilku ran, a świat widziany jedynym okiem robił się coraz bardziej zamazany.

Po stronie dziobowej statku mignął mu Ali. Czarny gridin wyróżniał się posturą, nie było więc trudno go zauważyć. Walczył niczym szaleniec – tak jak został do tego stworzony. Haukr doszedł do wniosku, że Blamad z pewnością miał zadatki, by zostać hamramirem. Zabijał, zgniatał i miażdżył.

Jastrząb zajazgotał i wbił szpony w udo najbliższego junaka. Zyskał chwilę wytchnienia, ale przeciwników wciąż było zbyt wielu. Zrobił więc to, co skrzydlaci umieją najlepiej. Wzbił się w powietrze. Pokraczne ludzkie ręce nie nadają się do latania, ale są całkiem niezłe w chwytaniu. Podskoczył, zawisł na linie zwisającej z masztu i kopnął jednego z ludzi Kola w twarz. Rozhuśtał się i skoczył na tyły nieprzyjaciół, gdzie było troszeczkę luźniej.

„Wypuść mnie” – powiedział Hedin w ich głowie. I znów byli razem. Człowiek i Jastrząb. Ostatnio Płaszcz coraz rzadziej chciał się chować.

Świat stał się odrobinę wyraźniejszy, choć powrót człowieka odebrał ich ciało nieco siły. Rozejrzeli się i dostrzegli, że Vaeringom nie idzie zbyt dobrze. Co prawda ludzie Tirusa walczyli lepiej od przeciwników, ale rzeźni bogatyrzy zdołali zabić większość wioślarzy skrajnego statku i przejęli całą sterburkę.

Wtedy szalenie wspaniała konstrukcja obronna odchyliła się i przegrała walkę z nurtem. Haukr i Hedin chwycili się liny, by nie wpaść do wody. Zauważyli, że ta sztuka nie udała się Alemu. Rzeźny gród obrócił się bokiem ku dołowi rzeki i płynął teraz bezwładnie niczym patyk rzucony do strumienia.

Jastrząb i Płaszcz chcieli poszukać wzrokiem Czarnego Berserka, ale musieli odeprzeć atak dwóch junaków. Jednemu napluli w twarz i dziabnęli go szponami w ramię. Drugi zaszedł ich od lewej. Gorzej widzieli z tej strony, bo tylko prawe oko mieli sprawne. O jedno uderzenie ptasiego serca za późno zauważyli ciesielski drewniany młotek, który zmierzał ku ich skroni. Po uderzeniu nadeszła ciemność.

\*\*\*

Woda zamknęła się nad jego głową. Wertragna był spragniony, lecz krwi, a nie napitku z rzeki. Zimno ostudziło gniew. Szalony Odyniec cofnął się i Ali założył mu łańcuch na szyję.

Poczuł się słaby jak zawsze, gdy ustępował szal przemienienia. Nie bardzo pamiętał, jak się tu znalazł. W jednej chwili zadawał śmierć na pokładzie, a w drugiej bronił się przed utonięciem. Wydawało mu się, że to jeden z Saglabów wypchnął go wiosłem z okrętu.

Wypłynął na powierzchnię tylko po to, by znowu zanurkować. Szaleni Vaeringowie w końcu stracili władzę nad swoją związaną flotą i nurt pchał „Rzeczno Wilka” prosto na Blamada.

Zniknął pod wodą, unikając zderzenia z burtą. Potrzebował trzech zamachów, by znaleźć się wystarczająco głęboko. Zdołał zrobić tylko dwa. Kil boleśnie otarł się o jego plecy. Berserk bezwiednie wypuścił kilka pęcherzyków powietrza. Z trudem powstrzymał się, by nie krzyknąć, gdyż wtedy umarłby od zadławienia. Zdołał wypłynąć po drugiej stronie okrętu i w myślach podziękował Allahowi oraz wężowi Bidzie, którego tatuaż nosił na swym ciele, że Vaeringowie budują statki o tak małym zanurzeniu.

Pozostał w wodzie, choć nietrudno byłoby dogonić dryfującą konstrukcję. Wolał rozeznac się w sytuacji, zanim znów wkroczy do boju.

Snekkjamadowie nie stracili głowy. Wioślarze na „Morskim Wężu” – który był teraz ostatnim statkiem w szyku – zaczęli używać wiosła jako steru całego rzeczno grodu, przez co linia okrętów wyglądała niczym olbrzymi węgorz płynący w dół Kamy. To ustawienie nie było bezpieczne

i nie odpowiadało samym żeglarzom, rzucili się więc do rozmontowywania konstrukcji. W ruch poszły topory, którymi przerąbywali liny, a ciężkie drzewa wypychali z okrętów do wody. Trwało to jednak powoli.

Saglabowie także drogo zapłacili za zdobycie części rzecznej twierdzy i zmuszenie Vaeringów do jej zniszczenia. Trzy pozbawione załogi statki Vindmadów, które do tej pory obijały się o „Rzeczno Wilka”, straciły punkt oparcia i dały się ponieść nurtowi. A ten zniósł je na brzeg. Vindasnekkja, która była z nich najlżejsza, osiadła na płyciźnie. Natomiast dwie ferje trafiły na ziemistą skarpe i zaczęły się o nią ocierać. W końcu ich maszty zahaczyły o gałęzie przybrzeżnych drzew i promy przewróciły się na bok, wyrzucając worki ze zbożem do wody.

Pozostałe statki Kola mniej ucierpiały. Dwie długie łodzie, które zostały oczyszczone z wrogów przez załogi „Niegrzecznego Niedźwiadka” i „Bitewnego Żurawia”, unosiły się łagodnie na wodzie, dryfując środkiem rzeki. Jedna z nich miała wprawdzie uszkodzony dziób, ale zniszczenia nie były tak duże, by okrętowi groziło zatonięcie.

Dwie vindasnekkje i trzy promy, które zaatakowały „Morskiego Węża”, „Rogatego Tura” i „Bitewnego Żurawia”, odłączyły się od rzeczno grodu, choć tylko snekkje pozostały jednostkami Saglabów. Wszystkie ferje przejęli Vaeringowie. Teraz ci nieliczni, którzy pozostali na zdobycznych statkach, stawiali żagle i próbowali zaprowadzić te rzeczne konie pociągowe do brzegu. Na dwóch okrętach Vindmadów wciąż trwały walki, ale garstka ludzi Północy, którzy nie zdążyli wrócić na swoje okręty, była skazana na porażkę. Saglabowie prawie ich już wyrznęli i brali się do wiosła, zapewne planując ucieczkę.

Zacięte boje nadal prowadzono na „Rzeczno Wilku” i „Niegrzeczno Niedźwiadku”, gdzie vaerińskie załogi zostały wsparte przez tych pobratymców z pozostałych statków, którzy nie byli zajęci rozmontowywaniem grodu i zdążyli przejść po drzewnych trapach, zanim wrzucono je do wody. Ali ocenił, że właśnie tam walczyły z obu stron równe siły, zatem ludzie Tirusa nie pogardziliby jego pomocą.

Zaczął płynąć. Nie było to łatwe, bo wciąż musiał omijać trupy unoszące

się na wodzie i walczyć z umierającymi, którzy broniąc się przed utonięciem, próbowali topić innych. Uznanie za pomysłowość znalazł w jego oczach ranny Saglab, który przyciągnął do siebie dwa napęczniałe ciała i trzymając się ich, próbował dopłynąć do brzegu. Inni wykorzystywali wiosła lub drzewa zrzucane przez Vaeringów do wody.

Blamad przepłynął przez wielką plamę krwi, która unosiła się na wodzie niczym smoła. Jego ręka trafiła na coś miękkiego – żołądek albo wątrobę. Odrzucił krwawy ochłap i podążył dalej.

Dotarł do „Niegrzecznego Niedźwiadka” w chwili, gdy ludzie raczej opuszczali okręt, a nie wspinali się na niego. Po jego prawicy Saglab z siekierą w plecach chlupnął do wody, rozbryzgując ją tak wysoko, iż kilka kropel spadło na pokład.

Burta nie była wysoka – nad wodę wystawały zaledwie trzy pasy poszycia. Najniższy ozdobiony był płaskorzeźbami malutkich niedźwiadków, które kroczyły w pochodzie od rufy aż po łeb niedźwiedzia wyrzeźbiony na dziobnicy. „Wszystkie są niegrzeczne, ale potulne jak misie w porównaniu z załogą statku” – czarny gridin przypomniał sobie słowa, które mówili o sobie wioślarze tej jednostki.

Ali chwycił się krawędzi burty, podciągnął i przerzucił nogi na pokład. Allah, a może Wertragna, sprzyjał mu, bo walczący go nie zauważyli. Oceniał, że na pokładach obu statków znacznie się przeredziło. Część walczących dołączyła do trupów zaścielających pokład i teraz trzeba było deptać po ciałach poległych, by móc dosięgnąć wroga.

Czarny Berserk nie miał broni. Na razie. Kopnął w przyrodzenie Saglaba, który zamachnął się na niego pałąką, poprawił pięścią w nos i wyrwał mu maczugę.

Zabijał dalej, ale źle mu się walczyło. Szał osłabił go, gridin czuł się o połowę słabszy niż przed wpadnięciem w aesmę. Jego wzrost, siła i doświadczenie były jednak wystarczające, by skutecznie opierać się wrogom i odpłacać im za każdy cios.

Nie minęło wiele czasu, a okręt oczyszczono i uświęcono krwią na cześć bogów zwycięstwa. Blamad rozejrzał się i zauważył, że już tylko



„Niegrzeczny Niedźwiadek” i „Rzeczny Wilk” pozostawały ze sobą związane. Na tym drugim ludzie Kola walczyli wściekle niczym dżiny. Bitwa była już dla nich przegrana, ale na tym jednym statku ich zawziętość przyniosła świetne rezultaty. Saglabowie otoczyli Vaeringów, którzy zgromadzili się wokół masztu.

Ali i załoga „Niegrzecznej Niedźwiadki” przeszli po drzewnym trapie i uderzyli na przeciwników od tyłu. Jedyne Allah byłby w stanie przewidzieć, jak zakończyłoby się to wyrównane starcie, gdyby do burt związanych okrętów nie dobiły pozostałe długie łodzie ludzi Północy. Przewaga liczebna była teraz po stronie ludzi Tirusa, którzy szybko uporali się z Saglabami.

Większość wojowników Kola została zabita. Zwycięzcy potrafili jednak docenić męstwo i do garstki ocalałych Vindmadów zwrócił się sam Tharbrand.

– Rzućcie miecze, a nikt nie nazwie was tchórzami!

Odpowiedzieli mu splunięciami. Gest ten miał zapewne wyrazić pogardę dla zwycięskich żeglarzy, ale zabarwiona krwią plwocina nie zdołała sięgnąć desek pokładu, gdyż ten przykryty był ciałami poległych.

– Tak pogardzacie tymi, którzy padli od naszych mieczy, że plujecie na nich? Wasza sprawa. Nie odrzucajcie jednak lekką ręką łaski, którą wam ofiaruję.

– Mamy ufać łasce vaerińskiego psa? – odezwał się rudzielec z jedwabną przepaską na włosach, najwyraźniej ich przywódca.

– Znasz nasz język – dowódca floty Tirusa uśmiechnął się i puścił obelgę mimo uszu – musiałeś więc i słyszeć, jak traktujemy zwyciężonych, którzy dobrze walczyli. Obdarowany łaską zachowuje życie, a w zamian przysięga, że w ciągu trzech lat nie wystąpi zbrojnie przeciwko swojemu pogromcy. Obdarowujący z kolei daje słowo, że w tym samym czasie nie zrobi krzywdy pokonanemu, o ile ten nie będzie mu szkodził. Sam Jednoręki dba o przestrzeganie takiej ugody i zsyła swój gniew na każdego, kto ją złamie.

Blamad dłużej ich nie słuchał. Rozejrzał się w poszukiwaniu hamramira,

ale nigdzie nie mógł go dojrzeć. Zaczął przepychać się między ludźmi i przyglądać się ciałom poległych. W myślach odmówił modlitwę za zmarłych, by Allah lub inny bóg spojrział łaskawie na ich uwolnione od ciał duchy. Potem podziękował Wertragnie za siłę, a Bidzie za spryt. Przeprosił też Muhammada, że nie słuchał jego nauk i odbierał ludzkie życie, choć usprawiedliwił się, że nie była to krew niewinnych. Wyraził też nadzieję, że ci, którzy padli z jego ręki w uczciwej walce, nie mają do niego żalu i nie powstaną jako ghule, by się na nim mścić.

Przy sterburcie dostrzegł leżący na pokładzie szpon. Podnosząc go, zauważył rękaw postrzępionego szarego kyrtilu, który wraz z dłonią wystawał spod zwłok Saglaba. Przetoczył ciało Vindmada na bok i odsłonił leżącego Haukrhedina.

Sprawdził, czy żyje. Jastrzębi rębacz oddech miał płytki jak u umierającej staruszki. Krwawił z kilku ran. Najbrzydszą wciąż pozostawała blizna po brakującym oku, ale najpoważniejsza ziała na udzie. Czarny Berserk znalazł się na opatrywaniu, bo w Serklandach uczono go nie tylko sztuki pisania. Wiedział, że ledwie chwili brakowało, by towarzysz wykrwawił się na śmierć. Zerwał koszulę z jakiegoś ciała, podarł ją i przewiązał rany odrmada. Jeśli bestialski dreng przeżyje, ocalenie będzie zawdzięczał właśnie jemu – czyli Blamad właśnie spłacił swój dług.

Od doglądania przyjaciela oderwał go brzęk mieczy rzuconych na pokład. Saglabowie w końcu zdecydowali się poddać, choć już w chwili wygłoszenia przez Tharbranda propozycji Ali miał pewność, że zostanie przyjęta. Drengowie i bogatyrzy lubią prawić o sławie i honorze, ale tylko nieliczni potrafią przedłożyć go nad własne życie.

Spojrzał na bakburkę. Dwie ocalałe wrogie snekkje zniknęły już za zakolem rzeki, a żaden z vaerińskich okrętów nie szykował się do pościgu. Bitwa o zboże została wygrana. Ucieczka czterdziestu czy pięćdziesięciu ocalałych Saglabów nie miała żadnego znaczenia.

Dokuczał upał. Daleko stąd, na Północy, znano tylko dwie pory roku: zimę zwaną czasem sztormów i lato znane jako okres żeglugi. Tutaj ludzie doliczali jeszcze jesień i wiosnę, które miały być okresami przejściowymi. Ale tego roku późna wiosna bardzo szybko przeszła we wczesne lato i tchórzliwe słońce nieustannym żarem drażniło ścigającego je po niebie potwornego wilka<sup>[8]</sup>. Susza był przekleństwem dla smerdów, ale z zakutymi w kolczugi wojownikami też nie obchodziła się łaskawie. Pot wylewał się spod hełmów, kaftany kleiły się do ciała, stopy puchły w ciężkich butach, a z ust wydobywały się nieustanne wiązanki przekleństw. Burza z deszczem, jaka przyszła sześć dni temu, a skończyła się dwie noce później, wszystkim przyniosła orzeźwienie, choć i po niej Sol, bogini Słońca, męczyła ludzi swoimi płonącymi warkoczami.

Koła wozów toczyły się powoli. Na szczęście nie grzęzły, bo ziemia była sucha. Kolumna wojska poruszała się ze stałą prędkością dziesięciu mil na dzień. Jej środek stanowił starszy grid Kola. Doborowa piechota, składająca się głównie z ludzi Północy i miejscowych bogatyrów, stanowiła najcenniejszą część armii, choć nie wydawała się taka na pierwszy rzut oka. Drengowie szli w nieładzie, nie siląc się nawet na równy krok. Prawie wszyscy mieli tarcze zarzucone na plecy i niedbale podpierali się na długich styliskach toporów lub drzewcach włóczni. Miecze dzwoniły im o kolczugi, które z daleka wyglądały na stare i zniszczone, ale w rzeczywistości były sprawdzonymi w bojach pancierzami, wolnymi od zbędnego połysku i ozdób. Ich dumą i – wydawałoby się – jedyną rzeczą, o jaką dbali, był sztandar. Niesiony przez postawnego drenga *merki* osadzony był na długim drzewcu i przedstawiał złote tło, a na nim brązowe drzewo o rozłożystej koronie, której gałęzie dotykały korzeni.

Drogę przed doświadczonymi wojami ugniatał młodszy grid. Prezentował się najokazalej w całym wojsku, gdyż w jego skład wchodził kupieccy synowie, którzy poprzez służbę musieli udowodnić, że ich ojcowie słusznie cieszą się handlowymi przywilejami Kola Małego. Dlatego kolczugi i broń większości z nich połyskiwały nowością, a stroje

cieszyły oczy przepychem. Znakiem ich oddziału również było drzewo, ale mniejsze i namalowane na zielonym tle. Nie przeszkadzało to jednak merkismadowi, który dzierżył chorągiew, prężyć dumnie pierś, jakby niósł swoją żonę w noc poślubną.

Przed obydwoma gridami szli najemni Vaeringowie. Jak wszyscy, którzy walczą dla pieniędzy, przy każdej okazji pokazywali, że są warci swojej ceny. Ustawieni byli w rzędach po sześciu i przemieszczali się w równej kolumnie, utrzymując stałe odstępy między szeregami. Ich merk przedstawiał kruka z rozłożonymi skrzydłami na krwistym tle, który zdawał się grozić, że podczas bitwy wyleci ze sztandaru i pożywi się ciałami poległych.

Kolumnę pieszych zamykali smerdowie. Najgorzej uzbrojeni i odziani, niedostatki te nadrabiali karnością. Maszerowali z podniesionymi głowami, na którą to dumę stać tylko synów gospodarzy posiadających własną ziemię, dzięki czemu mają się za równych konungom. Nie byli doświadczonymi wojami – wielu nigdy nie walczyło w bitwie, a wszyscy jeszcze kilka tygodni temu zajmowali się zasiewami i wypasem bydła. Przypominały o tym złote sierpy na ich merku. Większość uzbrojona była we włócznie, ale wielu miało długie cisowe łuki. Stanowili najliczebniejszą grupę piechoty i trzon wojsk oblężniczych.

Cztery tysiące piechurów – potężna armia, z którą musiałby się liczyć każdy władca Austrvegu. Ale to nie oni stanowili trzon armii –liczebnością przewyższali ich bowiem koczownicy. Zbrojni jeźdźcy zorganizowali się w cztery zagony. Dwa z nich stanowiły straż przednią i tylną, a pozostałe przemieszczały się po bokach pieszej kolumny. Reszta Tattarów ciągnęła z całym kureniem, który wraz z taborami ulokowany był na tyłach armii. Las jurt przemieszczał się na dwu- lub czterokołowych wozach, wioząc tabun podrostków i kobiet tak brzydkich, że ich mężowie musieli mrużyć oczy, gdy na nie spojładali – a przynajmniej Ainar odnosił takie wrażenie. Powiadano, że wśród nich jedzie również oddział tajemniczych czarowników wyszkolonych przez Mōdula, a także miotacze oleju skalnego i rzemieślnicy zdolni zbudować maszyny oblężnicze.

Skald już od dziesięciu dni zabijał nudę układaniem w głowie strof i marzeniami o dzbanie piwa oraz zimnej kąpieli. Podczas postojów wrócił nawet do starego nawyku i zaczął rzeźbić. Czynność ta mimowolnie przywoływała wspomnienie Znajdy i jej matki, które porzucił tak dawno temu, że wydawały się wspomnieniem innego życia. Pomimo ustawicznych prób oczyszczenia głowy ze wspomnień o nich i setek wzniesionych za to toastów nie zdołał wyrzucić z pamięci obrazu kobiety i jej córki. A kiedy o nich myślał, naprzemiennie nachodziła go radość, smutek, rozgoryczenie, a ponad wszystko gniew, który każe wilkowi wyć do księżyca, mężczyźnie zaś szaleńczo krzyczeć na pohybel normom.

Starym, wypróbowanym sposobem na stłumienie bolesnych wspomnień było zajęcie myśli bieżącymi wydarzeniami. A te sprawiały, że był z siebie dumny, choć nie wszystko potoczyło się tak, jak zaplanował.

Przekonanie skogarmadów, by mu pomogli, okazało się wcale niełatwe. Jedni nie chcieli się mieszać w konflikt między dwoma krajami, ale tych poeta łatwo wyśmiał, opowiadając sagę o rybie, która nie chciała mieć nic do czynienia z rybakami. Inni doszli do wniosku, że układ z Kolem to dobry pomysł, a najlepszym sposobem, by go zawrzeć, będzie przekazanie mu w podarunku związanego pieśniarza. Z tymi miał więcej kłopotów.

Najważniejszym orędownikiem tych ostatnich był Nikolas, więc to jemu Östmad musiał wytłumaczyć, że bez jego, Ainara, pomocy banici nie zdołają się zaciągnąć do wojsk konunga, bo wyglądają niczym banda włóczęgów marząca o obrabowaniu spichlerza. Jak ciało potrzebuje ust do wychwalania jego zalet, tak im niezbędny był przedstawiciel, który swoim językiem niczym pochodnią oświetli mocne strony ich oddziału. Skald uświadomił również Nikolasowi, że tylko on zna Kola Małego i wie, jakim sposobem można go skusić do współpracy.

W końcu przystano na jego plan, choć problemem wciąż było to, że kagan znał twarz poety, a co gorsza, nie cierpiał jej widoku. Kowal słów przypomniał więc sobie o starym zwyczaju z Północy, zgodnie z którym vargowie ukrywają oblicza pod maskami, oddając tym cześć bogowi Grimnirowi. Okazało się, że i tutaj zwyczaj ten był znany, choć od dawna

niepraktykowany. Przekonał więc wszystkich, by przywdziali osłony twarzy, bo sam zamaskowany poeta wydawałby się bardziej podejrzany niż kilka tuzinów korowych ludzi. Chciał też wziąć na siebie trud prowadzenia rozmów z władcą Odainsaku, ale na to mu nie pozwolono. Banici mu nie ufali i nie mogli ich za to winić. Postanowiono więc, że pójdą we trzech. Yngvar miał mówić, Nikolas dbać, by pieśniarz ich nie oszukał, a hag milczeć i przytakiwać.

Początkowo wszystko szło wyśmienicie. Kol dał się nabrać i przyjął od nich przysięgi. Potem jednak wszystko się posypało. Władca Drzewnego Grodu zatwierdził plan uwolnienia córki, ale zdecydował, że Ainar wcale nie jest potrzebny do jego realizacji. „Trzydziestu banitów pod dowództwem Yngvara wystarczy, by odbić jedną dziewczynę, a czyny wyrzutek nie są warte pieśni” – ogłosił im dziesięć dni temu. Reszta korowych mężów miała krążyć po okolicy i rabować gospodarstwa w poszukiwaniu żywności lub zostać z armią jako zakładnicy, którzy gardłami odpowiedzą za porażkę oddziału Yngvara. Bycie zakładnikiem nie polegało jednak na wygodnym jechaniu na wozie i oczekiwaniu na wynik wyprawy Yngvara, który wraz z oddziałem porywaczy opuścił armię tuż po zawarciu sojuszu. Zakładnicy mieli dzielić trudy przemarszu i w razie konieczności walczyć w obronie swojego pana. „Dowiedzisz męstwa w pierwszym szeregu i zginiesz ku chwale swojego pana” – powiedział władca Odainsaku do Ainara, po czym włączył go do oddziału straceńców. Jak rzeźnik trzyma swoje świnie blisko domu, tak władca dbał, by jego zakładnicy byli zawsze w jego pobliżu. Dlatego oddział skogarmadów, pod nieobecność Yngvara dowodzony przez pieśniarza i Nikolasa, maszerował w środku kolumny, nieopodal kagana jadącego konno wraz z garstką najwierniejszych drużynników. Miało to też swoje dobre strony – Skald słyszał niektóre rozmowy Kola i dzięki temu dobrze znał obecną sytuację. I tak wczoraj był świadkiem przybycia posłańców, którzy donieśli o przegranej bitwie na rzece. Strata pięciu okrętów ze zbożem musiała władcę zabołec, bo miał do wyżywienia całą armię. Doszło wtedy do ostrej wymiany zdań, której – rzecz niezwykła – kagan nie ukrócił. Pan Treboga godził się, oczywiście do pewnego stopnia, na

niewielką niezależność swoich ludzi i pozwalał im swobodnie wyrażać opinie. Dlatego Magnolf, pierwszy gridin, dosadnie powiedział, co sądzi o żeglarskich umiejętnościach Vindmadów: „Do radła, a nie do wiosła pasują ich przykrótkie ręce”. Nie omieszkał też wypomnieć konungowi, że to Vaeringom powinien powierzyć tak ważne zadanie. W końcu jednak przyznał rację władcy Odainsaku, który odparł, że potrzebuje najlepszej piechoty, a więc ludzi Północy, do oblężenia Dyragardu i do bitwy w polu, jeśli takowa miałyby nastąpić.

Dobrze było wiedzieć o tym wszystkim, ale pieśniarz oddałby całą swoją znajomość planów Kola za możliwość rozmówienia się z Mödulem. Ten wszakże zniknął. Jedni mówili, że jechał wraz z czarownikami z Permu na tyłach armii, inni twierdzili, że zapadł się pod ziemię, by szukać bezpiecznej drogi przejścia dla wojsk. Gdziekolwiek jednak się podział, dla Östmada pozostawał niedostępny, gdyż skogarmadów nieustannie pilnowano i nie pozwalano im się swobodnie przemieszczać.

Dziesiątego dnia marszu, w samo południe, wreszcie zaczęło się coś dziać. Ainar domyślił się tego, gdy do orszaku kagana podjechał Hun na spienionym koniu. Skald szedł wtedy obok Nikolasa, który na chwilę zapomniał o swej gburowatości i opowiadał o wspaniałościach Miklagardu.

– Wieże są tam ze złota, a w hipodromie odbywają się wyścigi dwukołowych wozów, które są szybkie niczym serklandzkie ogiery czystej krwi!!

– Cicho – przerwał mu poeta. – Może dosłyszemy, co mówi posłaniec.

Dosłyszeli, ale niewiele im to dało, jeździec mówił bowiem po tattarsku. Porozmawiał krótko z konungiem, a po chwili ponownie spiął konia i odjechał do swojego oddziału.

Vaeringowie, którzy jechali konno obok Kola Małego, przyłożyli do ust ogromne rogi i zadęli w nie dwa razy. Odpowiedziały im rogi z przodu i z tyłu kolumny, które powtórzyły sygnał. Dla każdego, kto choć przez dzień towarzyszył armii, było jasne, że władca nakazywał wojsku się zatrzymać. Południowa pora świadczyła jednak, że nie chodziło



o rozbijanie obozu, a równy stepowy krajobraz wykluczał, że mieli do czynienia z przeszkodą terenową.

– Musieli natknąć się na wroga. – Nikolas wypowiedział podejrzenia wszystkich piechurów.

Gdy pojedynczy pieszy wojownik chce się zatrzymać, głowa wydaje rozkaz nogom, a te nieruchomieją w czasie krótszym niż jedno uderzenie serca. Ta sama czynność w wykonaniu całej kolumny wojska jest dużo bardziej czasochłonna i co najmniej tak skomplikowana jak zacumowanie statku podczas sztormu.

Idący na przedzie najemnicy mieli najłatwiejsze zadanie, gdyż ich szeregi były najmniej rozciągnięte. Gridini ze środka kolumny oraz smerdowie z jej końca na rozkaz „stać” musieli jednak przyspieszyć kroku, by zmniejszyć odległość między formacjami do umówionych pięćdziesięciu kroków, po czym ustawić się szóstkami. Nawet jednak olbrzym Mimir nie miał dość miodu w swoim źródle mądrości, by wiedzieć, kiedy zdoła się zatrzymać tabor, bo wozy rozciągnęły się za wojskiem w sznur długi przynajmniej na pół dnia drogi.

Dwa sygnały były jak pocałunek kobiety – wiadomo, o co chodzi, ale tajemnicą pozostawało, czy pieszczota doprowadzi do czegoś konkretnego. Poeta czekał więc na trzeci sygnał i nie zawiódł się.

– Będzie bitwa – po raz kolejny skomentował oczywiste Nikolas, splunął na ziemię i popatrzył gniewnie na pieśniarza, widocznie przypominając sobie o swojej gburowatości.

Trzy dźwięki rogu oznaczały rozkaz do ustawienia się w szyku bitewnym. Opornie myślącym przypomnieli o tym dowódcy oddziałów, którzy naprzemiennie krzyczeli:

– Do przodu! Żwawiej, żwawiej! Ciężarna babcia rusza się szybciej! Stój! Idź! Biegnij! Równaj szereg! Tarcze przy sobie! Gdzie leziesz, barani łbie, to nie twój rząd!

Mogłoby się wydawać, że w armii zapanował nieład, ale tak naprawdę wszystko było jasne i każdy wiedział, gdzie ma się ustawić. Pochód zorganizowany został bowiem w taki sposób, by łatwo można go było

przekształcić w szyk bitewny. Przód kolumny stawał się wtedy lewym skrzydłem, tył prawym, a środek pozostawał środkiem.

Ainar, wędrujący z Nikolasem i dwoma tuzinami korowych ludzi, pobiegł razem z gridinami. Już wcześniej zostało ustalone, gdzie mają się ustawić podczas bitwy. Nie ufano im, więc i nie pozwolono walczyć w murze tarcz, w którym każdy dreng musi chronić nie tylko siebie, ale i towarzysza. Życzeniem kagana pozostawało jednak, by stanęli w pierwszym szeregu jako ochotnicy do zarżnięcia, których krew poświęci pole bitwy. Przestrzeń między młodszym – po ich lewicy – i starszym – po ich prawicy – gridem, miała nadawać się do tego najlepiej, nawet jeśli ich stojący w kupie oddział miał zaburzyć równą linię drengów. Gdy skogarmadowie dotarli na wyznaczone miejsce, Skald utkwiał wzrok w lasku, który pokrywał pobliskie wzniesienie. Pomiędzy drzewami mignęły jakieś światełka. Czyżby hełmy i kolczugi, połyskujące w promieniach słońca? Jeśli tak, to albo kryli się tam niedoświadczeni wojownicy, niewiedzący, że polerowana zbroja tak przydaje się podczas zasadzki jak biała koszula skrytobójcy, albo prawdziwi bogatyrzy, którzy nie dbają, czy zostaną zauważeni. Szybko okazało się, że las krył tych drugich. Jeźdźcy opuścili las i ukazali się w pełnej okazałości. Ustawili się w sześciu rzędach długich na dwieście kroków, które wyglądały jak fale spływające ze wzgórza.

Pieśniarz nie miał wątpliwości, że patrzy na konnych Gardarikan, choć dzieliła ich odległość sześciuset kroków. Zwiadowcy bez wątpienia już dawno donieśli kaganowi o ich obecności, a widziany niedawno posłaniec zameldował tylko, że nieprzyjaciel znajduje się już bardzo blisko. Jednak większość armii Odainsaku dopiero teraz zobaczyła przeciwnika.

– Siła ich – burknął Nikolas, po czym chwycił w dłoń zawieszony na szyi krzyżyk i wymamrotał jakąś grikklandzką modlitwę.

Poeta nie był kupcem, ale znał się na liczbach. Jak inaczej mógłby czuwać nad liczbą sylab w wersach lub zliczyć mężatki, z którymi dzielił posłanie? Oceniał, że Gardarikan było góra dwa tysiące, o ile inni nie chowali się w lesie. Niewielu, ale ich wyposażenie, karność i osławione

męstwo zwielokrotniało tę liczbę. Jednak wątpliwe pozostawało, czy są w stanie choćby zagrozić wojsku Kola Małego. I nie chodziło tu wcale o dwa razy liczniejszą piechotę odainsakijską.

Właśnie wtedy przed piechotą zaczęły ustawiać się hordy Tattarów. Wszyscy jeźdźcy byli do siebie bardzo podobni, ale podczas wielodniowego marszu Östmad w końcu nauczył się ich rozróżniać. Oczywiście nie każdego z osobna, ale umiał już wskazać, do jakiego ludu należeli.

Ainar nie lubił bitew. Trudno było się wykazać w tak wielkim tłumie, a do tego zawsze straszliwie się nudził, oglądając przygotowania do starcia. Większość zbrojnych była oczywiście zbyt podniecona i przestraszona, by dostrzec tę nudę, więc na ogół zaciskała dłonie na włóczniach, by ukryć drżenie rąk, lub udawała, że pot na czole jest wynikiem forsownego marszu. Kowal słów był jednak zbyt doświadczonym wojownikiem, by tysiące zbrojnych szykujących się do walki na śmierć i życie zrobiło na nim wrażenie. Dziesiątki bitew nauczyły go wszakże, że nie warto walczyć z pełnym pęcherzem. Korzystając, że stał w pierwszym rzędzie, wyciągnął dumę Północy i oddał mocz, tworząc wielki łuk hańby dla swoich wrogów. Jednocześnie przyglądał się ustawionym już w szyku koczownikom. Środek armii konnej tworzyli Bulgarzy i Chazarowie, najodważniejsi z konio-ludzi, którzy woleli mierzyć się z przeciwnikiem w starciu wręcz, zamiast miotać w niego pociskami z ukrycia. Nosili kolczugi lub pikowane przeszywanice zwane aknetonami. Uzbrojeni byli we włócznie, miecze o prostej głowni, kańczugi zakończone żelaznymi kulkami i lekkie toporki. Rynsztunku dopełniały okrągłe skórzane tarcze przyłączone do łąków siodeł i żelazne, szpiczaste hełmy. Bulgarzy i Chazarowie ustawili się w sześciu liniach, równych niczym bruzdy świeżo zaoranej ziemi. Było ich nie więcej niż półtora tysiąca.

Żółty strumień na chwilę osłabł, ale wystarczyła chwila skupienia, by znów zaczął bić z pełną mocą. Niektórzy banici, a nawet gridini poszli śladem Ainara, wiedząc, że lepiej ulżyć sobie teraz, niż później niechcący popuścić z wysiłku czy strachu.

Skald wrócił do przeglądu wojsk. Lewe skrzydło szyku jazdy zajęli Baganakijczycy, a prawe Oguzowie. Ci ostatni, po serklandzku zwani Al-Guezzija, bardziej niż uzbrojeniem różnili się od innych ludów stepu ubiorem i sposobem strojenia swoich koni. Używali prostych, pozbawionych ozdób siodeł, za to do uprzęży doczepiali buńczuki<sup>[9]</sup>, jakby ich konie miały za mało własnego włosia. Sami nosili długie wojłokowe buty, a na głowach zamiast hełmów mieli skórzane tołuby, czyli czapy z szerokim rondem.

Baganakijczycy, nazywani też przez osiadłe ludy Austrvegu Pieczyngami, słynęli z kunsztu rymarskiego, więc siodła swoich koni zdobili piękniej niż suknie własnych kobiet. Większość z nich zamiast kolczug nosiła baranie kurtaki lub proste kaftany, a na głowach proste hełmy. Połowa z nich, czyli niemal dwa tysiące ludzi, była konnymi włócznikami, a druga połowa – konnymi łucznicami. Właśnie ci drudzy rozpoczęli bitwę.

Zniesmaczony Ainar pokręcił głową. W jego stronach bój zaczynał sam wódz, przemawiając do wojska i rzucając w stronę nieprzyjaciela włóczęgią. Tutaj zamiast przemowy rozległ się gwizdek. Wypuściwszy ostatnie krople moczu, pieśniarz schował pogromcę mężatek i burknął do Nikolasa:

– Dowodzi się nimi jak ogarami.

Usłyszał go Konel, jeden z korowych ludzi, którego imię i twarz wskazywały, że przynajmniej jedno z jego rodziców było Hunem.

– Głupi Vaering – powiedział oburzony. – Nie ma lepiej zorganizowanych oddziałów niż konni łucznicy, a ich śmiałe zwroty podziwia każdy jeździec Wschodu.

Pieśniarz nie chciał się kłócić, bo zaciekała go sytuacja na przedpolu. Szczęśliwie przed oddziałem skogarmadów ziała luka między watahami koczowników, pieśniarz miał zatem świetną widoczność. Wojownicy z sąsiednich oddziałów mogli tylko spoglądać na końskie zady i na to, co z nich wylatywało. A tattarskie zwierzęta musiały być niezwykle mądre, bo – tak jak ludzie – dbały, aby ich brzuchy pozostały puste przed walką.

Konni łucznicy z obu skrzydeł ustawili się w dziesięciu rzędach

podzielonych na pięćdziesięcioosobowe watahy. Pierwszy rzut zbrojnych ruszył stępa, by po chwili przejść w galop. Konni początkowo jechali w linii. Step dudnił pod ich kopytami, a z ziemi poderwał się kurz, mimo iż jechali po trawie. Po chwili dowódcy oddziałów dwa razy dmuchnęli w rogowe gwizdki i łucznicy sięgnęli do kołczanów.

– Za wcześnie – pomyślał na głos Ainar, bo jeźdźcy byli jeszcze trzysta kroków od przeciwnika.

Konel prychnął pogardliwie.

– Nie dla łamanego łuku.

I rzeczywiście. Poskręcane ramiona łączysk napięły się, a cięciwy wypuściły strzały. Te pomknęły wysoko i opadły na Gardarikan.

Ze swojego miejsca Skald nie był w stanie stwierdzić, jakie szkody przyniosła pierwsza salwa, ale był pewny, że pociski sięgnęły celu. Szeregi nieprzyjaciela zrobiły bowiem w tył zwrot i schowały się w lesie.

Gdyby ludzie Tirusa pozostali w ukryciu, szarża Bagankijczyków musiałaby dobiec końca. Szkoda było przecież marnować strzały na zabijanie pni i gałęzi. Ale Gardarikanie przyjęli wyzwanie. Wyszli przed ścianę zarośli, ale tym razem wydawali się niżsi, a część z nich pozostała rozstawiona między drzewami.

– Zsiedli z koni. – Nikolas powiedział to, czego pieśniarz już się domyślił.

Poeta niechętnie przypomniał sobie, że i Alosza był świetnym łucznikiem, a przecież Gardarikanie też byli Vindmadami. Czuryłowicz używał długiego cisowego łuku, który postawiony na stopie sięgał piersi dorosłego mężczyzny. Z tak dużej broni niewygodnie strzelało się z konia, ale na stojąco można było szyc z niej daleko i celnie. Bez wątplenia właśnie takie łuki mieli najemnicy Tirusa, bo z ich linii lunął deszcz, który gardząc prawami natury, wzbił się wysoko w górę. Strzały złowieszczo przecięły niebo, zagroziły słońcu grotami i opadły na pędzących Bagankijczyków.

Z tej odległości nawet celnie wymierzone pociski nie mogły zabić.

Dlatego choć kilka z nich sięgnęło celu, nie zatrzymały natarcia.

Pieczynowie i Oguzowie odpowiedzieli kolejną salwą, już bez gwizdkowej zapowiedzi.

Cień spowił trawę, gdy strzały poleciały w poszukiwaniu żeru dla swoich grotów. W locie minęły się ze zmiatającymi w przeciwną stronę pociskami Gardarikan. Niektóre zderzyły się i opadły na ziemię. Inne pozdrowiły się świstem lotek i ukłuły ciała zwierząt oraz mężczyzn.

– Ptaki pikujące, pikowane przeszywanice pieszczące – rzekł pieśniarz, wymyśliwszy taką aliterację na potrzeby wisi, którą zamierzał ułożyć o tej bitwie.

Konel i Nikolas popatrzyli się na niego jak na odrmadę, a ten pierwszy powiedział:

– Nie podniecaj się tak, Vaeringu. Na razie tylko rozgrzewają łuki. Prawdziwe strzelanie dopiero przed nami.

Miał rację. Wkrótce jadący na prawych skrzydłach swoich watah dowódcy koczowników zagwizdali trzy razy i zrobili nagły zwrot w prawo. Pozostali jeźdźcy gęsiego ruszyli w ich ślady. Przez chwilę Tattarzy jechali odwróceniem bokiem do nieprzyjaciela i wypuszczali strzały z nieczłowiecką szybkością. Potem dowódcy zawrócili, pociągając za sobą kolejnych jeźdźców. Nie uciekli jednak, by szukać osłony za piechotą, ale znów skręcili w prawo i każdy pognął za ostatnim jeźdźcą ze swojej grupy. Tak powstało sześć zamkniętych pierścieni.

Ainar nie wiedział, co o tym myśleć. Zaledwie sto kroków od nieprzyjaciela Hunowie jeździli w kółko, pędząc jak szalone psy za swoim ogonem.

– To właśnie jest sławny strzelecki krąg – wyjaśnił mu Konel, który nie próbował nawet ukryć dumy w głosie. Sam musiał być niegdyś wprawnym jeźdźcą, zanim stracił prawą dłoń i został skogarmadem.

Skald dziwował się temu sposobowi walki, ale szybko dostrzegł jego zalety. Ludzie stepu mogli cały czas prowadzić ostrzał, znajdując się przy tym w ruchu i utrudniając trafienie przeciwnikom. Z łuku szyli jednak nie

wszyscy, a tylko ci, którzy jechali z przodu, podczas gdy nawracający koczownicy poprawiali ekwipunek i wyrównywali szyk.

– Powinni podjechać bliżej – wtrącił Nikolas. – Z pięćdziesięciu kroków trafialiby celniej.

– Co ty tam wiesz?! – oburzył się Konel. – Sto kroków jest w sam raz. Nie wszyscy Gardarikanie wyszli z ukrycia. Część ich jazdy na pewno czeka w lesie, szykując się do szarży.

Zapewne właśnie z tego powodu konio-ludzie zrobili tylko po dwa okrążenia i znów zmienili szyk. Dowódcy, zamiast zarządzić nawrót, pognali w kierunku wciąż stojącej na pozycjach reszty swoich wojsk, pociągając za sobą kołujących do tej pory jeźdźców.

Nie był to jednak koniec ostrzału. W czasie gdy Tattarzy krążyli przed armią Gardarikan, do natarcia ruszył drugi rzut Hunów. Wycofujący się koczownicy minęli swoich pobratymców od prawej strony, ustępując im miejsca na przedpolu. A ci powtórzyli ich zabawę w gonionego – najpierw prowadzili ostrzał w linii, osłaniając tym samym wycofujących się braci, a sto kroków od nieprzyjaciela rozdzielili się na sześć watah i utworzyli kręgi. Również te pierścienie zrobiły tylko dwa okrążenia, a każdy konio-człowiek wypuścił w tym czasie do czternastu strzał. Był to oszałamiający wynik, którego nie zdołałby osiągnąć nawet znany z sag znakomity łucznik Örvar Odd.

– Muszą mieć palce ze stali – zauważył Östmad.

– Raczej rogowe zekiery na kciukach – wyjaśnił skośnooki banita. – Właśnie nimi naciągają cięciwę. Bez zekierów nie wypuściliby więcej niż sześć strzał.

Cokolwiek było sekretem ich strzeleckiej biegłości, działało znakomicie. Baganakijczycy i Oguzowie naciągali cięciwy o wiele częściej niż przeciwnik, co nie znaczy, że tamten został zdziesiątkowany. Gardarikanie zajmowali pozycje na wzniesieniu i część z nich stała za osłoną drzew, co wyrównywało szanse. Wiele koczowniczych strzał wpadało między gałęzie, a większość pozostałych zatrzymywała się na mocnych kolczugach i hełmach. W szeregach ludzi Tirusa tylko sporadycznie powstawały luki,



ale natychmiast uzupełniali je zbrojni wybiegający z lasu. Piesi łucznicy też potrafili się skutecznie odgryzać, tyle że nie strzelcom, ale ich koniom. Kilka wierzchowców padło, choć większość rannych zwierząt była w stanie biec wystarczająco długo, by nie załamać szyku, a zdychała dopiero po powrocie do swoich szeregów, dobijana przez własnych jeźdźców.

– Przynajmniej wiadomo, co będzie na kolację. W końcu jakaś pieczeń – wtrącił Nikolas.

– Nie liczyłbym na to. Pewnie i tę koninę ususzą i dadzą nam do zjedzenia dopiero za miesiąc – Östmad pozbawił towarzysza złudzeń i splunął z obrzydzenia. Obaj podzielali niechęć do kulinarnych upodobań koczowników.

Oglądanie kołowania dwóch pierwszych oddziałów było ciekawe, ale za trzecim i czwartym razem stało się już nużące. Ainar szybko się zorientował, że jeśli któraś ze stron nie zaryzykuje starcia wręcz, ostrzał może potrwać nawet do wieczora. Koczownicy z każdego rzutu, który opróżnił kołczany, wracali za ostatnią linię konnych łuczników i na nowo ustawiali szyk. Wtedy podjeżdżali do nich chłopcy na koniach, dostarczając nowe strzały, a w razie potrzeby wymieniając ranne wierzchowce na świeże.

– Nogi drętwią od tego stania – poskarżył się Nikolas.

– Lepsze zdrętwiałe nogi niż ucięty łeb – odpowiedział Konel. – Proś swojego grikklandzkiego boga, by Gardarikanie nie przeprowadzili szarży na nasz oddział.

Kol Mały nie należał do ludzi cierpliwych. Władca musiał podejrzewać, że wrogowie chcą ich zatrzymać w polu, by Dyragard lepiej przygotował się do obrony.

Nornom niech będą dzięki – pomyślał Skald, widząc, że nie tylko on znudził się ostrzałem, jako że po sześciu atakach konnych łuczników rozległ się kolejny sygnał, tym razem jednak nie wydobywający się z gwizdków. Sygnał czterokrotnego zadęcia w rogi znał każdy w armii, bo właśnie on nadawał sens jej istnieniu – oznaczał atak. Każdy konung wymagał, by

zbrojni cieszyli się, gdy go usłyszą. Poeta niedbale wyciągnął miecz – westchnął, bo broń ta stanowiła lichą namiastkę Kvernbita – i sprawdził jego ostrość palcem.

– Tak się wyrwasz do walki? – zapytał dziwnie rozbawiony Konel.

Pieśniarz rozejrzał się i zauważył, że zarówno starszy, jak i młodszy grid stoją w miejscu, a ich merkismadowie nie zataczają kręgów sztandarami, co byłoby znakiem do ataku. Ruszyli się za to Chazarowie i Bulgarzy. Ainar poczuł rozczarowanie – nie lubił uczestniczyć w przedstawieniu, w którym sam nie grał głównej roli.

– Po prostu rozgrzewam nadgarstki – skłamał, kręcąc młynka mieczem. Nie zamierzał się przyznawać, że podniecił się do walki niczym młodzik.

Ciężkozbrojni – przynajmniej jak na stepowe warunki – Tattarzy ruszyli do ataku. Nie wszyscy naraz, bo tylko berserk wkłada wszystkie siły w pierwsze uderzenie. Od środka armii oderwały się tylko cztery pierwsze linie, każda oddalona od siebie o trzydzieści kroków.

Przedni szereg przeszedł w galop, gdy znalazł się w zasięgu strzał nieprzyjaciela. Pierwsze pociski nie wyrządziły jeźdźcom żadnej krzywdy. Drugie zraniły kilka zwierząt. Trzecia porcja nie nadleciała, bo piesi łucznicy zniknęli w lesie. Spomiędzy drzew wyłonili się natomiast Gardarikanie na koniach, w sile tysiąca ludzi w czterech rzędach, którzy od razu popędzili wierzchowce na wroga.

Hunowie nie mieli szans w tym starciu, choć nie ustępowali liczebnie przeciwnikowi. Pierwsza linia jeźdźców stepu zderzyła się ze ścianą koni, ludzi i żelaza i odbiła się od niej niczym fala od skały, zlewając ją krwią. Groty włóczni ześlizgiwały się po tarczach w kształcie liści dębu, długich kolczugach i solidnych szyszakach. Tymczasem gardarikańskie włócznie o szerokich grotach świetnie radziły sobie z przebijaniem skórzanych i drewnianych tarcz, dziurawiły kaftany i obijały żebra tych Tattarów, których chroniły kolczugi.

Drugi i trzeci szereg koczowników, widząc druzgocącą porażkę pobratymców, zrobili zwrot w prawo i zawróciły w kierunku własnych wojsk. A konni Tirusa nawet się nie zatrzymali po zmasakrowaniu

pierwszej watahy, tylko pognali za uciekinierami.

– Nie wierzę! – krzyknął uradowany skośnooki banita. – Tak łatwo dali się nabrać?! Musi nimi dowodzić jakiś dumny głupiec.

Östmad domyślił się, że skogarmadowi nie chodziło o dowódcę Chazarów, który tak nieprzemyślanie, z zaledwie kilkoma setkami konnych, zaatakował Gardarikan. Konel miał na myśli wodza ciężkozbrojnych nieprzyjaciół. Ainar przepatrzył ich szarżujące linie i w trzeciej dostrzegł rosnącego bogatyra dosiadającego ogiera czarnego jak noc podczas Ragnaröku, bitwy końca świata. Mężczyzna miał na głowie wymyślny hełm zwieńczony końską kitą, która teraz ciągnęła się za jeźdźcem, targana wiatrem niczym ogon kruka lądującego na padlinie. Skald przypomniał sobie Igora, który uwolnił go z rąk łowców niewolników. To musiał być Dirowicz, obok niego jechał bowiem merkismad dzierżący znak armii, przedstawiający czarny dwuząb na złotym tle.

Gdy ludzie Igora oddalili się o dwieście kroków od lasu, do bitwy ponownie włączyli się huńscy konni łucznicy. Pięć rzędów Baganakijczyków i cztery linie Oguzów natarło na oba boki Gardarikan. Tym razem nie bawili się w tworzenie kręgów, tylko pędzili w równych szeregach. Ich pierwsza salwa, oddana trzysta kroków od nieprzyjaciela, odbiła się od tarcz i kolczug. Trzy kolejne okazały się skuteczniejsze, bo wycelowane zostały w zwierzęta. Dziesięć, może piętnaście koni zachwiało się i przebiegło jeszcze pięćdziesiąt kroków, zanim zważyło się na sąsiadów. W pierwszym szeregu najemników powstało małe zamieszanie, ale jeźdźcy szybko je opanowali – zostawili rannych za sobą i zwarli szyk.

– Zmienili strzały! – wtrącił Konel, a kiedy zobaczył uniesioną brew poety, wyjaśnił: – Zawsze mają dwa rodzaje. Do ludzi strzelają igłami, a do koni pociskami na grubego zwierza.

Choć z każdą chwilą ostrzał przynosił coraz większe spustoszenia w szeregach nieprzyjaciela, konni łucznicy nie wazyli się dobić ludzi Tirusa w zwarciu. Każda linia stepowców, która zbliżyła się do Gardarikan na odległość trzydziestu kroków, robiła zwrot w prawo i zawracała

w rozproszeniu, by nie przeszkadzać kolejnemu rzutowi strzelców.

– Jeszcze trochę postrzelają, a konie padną na kolana tuż przed naszymi szeregami. Zostanie nam dobijanie – ucieszył się Konel, mając zapewne nadzieję na udział w łupach.

Zagrożenie musieli dostrzec również Gardarikanie ukrywający się w lesie, bo ruszyli do ataku ustawieni w dwóch skrzydłach. Ich merki wyglądały podobnie jak główne, bo przedstawiały mierzący w niebo dwuząb, różniły się jednak kolorem płótna – prawy sztandar był zielony, a lewy czerwony. Najemnicy wskazali włóczyniami konnych łuczników.

Koczownicy nie przejęli się nowym niebezpieczeństwem i dalej prowadzili ostrzał głównych sił Tirusa. Znali swoje zadanie i wiedzieli, że mają wsparcie. W stronę zielonej chorągwi ruszyło dwa tysiące bagankijskich włóczyńców, którzy wprawdzie byli słabiej uzbrojeni od Gardarikan, ale mieli czterokrotną przewagę liczebną.

Gorzej przedstawiała się sytuacja na prawym skrzydle. Bitwa coraz bardziej zbliżała się do oddziałów piechoty Kola, przez co Ainar miał coraz słabszą widoczność, zdawało mu się jednak, że przesunięto tam Bulgarów, by osłaniać smerdów i przejęli na siebie szarżę czerwonej chorągwi.

Tymczasem złota chorągiew, wiedziona przez Igora, znajdowała się już coraz bliżej Chazarów. Konni łucznicy mieli coraz mniej miejsca, by wymieniać swoje linie. Dlatego ostatni szereg Bagankijczyków, zamiast postrzelać, sięgnął po dziryty i rzucił nimi, kiedy znalazł się dwadzieścia kilka kroków od nieprzyjaciela. To samo zrobiła ostatnia linia Oguzów atakująca z drugiej strony.

Wcześniejszy ostrzał z łuków był zaledwie ukąszeniem pszczoły w porównaniu z tym, jak zmasakrowało Gardarikan pięćset krótkich włóczyń. Z tej odległości trafiony przeciwnik to martwy przeciwnik, więc przynajmniej trzystu najemników udało się sprawdzić, czy piwo w zaświatach smakuje tak samo jak za życia. Najwięcej ofiar, zarówno wśród koni, jak i ludzi, padło w pierwszym rzędzie, ale drugi i trzeci też poważnie ucierpiały. Prosto w pierś dostał merkismad, który wypuścił znak

z rąk i zwałił się pod kopyta własnego ogiera.

Zabite lub śmiertelnie ranne zwierzęta ryły kolanami w ziemię lub przewracały się na sąsiadów. Szaleńcze rżenie umierających wierzchowców brzmiało żałośnie jak wrzaski męczonych skazańców. Bogowie Północy, nie mniej niż Vaeringowie rozsmakowani w koninie<sup>[10]</sup>, musieli z zadowoleniem przyglądać się bitwie. W rolę żałobników wcieliła się część żywych ogierów, które wierzgnęły, zarżały i zatrzymały się w miejscu, lekceważąc kańczugi swoich panów. To wywołało zamęt – nie mniej groźny dla zbrojnych Igora niż straty w ludziach. Siła natarcia osłabła, a ci spośród jeźdźców, którzy pędzili dalej, nie byli już w stanie utrzymać zwartego szyku.

Chazarowie tylko na to czekali. Ci, którzy do tej pory uciekali, zawrócili i wsparci przez nowe watahy pobratymców uderzyli na rozluźnione linie najemników. Pierwszy szereg Gardarikan niemal natychmiast przestał istnieć, zmiażdżony samą przewagą liczebną przybyszów znad dolnego Itilu. Zatrzymał jednak koczowników na tyle długo, że pozostali ludzie Dirowicza mogli zmienić ustawienie.

Zagrał gardarikański róg. Rozbrzmiała melodia tchórza, którą znali wszyscy, choć nikt się nie przyznawał, że kiedykolwiek ją słyszał. Jeden sygnał krótki i jeden długi. Bogatyrzy zrobili w tył zwrot i pognali w stronę lasu.

Piechota Kola wzniosła okrzyk zwycięstwa, jakby to ona przez cały dzień przelewała krew. Zbrojni pozdrowili bogów i pogonili nieprzyjaciół przekleństwami. Niemal wszystkie obelgi mówiły o tym, że najemnicy Tirusa pokazują tyłek każdemu mężczyźnie, który o to poprosi.

Koczownicy mniej gadali, a więcej robili. Zgodnie z dobrym obyczajem, tłumnie odprowadzili gości. W pościgu wzięli udział głównie łucznicy, którym zostały jeszcze strzały.

– To jeszcze nie koniec – trzeźwo ocenił wywodzący się z Hunów korowy mąż.

I rzeczywiście. Chorągwie czerwona i zielona starły się z konnymi włócznikami i początkowo wzięły nad nimi górę. Zderzenie oddziałów

dało wyraźną przewagę Gardarikanom, choć kiedy wytracili szybkość i zaczęli walczyć w miejscu, przewaga liczebna Tattarów wyrównała szanse.

Walka w równowadze nie była jednak tym, w czym lubowali się konio-ludzie. Ponownie oderwali się od wroga i zaczęli uciekać.

Przez chwilę najemnicy Tirusa tkwili w miejscu, wahając się, czy ruszyć w pościg, czy wracać do lasu, tak jak robiły to ich główne siły.

– Nikt nie jest tak głupi, by drugi raz nabrać się na tę samą sztuczkę! – krzyknął Konel, choć w jego głosie kryła się nadzieja, że wróg jest jednak słaby na umyśle.

– Zakuty łeb i bitewna wrzawa nie są kochankami mędrca – wypowiedział pieśniarz na głos przestrozę, jaką kiedyś wygłosiła jego babka. – Ale nie będą uciekać. Zwycięży wierność do dowódcy.

Miał rację. Gardarikanie zawrócili konie i obrali sobie za cel konnych łuczników ścigających złotą chorągiew.

Dla konio-ludzi z tego oddziału było to spore zagrożenie, bo zostaliby zaatakowani z obu stron. Baganakijczycy mieli jednak oczy dookoła głowy. Rozpoczęli odwrót, gdy ścigający ich najemnicy znaleźli się w odległości pięćdziesięciu kroków. Nie zawrócili jednak w stronę swojej armii, ale popędzili wzdłuż pola bitwy.

Pieśniarz po raz kolejny musiał przyznać, że nie ma lepszych łuczników nad Tattarów. Mimo iż uciekali, jakimś sposobem strzelali do tyłu w galopie. Ustępując pola, zadawali dużo szkód tym, którzy ich przepędzili.

Gdy siły prowadzone przez Igora dotarły w końcu do lasu, zagrział gardarikański róg, nawołując do odwrotu. Zielona i czerwona chorągiew zaprzestały pościgu i skręciły ku linii drzew. Konio-ludzie natychmiast się w tym zorientowali i po raz kolejny zawrócili, znów ze zwierzyny stając się gończymi.

Pościg nie trwał długo, a i Hunowie nie strzelali już tak gęsto, bo kończyły się im pociski. Gdy ostatni jeździec nieprzyjaciela zniknął za

drzewami, konni łucznicy zatrzymali się, czekając na ruch przeciwnika.

Ten jednak nie nastąpił. Całe szczęście, bo Ainar już się obawiał, że Gardarikanie wyjdą z łukami i zawody strzeleckie zostaną wznowione.

Armia trwała w gotowości. Wróg niewidoczny nie jest wrogiem nieobecnym.

Piesi niecierpliwie przebierali nogami, a konie biły kopytami o ziemię. Powoli robiło się ciemno, a armii doskwierał głód. I nie chodziło tylko o jedzenie, którym z pewnością nie pogardziłby żaden zbrojny, ale przede wszystkim o łupy. Setki trupów nieprzyjaciół leżało na polu bitwy, a przy każdym z nich – świetna broń, drogocenna zbroja, a może i sakiewka. Żal było patrzeć, jak takie dobra się marnują, a jedynymi łupieżcami są kruki, licznie przybyłe na ucztę z zabitych.

W końcu Kol Mały wysłał do lasu zwiada, który szybko wrócił z wieścią, że przeciwnik odjechał na dobre. Na polu walki pozostało sześć setek poległych Gardarikan i trzystu koczowników. Wróg nie został rozgromiony, ale ludzie Tirusa stracili złoty znak armii i musieli się wycofać. Tattarzy wygrali bitwę.

## 35

Gdy Jastrząb i Płaszcz wyszli na ląd, chciało im się skakać z radości. Nie zrobili tego jednak, gdyż ledwo mogli chodzić.

Po bitwie na rzece przez dwa dni leżeli w gorączce i pewnie zostaliby wrzuceni do wody jako ci, których nie warto opatrywać, gdyby nie Ali Czarny Berserk. Z jakiś niezrozumiałych powodów zajął się nimi i przewiązał im rany. Znalazł też gałąź leszczyny i zrobił laskę, na której teraz się wspierali.

Kuśtykali teraz obok Blamada, który był zdania, że Tirus nagrodzi ich za męstwo i zostaną przywróceny do łask. Haukr i Hedin wierzyli w to tak, jak gołąb w upolowanie jastrzębia.



Poszedł z nimi również Tharbrand. Jak na zwykłego człowieka okazał się bardzo dzielny – postanowił zaświadczyć władcy o ich przedniej postawie w boju.

Byli dumni z każdego przez nich zgładzonego, ale nie popadali w zachwyty. Nie mieli już oka, a teraz ledwo chodzili, osłabieni utratą krwi. Śmierć sprawi, że jastrząb i człowiek pozbędą się niewygodnego ciała, ale nie chcieli umrzeć, dopóki nie pomszczą chłopca.

Od razu wyczuli, że coś jest nie tak, gdy przed ostatnią z mijanych bram grodu, tą otwierającą przejście do samego kremla, minął ich mały wóz zaprzęgnięty w wychudzoną szkapę. W gardzie nie powinno pachnieć lasem, a jednak od czterech smerdów, którzy szli za wozem, wyczuwał zapach świeżej kory. Samo to jednak nie było dziwne – jeśli mieszkali poza grodem, mogli nasiąknąć wonią drzew. Podejrzane natomiast wydało się zmiennokształtnemu ich zachowanie względem kur.

Dwie nioski, gdacząc, spacerowały wzdłuż bramy. Jedna bezczelnie zatrzymała się koło vardkarla, zrobiła kupę, ale postraszona przez strażnika, zatrzepotała skrzydłami i odskoczyła na bok. Druga podreptała za wozem. Żaden smerd nawet na nią nie spojrział.

Haukr i Hedin puścili leszczynową laskę i sięgnęli po szpony. Chcieli doskoczyć do smerdów, ale sił im starczyło zaledwie na dokuśtykanie. Na szczęście pachnący lasem ludzie nie zorientowali się w porę, więc Jastrząb i Płaszcz zdołali wbić saksy w plecy ostatniego mężczyzny.

\*\*\*

Ali układał sobie w myślach przemowę dla kagana. Nie zamierzał się chwalać, ale szczerze opowiedzieć, jak rozprawili się z ludźmi Kola. Dwóm wrogim statkom udało się uciec, a Vaeringowie nie zdołali ich dogonić. Saglabowie skręcili na rozwidleniu w lewo i popłynęli w stronę Bulgaru. W związku z tym połowa sił Tharbranda została na skrzyżowaniu dwóch rzek, w razie gdyby miały nadpłynąć kolejne statki ze zbożem, a reszta udała się do Dyragardu, by wzmocnić obronę grodu.

Dowodzenie Blamadami i Serklandczykami – o to zamierzał poprosić konunga berserk, przeczuwając, że na przewodzenie gridem jego pan się nie zgodzi. Zastanawiał się właśnie, jak przekonać Tirusa, by oddał mu Haukrhedina pod rozkazy, gdy hamramir dopuścił się kolejnego szaleństwa. Zabił niewinnego smerda.

Wszystko potoczyło się szybko jak smagnięcie kańczugiem. Strażnicy przy bramie wymierzili w nich włócznie, smerdowie wyciągnęli noże, a Tharbrand zaszedł hamramira od tyłu i przyłożył mu miecz do gardła. Gdyby jastrzębi dreng był w pełni sprawny, pewnie nie dałby się tak łatwo podejść.

– Rzuć saksy! – krzyknął styrir.

Szpony zabrzczały o deski, którymi wyłożona była główna ulica grodu. Lunatyk nie próbował się nawet bronić, co bardzo zaskoczyło czarnego gridina.

– Dlaczego go zabiłeś!? – zapytał, a raczej zażądał odpowiedzi styrir.

– Bo nie patrzyli na kury.

Odpowiedź była tak niedorzeczna, że nikt nie wiedział, co o niej myśleć.

– Jakie kury? – zapytał Tharbrand, zerkając oczami na boki. Gdy w końcu zauważył ptaki, powiedział: – I co? Ja też ich nie widziałem.

– Ty jesteś żeglarzem, więc nie przejdiesz obojętnie obok ryby. Oni są smerdami. Powinni zauważyć kury, może nawet spróbować ukradkiem je schwytać. Służyliśmy z hodowcami na wale i wiemy, że oni nigdy nie przestają mówić i myśleć o gospodarstwie.

Ali zastanowił się nad słowami Haukrhedina i zauważył w nich sens. Niewielki, ale jednak wystarczający, by wzbudzić w nim ciekawość.

– Czemu nie zwróciliście uwagi na ptaki? – skierował pytanie w stronę gospodarzy.

Zagadnięci wyglądali na nie mniej zdziwionych zajściem niż pozostali zgromadzeni. Nie była jednak od nich trwoga, ale chęć zemsty. Tutejsi ludzie byli naprawdę zadziorni i zdarzało się, że żebrak ważył się mierzyć z bogatym, gdy ten nieumyślnie go potrącił. Zwykle jednak okazywali

pokorę wobec lepiej urodzonych.

– Nie jesteśmy złodziejami! – oburzył się jeden z nagabywanych. – Nie nasze kury, nie nasza sprawa.

Odpowiedź była dobra i nie powinna budzić podejrzeń. A jednak... Wytatuowany drużynnik wielbił słowa, bo sam wierzył w ich stwórczą potęgę, te zaś zostały wypowiedziane zbyt szybko, zbyt lekko i zbyt niedbale, jakby nie kryła się w nich moc prawdy.

– Nie chcecie kraść? To co tutaj robicie?

– Nie twoja sprawa, Blamadzie! Nie będzie nas wypytywał czarny pies!

– Psy gryzą – powiedział, dobywając Ludożercę.

– Dość! – wtrącił się strażnik. – To smerdowie, którzy dowożą jedzenie na kreml. Wpuściliśmy ich przedpołudniem z koszami owoców i dzbanami mąki, a teraz wracają z pustym wozem. Twój przyjaciel pójdzie z nami do lochu. Kagan zdecyduje, jak go ukarać za morderstwo.

– Doczekałeś się, hamramirze! – syknął styrir do ucha zakładnika, a do wszystkich krzyknął: – Osobiście odprowadzę go do więzienia! Odpowiadam za swoich ludzi!

– Chwileczkę! – zatrzymał zaopatrzeniowców gridin. – Skoro wóz jest pusty, dlaczego zakrywa go płachta?

Wszyscy spojrzeli na pojazd, który rzeczywiście był przykryty, a wybrzuszenia w materiale wskazywały, że coś pod nim ukryto.

– Takiś ciekawy? Sam sprawdź.

Smerd stojący najbliżej wozu podszedł i odchylił płachtę. Ukazały się trupie nogi, sine i popaprane krwią.

– Też nie jesteśmy zachwyceni ładunkiem! Przywieźliśmy jedzenie, a kagan kazał nam wywieźć zwłoki zdrajców. Zdrajców, czyli naszych sąsiadów, którzy byli niedostatecznie hojni w dzieleniu się żywnością z wojskiem.

– Zadowolony? – Tharbrand zapytał rosłego drużynnika. – Mamy już ostateczny dowód, że twój przyjaciel to krwiożerczy szaleniec.

Blamad spojrział na odrmada z wyrzutem, obrócił się plecami do

smerdów, a do towarzyszy powiedział:

– Chodźmy.

– Osiem sinych stópek, a sześć bez paluszków, cztery piękne stópki, co cudzą krwią broczą – dobiegł go bełkot Haukrhedina. – Na mękach były nóżki, a kikuty paluszków dawno zagojone.

Ludożerca udał się na żer. Ali obrócił się na pięcie i skoczył. Stał saifu świsnęła. Ostrze odcięło rękę gospodarza razem z barkiem. Drgający na ziemi krwawy ochłap wyglądał jak skrzydełko kurczaka. Dwaj pozostali smerdowie rzucili się na gridina z nożami. Jeden zdołał nawet drasnąć go w udo, ale zapłacił za tą zniewagę głową. Trzeciemu przeciwnikowi Blamad udzielił serklandzkiej lekcji medycyny – pokazał mu, co kryje się w jego brzuchu.

Vardkarlowie nie stali beczynnienie. Rzucili się z włóczniami na najbliższego stojącego przeciwnika – Tharbranda. Vaering odstąpił od hamramira i przyjął postawę obronną. Zbił pchnięcie jednej włóczni i uchylił się przed drugą. Zaczął się cofać.

– Stójcie! Nic do was nie mamy – próbował powstrzymać strażników dowódca floty.

– Nikt nie będzie zabijał smerdów na naszej warcie!

Haukrhedin nie boczył się za zniewagę. Podniósł szpony i przygarbiony pokuśtykał na wartowników. Zanurkował pod włócznią, zrobił fikołka i wbił szpon w stopę vardkarla. Wstał i uciszył przeklinającego strażnika, krzyżując mu na szyi saksy i podrzynając gardło.

Z drugim poradził sobie rudobrody żeglarz. Wartownik na pół oddechu odwrócił wzrok od przeciwnika, by spojrzeć na zabijanego towarzysza. Styrrir to wykorzystał. Przeciął mieczem włócznię i mogąc już bezpiecznie skrócić odległość, zrobił krok w przód i ciął wroga powyżej kolana. Nie silił się na dobijanie, tylko z zakrwawionym mieczem zaczął kroczyć ku Alemu.

– Możecie mi wytłumaczyć, co tu, na młot Magniego, się stało?!

– Uspokój się, Vaeringu. Z naszej trójki to nie ty jesteś szalony.

Dowódca ryknął z wściekłości, podając w wątpliwość to przypuszczenie.

– Korowi mężowie w lesie mieszkają i ucięte kończyny miewają – próbował wyjaśnić hamramir, oblizujący szpony po walce.

– Haukrhedin miał rację – uzupełnił Blamad. – Ci ludzie nie są smerdami. Od razu powinienem to zauważyć. Jeden z nich nie miał przecież oka, a drugi dziwnie kulał, jakby brakowało mu stopy w pustym bucie i starał się ukryć kalectwo.

– I co z tego? Twój przyjaciel też nie ma oka. Powinienem go zabić?

Jastrzębioskóry zajazgotał wrogo i pokazał styrirowi zakrwawiony język.

– Ale on nosi rany bitewne. Smerdowie raczej takich nie miewają. Ostatecznie zdradziły ich trupy na wozie. Niemal wszystkie ich stopy były okaleczone, ale nie nosiły świeżych śladów zadawania mąk. A przecież te ciała miały należeć do dopiero co torturowanych gospodarzy. Jeden bezoki smerd nie budzi wątpliwości, ale tylu okaleczonych można spotkać jedynie w szeregach...

– ...banitów – dokończył rudobrody. – To korowi mężowie. Ale hamramir wspominał, że cztery stopy nie pasują do reszty...

– Dojdziemy i do tego.

Ali podszedł do wozu i jednym szarpnięciem zerwał całą płachtę.

Na deskach leżało sześć ciał, ale tylko cztery trupy. Te ostatnie miały rany cięte, klute i rąbane, bez wątpienia zadane w walce, a nie na mękach. Truchła częściowo zakrywały dwóch żywych, którzy teraz zaczęli się wygrzebywać.

Najpierw ukazała się kobieta. Miała zakneblowane usta, związane ręce, podartą zieloną sukienkę i złote, zlepione od krwi włosy.

– Ingigerd! – krzyknęli równocześnie Blamad i Vaering, ale dalej stali w miejscu.

Żona Tirusa leżała bowiem na drugim żywym, który trzymał nóż na jej gardle.

– Cofnijcie się albo wasz kagan zostanie wdowcem.

Uśluchali. Czarny Berserk, czując budzącego się Wertragnę, zrobił trzy kroki do tyłu, podobnie jak styrir. Haukrhedin nie zwracał na nikogo uwagi. Chwycił jedną z kur, urwał jej głowę i napił się świeżej krwi z jej szyi. Następnie zaczął ją skubać, jakby szykował się do jedzenia.

Żywi usiedli, a następnie zeszli z wozu. Mężczyzna ani na chwilę nie oderwał żelaza od białej szyi zakładniczki.

Skogarmad był niski, nie miał zarostu ani nosa. Gridin rozpoznał przywódcę korowych mężów.

– Znów się spotykamy, Yngvarze.

– Zaiste. Ostrzegałem, że nie będzie między nami przyjaźni, gdy znów na mnie wpadniesz.

– Puść dziewczynę, a umrzesz szybko.

Wszyscy się uśmiechnęli. Każdy wiedział, że słowa tu nie pomogą.

– To podobne do człowieka lasu. Najpierw chowa się na wozie, przysłuchując się śmierci towarzyszy, a potem zasłania się dziewczyną, jakby była drzewem.

– Niezła próba. Ale nie tacy jak ty chcieli mnie zdenerwować. Jestem tutaj zbyt znany, by smerdowskie portki ukryły moją tożsamość. Brak nosa rzuca się w oczy, dlatego na obstawę wybraliśmy tych braci, których kalectwo można jakoś ukryć. A za dziewczyną się nie chowam. Sprawdzam tylko, czy rzeczywiście jest tak krągła z tyłu, jak wszyscy mówią.

Łańcuchy żelaznego odyńca rozgrzały się do czerwoności. Berserk ścisnął rękojeść Ludożercy, aż skóra, która ją owijała, zaczęła pękać.

Beznosy uśmiechnął się, widząc te oznaki złości, i oznajmił:

– Teraz spokojnie odejdziemy, a wy nie wykonacie żadnego gwałtownego ruchu.

– Nie zdołasz przebyć kolejnych bram gardu. Ktoś strzeli ci w plecy.

– I nie będzie się bał, że grot przebije moje ciało i zrani żonę Tirusa? Nie sądzę.

– Po co to robisz? – Drużynnik przypomniał sobie o nienawiści, jaką ludzie lasu żywili do kagana. – Dla zemsty?

– Nie mszczę się na kobietach. Na nich zarabiam. Tatuś będzie wdzięczny, gdy oddam mu córkę. Twój przyjaciel Skald dobrze to rozumie. Ty też podobno nie jesteś głupi. Porzuć służbę u Tirusa i chodź ze mną.

Zatem to sprawka Ainara! – wykrzyczał w myślach Blamad. Kto inny mógłby wymyśleć tak bezczelny i zdradziecki plan? Ali miał już kolejny powód, by wetknąć miecz w wiarołomne usta poety. Kowal słów przedstawiał sobą wszystko, czym berserk gardził. Blamad miłował prawdę kryjącą się w słowach, a tamten przekuwał ją na kowadle swojego języka w kłamstwa.

– Jestem wierny temu, komu dałem słowo.

– Jak sobie chcesz.

Yngvar zaczął się cofać, trzymając związaną dziewczynę przed sobą. Czarny wojownik nie mógł nic zrobić. Tylko prawdziwy szaleniec zaryzykowałby walkę, z której żona konunga nie mogła wyjść bez szwanku.

I wtedy gridina naszło złe przecucie. Odwrócił się w kierunku Haukrhedina, ale było już za późno. Hamramir wypuścił z rąk na wpół zjedzoną kurę i niedbale rzucił szponem, jakby w ogóle nie celował. Saks przeleciał między Alim a Tharbrandem, przeciął policzek Ingigerdy i wbił się w szyję skogarmada.

Yngvar padł martwy, pociągając za sobą córkę Kola. Nóż człowieka lasu zostawił na jej gardle czerwoną szramę, nim wyleciał z bezwładnych palców banity. Piszcząca dziewczyna zdołała się uwolnić z objęć trupa i wstała z ziemi.

Drużynnik doskoczył do niej w trzech susach. W samą porę, bo Złotowłosa zasłabła na widok krwi kapiącej jej z twarzy i padła mu w ramiona. Nie straciła jednak przytomności.

Berserk przeciął jej więzy i wyjął knebel.

– Mój ty bogatyrze – powiedziała i rozchyliła usta do pocałunku.

Blamad poznał już jej gierki, kobieta nie ustępowała w sztuce kłamstwa



Ainarowi, mimo to ją pocałował, nie zważając, że z kremla nadbiegają już gridini Tirusa, zaniepokojeni odgłosami walki.

## 36

Bramy Dyragardu zastali zamknięte. Nie zdziwiło ich to, więc przystąpili do oblężenia.

Koczownicy pierwsi urządzili własny obóz. Wystarczyło, by ściągnęli jurty z wozów i ustawili je na ziemi. W ciągu jednego dnia powstał kureń otaczający cały gród.

Rozbijanie namiotów kagana, gridinów i vaerińskich najemników trwało trochę dłużej. Do późnej nocy słychać było odgłosy wbijania palików i towarzyszących temu przekleństw zmęczonych ludzi, ale kiedy uporano się ze wszystkimi linami, słupkami i podpórkami, gród został otoczony drugim pierścieniem namiotów, ustawionym między kręgiem jurt a przedpołem umocnień miasta.

Potem najeźdźcy przystąpili do umacniania obozu. Nieocenione w tym względzie okazały się wozy koczowników. Zrobiono z nich prawdziwy wał, broniący przed niespodziewanym wypadem z Dyragardu. Powiązano je linami, a w szparach między pojazdami powtykano w ziemię zaostrzone żerdzie.

Ainar przyglądał się tej pracy, siedząc oparty o drzewo i rzeźbiąc. Jak na węgłozercę przystało, nie plamił rąk pracą. Grożono mu, że jeśli nie pomoże, będzie spał pod gołym niebem, ale mógł zapłacić taką cenę. W końcu trwało lato.

Nie nosił już maski, wyrzucił ją zaraz po bitwie, uznając, że i tak wszyscy wiedzą, kim jest. Pozostali skogarmadowie utrzymywali jednak pozory, a może po prostu polubili korę na twarzy, która dawała im przywilej nierozpoznawalności oraz wzmacniała poczucie braterstwa.

Nie spieszono się ze szturmem. Pierwszą krew przelano nie na wałach,

ale w przystani leżącej milę od grodu. Ludzie Kola nie zastali tam wielu obrońców, bo większość wsiadła na łodzie i odpłynęła. Po bitwie na rzece Itil pozostawał we władaniu Odainsakczyków, którzy nie raz napadali na wrogą armię, gdy ta nocowała w pobliżu wody. Nawet teraz, gdy pierścień oblężenia został zamknięty, zachodziła obawa, że dojdzie do ataków od strony rzeki. Nie mogły wprowadzić wyrządzić Glaesirczykom większych szkód, ale zmuszały kagana, by stale trzymał w obwodzie część wojsk, nie mogąc rzucić całości na wały Dyragardu.

Jazda Gardarikan nie została rozbita, ale koczownicy ścigali ją do samego grodu i mocno poszarпали. Tattarzy zapewniali swego pana, że wszyscy ocaleli jeźdźcy schowali się za umocnieniami, więc cała okolica znalazła się na łasce konio-ludzi. A ci, jak wiadomo, łaski nigdy nie okazywali. Gospodarstwa płonęły, a nieliczni mieszkańcy, którzy woleli schować się w lesie zamiast w grodzie, byli gwałceni, łupieni i zabijani – niekoniecznie w tej kolejności. Kilka zamieszkanym przez bitnych ludzi osad broniło się też w stepie, korzystając ze zmijowych wałów<sup>[11]</sup>, ale i z nimi szybko sobie poradono. Zdobyte tam łupy okazały się jednak marne, gdyż smerdowie zarzekali się, że wszystkie zapasy wzięli już od nich obrońcy Dyragardu, a resztę zniszczyły potwory w ludzkiej skórze. To ostatnie było zresztą prawdą.

Hamramirzy po nieudanym pościgu za Skaldem zostali w okolicach Dyragardu i zabijali smerdów. Dzięki ich działaniom obrońcy grodu zdołali zebrać dużo mniejsze zapasy żywności, niż się spodziewali. I właśnie za to wdzięczny był odrmadom sam Kol Mały, który obiecał bractwu szaleńców dziesiątą część łupów z całego grodu. Za taką sumę można było nająć armię i zostać konungiem.

Bestialscy wojownicy byli kolejnym zmartwieniem Ainara. „Wrócimy po ciebie, jeśli kłamiesz” – powiedział mu Gaupahedin, gdy poeta pozostawał więźniem łowców niewolników. A Skald niezupełnie powiedział mu prawdę. Jego szczęście, że szaleni ofiarnicy Göllnira nie mieli pojęcia, co dzieje się w armii ich pana, bo już by po niego przyszli. Trzymali się jednak na uboczu, w swoim leśnym obozowisku, więc było

całkiem możliwe, że wieść o zaciągnięciu się pieśniarza do wojsk Kola jeszcze do nich nie dotarła. Nie mogło to jednak trwać wiecznie. W końcu o jego śmiałych wyczynach opowiadał już chyba każdy wyrostek w armii.

Östmad nie był ostatnio ulubieńcem norn. Pijane prządkie nieustannie naciągały nić jego życia, sprawdzając jej wytrzymałość. Rankiem, gdy obóz został już rozstawiony, wezwano go do namiotu kagana.

Mały wielki człowiek przywitał go po przyjacielsku. Wręczył róg piwa i wypytał, jak idzie układanie pieśni o minionej bitwie. Potem przeprowadził gościa przez obóz, kazał wejść ze sobą na wóz – jeden z tworzących wał obronny obozu – i zapytał:

– Co tam widzisz?

– Wał zwieńczony palisadą. Nic, z czym nie poradziłaby sobie twoja armia – odpowiedział Ainar, choć przeczuwał, że nie o to jest pytany.

– A na palisadzie co widzisz?

– Jacyś skazańcy zostali nabici na pale.

– A przyjrzałeś się im uważnie? Poznajesz któregoś?

– Nie. Widzę ich pierwszy raz w życiu – skłamał poeta, próbując dać sobie czas na wymyślenie kolejnej pieśniarskiej prawdy.

– Czyżbyś wzrok miał znacznie gorszy od słuchu?

– Nie, nie narzekam.

– To musisz wiedzieć, że jeden z nich nie ma nosa, a innym brakuje stóp lub dłoni.

– A tak. Teraz to widzę.

– I dalej nic ci to nie mówi?

– Nic a nic.

– Nie drażnij mnie, Skaldzie! – Konung w końcu przestał tłumić wściekłość. – Przecież to Yngvar i jego skogarmadowie. Ci sami, którzy według twoich obietnic mieli dostarczyć mi córkę.

Nie było co do tego wątpliwości, ale kowal słów szedł w zaparte.

– Nie możemy być tego pewni. W dzisiejszych czasach łatwo jest stracić

kawałek siebie. To może być każdy.

– Każdy – zgodził się Mödul, który niewiadomo kiedy wdrapał się na wóz. – Nawet Ainara Skalda może to spotkać.

– Prawda to. Moje szczęście, że wybrałem służbę u wspaniałomyślnego i szczodrego kagana, a nie u mściwego i małostkowego karzełka, który pod wielkim imieniem ukrywa małe przyrodzenie. Zresztą w naszym obozie nie ma palisady.

Czarownik zaśmiał się, ale jako jedyny wydawał się rozbawiony. Musiał zdawać sobie sprawę z dwuznaczności słów Östmada, które można było też odnieść do Tirusa.

– Nie smaruj mi tyłka wielorybim tłuszczem! – krzyknął władca.

– O takie rzeczy trzeba prosić twoich bjarmalandzkich seidrmadów. – Jak zwykle język Ainara posłuchał krzyku Göllnira, zamiast podszeptów rozumu.

– Pogarszasz swoje położenie! Zapewniam, że i w naszym obozie znajdzie się zaostrzony pal, który wejdzie w ciebie bez słoninki.

Skald już miał zapytać, czy kagan aby nie zdradza im swojego ostatniego snu, ale karzeł kopnął go w kostkę, prawdopodobnie ratując mu tym życie. Pieśniarz najpierw skupił się na bólu, a potem powiedział:

– Niepotrzebnie zbaczamy z tematu. Ciała na palach rzeczywiście mogą należeć do Yngvara i skogarmadów, ale to nie znaczy, że ich misja się nie powiodła. A co, jeśli porwali twoją córkę, ale część z nich została złapana? Przecież wysłaliśmy tam więcej ludzi niż ta szóstka. Niewykluczone, że Tirus mści się na tych nieszczęśnikach za sukces pozostałych korowych mężów.

Kol zastanawiał się chwilę, ale był daleko od swojego boskiego drzewa, więc nie miał jak zaczerpnąć ze źródła mądrości płynącego pod jego korzeniami. Zapytał więc tylko:

– Skoro tak, to gdzie jest Ingigerd?

Nie po to poeta przeciągał rozmowę, by nie mieć wymyślonej odpowiedzi na tak proste pytanie.

– Wspólnie z Yngvarem ustaliliśmy, że jeśli nie uda im się bezpiecznie wyprowadzić dziewczyny z grodu, mają ukryć się z nią w obrębie wałów i czekać na upadek twierdzy. Nasza armia przysłała za szybko i bramy Dyragardu zostały zamknięte. Teraz nawet mysz się stamtąd nie wymknie.

– Na wszystko znajdziesz odpowiedź...

Ainar nie raz chełpił się tą oczywistą prawdą.

– ...tylko że jakoś nie wierzę twoim słowom. I chyba cię jednak zabiję.

– Ale nie pozostaje nam nic innego, jak mu zaufać – wtrącił Mödul. – Dopóki istnieje choć cień szansy, że udało się wyrwać Ingigerdę z rąk Tirusa, musimy być dobrej myśli. No i nie warto tracić dobrego drenga przed walką. Przecież i tak zginie podczas pierwszego szturmu.

Pan Drzewnego Grodu od razu się rozweselił.

– Rozkazałem włączyć cię do grona niosących drabiny, Skaldzie, więc pierwszy wespniez się na wały. Tacy bogatyrzy szybko zyskują sławę, ale nie żyją wystarczająco długo, by się nią nacieszyć. A gdybyś przeżył, proś swoją hamingję, by przyprowadziła mi córkę.

Na pożegnanie klepnął Östmada w plecy tak mocno, że ten prawie spadł z wozu.

Kol Mały zeskoczył na ziemię, ale Mödulowi się z tym nie spieszyło. Trudno się było wszakże temu dziwić, patrząc na jego krótkie i powykrzywiane kulasy.

Ainar jeszcze raz zapatrzył się na skazańców z palami w tyłkach, próbując wmówić swoim oczom, że to może jednak nie Yngvar i korowi mężowie. Nie udało się.

Czarownik nadal stał obok i wcale nie sposobił się do zejścia.

– Czekala dziewczica na męża, aż starą babą została – burknął do niego pieśniarz.

– Co?

– Jeśli czekasz na pomoc, to się tu zestarzejesz.

– Pomoc? A, z zejściem. Nie doceniasz mojej zwinności. Różnie w życiu na chleb zarabiałem, nie zawsze dobrymi radami. Patrz.

Zausznik władcy, który cały czas trzymał w rękach swoją leszczynową różdżkę, zastukał nią trzy razy w deski powozu, zrobił trzy kroki do tyłu, rozpędził się i skoczył, wybijając się na lasce. Zrobił przewrót w powietrzu i wylądował lekko na ziemi, utrzymując równowagę drągiem. Potem obrócił się do kowala słów, lekko skłonił i uniesioną lewą dłonią zachęcił nieobecny tłum gapiów do oklasków.

– Marne sztuczki. Każdy wyrostek tak potrafi.

Ainar był prawie pewny, że sam również by temu podołał, ale że zawody z karłem nie zwiększyłyby tiru żadnego drenga, po prostu zeskoczył z wozu.

– Podobasz mi się, Skaldzie. Dlatego poświęcę ci trochę czasu. Chodź. Dopilnujemy budowy machin obłączniczych.

Poeta nie ruszył się na krok. Zamiast tego ostrożnie sięgnął po nożyk do rzeźbienia i korzystając z tego, że czarownik obrócił się do niego plecami, schował broń w rękawie. W końcu nadszedł czas upragnionej rozmowy z Mødulem, ale pieśniarz zamierzał przeprowadzić ją na własnych warunkach. Z dala od ludzi.

– Co tak stoisz? Gniewasz się na mnie? Czy nie wiesz, że dwa razy uratowałem ci życie? Gdyby nie ja, nie powiodłaby się twoja przebieranka z korowymi mężami, a gdyby nie moje dzisiejsze kopnięcie, twój język wezwałby pał do twojego tyłka.

– To prawda. I dlatego ci nie ufam.

– Osobliwy sposób okazywania wdzięczności.

– Dzięki niemu jeszcze żyję. Ludzie nie pomagają innym, jeśli nie mają w tym korzyści. A ja nie wiem, co zyskałeś na moim życiu.

– Może po prostu cię lubię.

– Lubi to się dziewczyny. Potem kradnie im się miód spod spódnicy i idzie do następnej. We mnie nie ma nic, co mógłbyś polubić.

Karzeł zachichotał, po czym rzucił:

– Pragniesz wszystko wiedzieć, ale nie chcesz ze mną rozmawiać.

– Oj, bardzo chcę pomówić. Skaldowie lubią słowa. W zasadzie szukałem cię od dawna, ale zawsze mnie unikałeś.

– No wiesz, obowiązki głównego doradcy i pierwszego czarodzieja. Nie mam wiele czasu na błahe pogawędki. Tym bardziej nie marnuj szansy na rozmowę, kiedy ci ją daję.

– A może pójdziemy w bardziej ustronne miejsce? Gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał?

– Takimi odzywkami możesz raczyć dziewczki. Nic się nie bój. Ze mną wszędzie możesz rozmawiać swobodnie. Chodź, a uratuję twoją głowę po raz kolejny i zdradzę ci, jak nie paść podczas szturm.

Nie był to zły powód do spaceru, a poetę i tak kusiło, by zobaczyć słynne maszyny oblężnicze ze Wschodu. Zastanawiał się, czy od razu zapytać o kłopoty ze wzrokiem, ale porzucił ten pomysł. Wokół kręciło się za dużo ludzi, którzy mogliby usłyszeć o jego słabości, a przecież zależało mu, by nikt się nie dowiedział, że po zachodzie słońca można go łatwo podejść. Skinął więc głową na zgodę, mając nadzieję, że gdzieś po drodze natrafią na pusty namiot, do którego będzie mógł wciągnąć Mōdula.

Przeszli obok namiotów gridinów i wkroczyli do kurenia. Obóz koczowników śmierdział jak zawsze i panował w nim ten sam nieład co zwykle. Przygotowywano się do walki, więc czerpiąc z najlepszych wojowniczych tradycji, konio-ludzie obficie pili kumys, a ich żony robiły strzały i naprawiały pancerze.

Syn kamieni<sup>[12]</sup> zaprowadził pieśniarza na plac budowy, położony kilkaset kroków od ostatnich jurt, w pobliżu niewielkiego lasu. Było to jedyne skupisko drzew w otoczeniu grodu, bo nikt nie jest tak głupi, by pozwalać rosnąć puszczy w pobliżu wałów obronnych.

– Pierwsze harpagony już gotowe – odezwał się w końcu zauszniak kagana, pokazując je palcem.

Wszystkie trzy maszyny były tak olbrzymie, że nawet gdyby trzech mężczyzn stanęło jeden drugiemu na ramionach, nie dosięgliby ich najwyższego punktu. Wyglądały jak dachy na czterech kołach, żerdzie spadzistej konstrukcji pokryte były bowiem deszczułkami, które tworzyły świetną ochronę dla wojowników mających pchać maszynę podczas szturm. Najważniejszą część każdej maszyny stanowił hak o podwójnym



żelaznym zębem, osadzony na długim pniu w połowie schowanym pod dachem i będącym częścią wymyślnego rusztowania, które przypominało konstrukcję żurawia.

– Raczej mi się nie przydadzą w zachowaniu głowy na karku.

– A tak, twoje cenne życie. Chcesz, żebym po raz kolejny cię uratował.

– Tylko ten trzeci i ostatni raz. – Skald nawet nie starał się ukryć szyderczego tonu.

– Och, trzeci raz już był.

Brwi Ainara zatańczyły.

– Niby kiedy?

– Ty, pieśniarzu, wiele osiągasz dzięki językowi, ja mogę zrobić jeszcze więcej, milcząc. Na przykład moi bjarmalandzcy seidrmadowie dostrzegli dzięki swej mocy, że Ingigerd jest cała i zdrowa, a nawet znalazła pocieszenie w objęciach twojego czarnego przyjaciela. Mógłbym łatwo ujawnić twoje kłamstwo i sprawić, by Hangagud wpadł do ciebie na pogawędkę<sup>[13]</sup>, ale zamiast tego przekonałem Kola, że moc moich śniących czarowników jest tutaj za słaba, by mogli podczas sennych zwiadów znaleźć konkretną osobę, bo jesteśmy zbyt daleko od drzewa Laerad.

Już dwa razy to było dużo, a trzy – stanowczo za wiele. Hag nienawidził być czyims dłużnikiem.

– Zawdzięczam ci coś jeszcze? Może przy kaganie mój tyłek zabawił się w Karego, władcę wiatrów, a ty wzięłaś na siebie odpowiedzialność za smród?

– Matka cię nie uczyła, że za dar życia należy okazywać wdzięczność?

– Uczyła. Gdyby nie jej dobroć, nie byłoby mnie na świecie. Kiedyś mojemu ojcu, który uratował jej życie, okazała wdzięczność, za co ten ją zgwałcił i pobił. A co gorsza, jeszcze potem poślubił.

– Szczęśliwa rodzinka. Ale o taką wdzięczność nie zabiegam. Sam zresztą mówiłeś, że nie masz między nogami nic, co mógłbym polubić. I odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie: tak, zawdzięczasz mi o wiele więcej. Ale o tym później. Patrz – karzeł wskazał na kolejną

drewnianą konstrukcję – to trabutium, ale my nazywamy go kobyłą, bo wali kamieniami jak szkapa kopytem.

Machina wydawała się prostsza od poprzedniej, a zasad jej działania domyśliłby się każdy głupek. Na szczycie rusztowania umieszczono długi pień, którego trzy ćwiartki wystawały z tyłu, a jedna z przodu maszyny. Krótszą część pnia obciążono workami z ziemią i gliną, a do dłuższej doczepiono skórzaną torbę do ciskania kamieni. Do przedniej strony trabutium przytwierdzono drewnianą ścianę pokrytą skórą, która miała zapewne łagodzić uderzenia obciążnika. Ostrzał z tego urządzenia musiał być prowadzony pod bardzo ostrym łukiem.

– Nie ma kół.

– Jaki spostrzegawczy. Rzeczywiście. Później przeniesie się kobyłę bliżej wałów Dyragardu i przytwierdzi do ziemi. Na kołach byłaby za mało stabilna.

Poeta przyglądał się nie tylko maszynom, ale i rzemieślnikom, którzy nie wyglądali na członków jednego ludu. Także po ubiorach trudno było orzec, z jakiego kraju pochodzą, bo większość pracowała bez koszul, a wszyscy nosili proste spodnie bez ozdób. Z pewnością jednak dostrzegł Gardarikan, których białe plecy odporne były na wszelkie działanie słońca, ciemnowłosych Tattarów i Serklandczyków o brązowej skórze. Ci ostatni pracowali przy maszynie podobnej do poprzedniej, ale sporo niższej i wyposażonej w koła. Jej zasadniczą część również stanowił masywny pień, ale do jego przedniego ramienia doczepiono ogromny kosz z kamieniami, który przy strzale uderzał w ziemię i wyrzucał do góry zawartość skórzanego nosidła wiszącego na dłuższym ramieniu.

– Mówiłem! Nie tak mocno z tym mandzanikiem! Drewno jest świeże, będziemy dokręcać maszynę, jak trochę podeschnie – rozkazująco powiedział czarownik.

Budowniczy pokornie spuścili wzrok i wybełkotali przeprosiny. Karzeł miał tutaj posłuch, jakby był olbrzymem.

Pieśniarz i jego przewodnik przeszli w milczeniu kolejne kilkadziesiąt kroków i natknęli się na onagery, jak nazywał je Mödul. Były olbrzymimi

łukami osadzonymi na rusztowaniach, równoległe do kołowych podwozi. Ich ramiona kierowały się ukośnie ku dołowi, a grube liny robiące za cięciwy zahaczone były o drewniane łyżki zakończone żelaznymi koszami. Ainar miał lotną wyobraźnię, więc szybko pojął zasadę ich działania – łyżkę naciągano w dół, łuk się napinał, a po zwolnieniu mechanizmu kosz wyrzucał wszelkie pociski, które miały uprzykrzyć obrońcom życie.

Minęli plac budowy i znaleźli się w lesie. Skald uśmiechnął się, ale tylko w swojej wyobraźni. Wyglądało na to, że w końcu znaleźli się sami. Z dala od wścibskich oczu i uszu. Rozważył, jakie miałyby widoki na ucieczkę z ogłuszonym karłem na plecach i doszedł do wniosku, że marne. Koczownicy i tak by ich doścignęli, a nie łudził się, że Kol pogodziłby się z brakiem towarzystwa ich obu.

– Wystarczy tego spaceru – powiedział Östmad i zatrzymał się, kiedy odeszli całkiem daleko od ostatniego rzemieślnika. – Teraz zadam ci kilka grzecznych pytań.

– Pytaj. Jestem urodzonym doradcą.

– Co zrobiłeś z moimi oczami?

– A coś im dolega?

– Nie udawaj. Wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania, rzuciłeś na mnie złe oko! – krzyknął kowal słów i wysunął ostrze z rękawa. Na razie jednak trzymał dłoń za plecami. Przy boku miał też miecz, ale z doświadczenia wiedział, że do szczerzej rozmowy lepiej nadaje się nóż.

– Nie bądź śmieszny. Moje oczy przykuwają uwagę, ale nie rzucają uroków. Te ludzie sami na siebie sprowadzają. Ale to już chyba wiesz, trupi pieśniarzu.

Poeta zmierzył karła wzrokiem. Mödul z pewnością wiedział więcej, niż chciał zdradzić. Ainar nikomu nie mówił o klątwie, jaką rzucił na niego draug, żywy trup. Sam w nią przecież nie wierzył.

– Coś taki zdziwiony? Nie wiesz, że jestem magiem? Potrafię wyczuć mrok, jeśli ten za kimś podąża. Ale z siłami, które sprowadziły na ciebie klątwę, nie mam nic wspólnego. Sam musisz uporać się ze swoim

kłopotem.

– Jakoś ci nie wierzę.

– A dlaczego? Ja nie chcę twojej krzywdy. Przecież kilkakrotnie ratowałem ci skórę. W tej sprawie nie mogę jednak pomóc.

– To się jeszcze okaże. – Skald ścisnął rękojeść noża. – Nie dam z siebie robić głupca. Przecież właśnie od czasu, gdy spotkałem ciebie, gorzej widzę w ciemnościach.

– Cóż. Kotem nie jesteś. Śpij po zmierzchu, a nie będzie problemu.

– Nie mogę, bo śnią mi się twoje szkaradne oczy.

– Ach, więc o to chodzi? No tak. Do tego się przyznaję. Potrafię uwodzić spojrzeniem i sprawiać, że ludzie chcą mnie ponownie spotkać. Wydałeś mi się ciekawy, więc puściłem ci oczko, byś mnie odwiedził. Podsunąłem ci też myśl, byś przyniósł mojej wychowanicy zapinkę. Ingigerd to jeszcze głupi dzieciak i lubi błyskotki. Masz ją ze sobą?

– Dałem ubogiemu.

– O? Tym mnie zaskoczyłeś. Wyglądasz mi raczej na złodzieja, a nie dobroczyńcę. Obaj się nie popisaliśmy. Ty zgubiłeś świecidełko, a ja wychowanicę. Dobrze więc. Jeśli tak męczy cię wspomnienie moich oczu, to... popatrz tu na wujka karła.

Składacz strof posłuchał, jak ostatni głupiec. I utonął w różnokolorowych oczach. Zielony i niebieski. Piwny i błękitny. Bursztynowy i morski. Odcienie mieszały się i falowały w oceanie barw, który zaślepił pieśniarza i zalał wewnątrz jego głowy. A potem wszystko zniknęło. Znów stał naprzeciw uśmiechniętego Mōdula, który bawił się siwym kucykiem na czubku swojej głowy.

Vaering chwilę stał oszołomiony. Potrząsnął głową, zacisnął powieki i znów je otworzył. Bardzo nie lubił, gdy się z nim tak zabawiano. Pokazał karłowi nóż i tym razem sam się uśmiechnął. Brzydko, jak zawsze.

– Wystarczy tych gierek.

– Tylko spokojnie. Chyba nie zaatakujesz małego, garbatego karła? Mam dla ciebie uczciwy układ, dzięki któremu wyrównamy rachunki. Zabij

Tirusa Wielkiego.

Oferta wydała się Ainarowi głupia. Przecież sam chciał zabić kagana, a mag musiał o tym wiedzieć.

- Załatwione. Kiedy nadarzy się okazja, z chęcią nabiję go na miecz.
- To za mało.
- To czego oczeku...

Nie zdążył dokończyć. Za jego plecami ktoś zeskoczył z drzewa. Obrócił się i zobaczył okrutny uśmiech Gaupahedina, odbijający się w ostrzach jego dwóch skrzyżowanych przy twarzy odrmada siekierkach.

Skald zareagował szybko. Pchnął nożem, celując w gardło zdradzieckiego czarownika.

Mödul był na to przygotowany. Rzucił pod nogi wojownika z Północy dwie kulki, które w zderzeniu z ziemią wybuchły kłębam dymu.

Poetę zapiekły oczy. Machnął nożem na oślepa, licząc, że atakujący hamramir nadzieje się na ostrze. Broń przecięła tylko powietrze, ale mimo to pieśniarz wciąż żył. Przełożył nóż do lewej ręki i wyjął miecz z pochwy. Wyskoczył z dymu i oparł się plecami o pień starego buka. Po chwili dostrzegł zażawionymi oczami zrodzonego z kamieni. Karzeł stał między drzewami, oparty o swoją różdżkę i przyglądał mu się z wesołą miną. Wyglądał najmniej groźnie z otaczających Östmada napastników, choć ten wiedział, że to tylko pozory.

Po prawej stronie Mödula stał bosy olbrzym w samych spodniach, na którego szyi wisiła łapa niedźwiedzia. W rękach trzymał maczugę zwieńczoną czaszką wielkiego misia. Berhedin – Vaering przypomniał sobie imię przywódcy hamramirów.

Trzej inni bestialscy drengowie również wyszli spomiędzy drzew i razem z Gaupahedinem okrążyli haga. Kowalowi słów przemknęło przez głowę, że powinien się domyślić, iż czarownik nie dałby się tak łatwo zaprowadzić na odludzie, gdyby sam tego nie chciał.

Jeden z hamramirów nie miał nosa, co przypomniało Östmadowi opowieść, jaka krążyła po obozie. Ludzie opowiadali sobie o Urrhedinie,

wojowniku z Turem w głowie, który ledwo uszedł z życiem w starciu ze zbuntowanym Haukrhedinem. Jastrzębioskóry podobno straszliwie go upokorzył – podźgał szponami, wyrwał mu kolczyk z nosa i zostawił w lesie na śmierć. Nie było wątpliwości, że przed poetą stał właśnie turzy szaleniec, gdyż trzymał w rękach swoje osławione kiścienie. Na Północy mawiają, że to sam Göllnir przysyła swoim wyznawcom kruki z magicznymi liśćmi w dziobach, a okład z tych ziół goi wszelkie zranienia. Pieśniarz nie wierzył w te opowieści, ale był gotów przyznać, że hamramirzy potrafią wylizać się ze wszystkiego niczym koty czy psy.

– Tyle kłamstw, by zaciągnąć mnie w pułapkę? Myślałem, że lepiej pożytkujesz swój giętki język.

– A ja myślałem, że słynny Ainar Skald lepiej włada mieczem. Tymczasem nie umie trafić bezbronno karła, bo oczy go szczypią.

– Pierdol kamień.

Czarownik zaśmiał się i wyglądało na to, że szczerze. Odrmadowie nie zdradzali żadnych uczuć, ale zachowywali się nad wyraz spokojnie. Bawili się bronią, lecz nie atakowali.

– Jeszcze nie chcę być ojcem. Ale wystarczy tych pieszczot. Niepotrzebnie się tak denerwujesz. Moja propozycja była szczerą i nadal zamierzam uratować twoją głowę przed ścięciem.

Biegły w strof składaniu wojownik ufał mu tak, jak mąż wierzy przyjacielowi leżącemu w łóżku żony. Ale gadanie jeszcze nigdy mu nie zaszkodziło, bo nawet pewną karmiącą matkę potrafił przekonać, by nadstawiła pierś jemu, a nie swojemu oseskowi.

– Zatem hamramirzy nie mają mi za złe tego małego nieporozumienia, które między nami zaszło?

– Nie są obrażalscy – zapewnił Mödul.

Poeta nie był tego taki pewien, ale żaden z szaleńców się nie odezwał.

– Dobrze wiedzieć, że uznają wyższość mojego rozumu. To nie wstyd zostać przechytrzoną przez Skalda.

Grzebanie językiem w zranionej dumie nigdy nie jest dobrym pomysłem,

ale pieśniarz wolał poznać nastawienie hamramirów teraz, niż później wyjmować nóż z własnych pleców.

Gaupahedin podrzucił wysoko jeden toporek, a Östmad, jakby był bitewną dziewczicą, podążył wzrokiem za bronią. Ryś wykorzystał jego nieuwagę i rzucił drugą siekierką. Vaering nie zdążył nawet drgnąć. Ostrze wbiło się w pień trzy stopy nad jego głową, a trzonek uderzył go w czoło.

Człowiek z Północy jęknął i mocniej ścisnął rękojeść miecza.

– Dosyć! – zagrział Berhedin, a jego głos rzeczywiście brzmiał jak ryk niedźwiedzia.

Gaupahedin złapał opadający topór i zaczepił go sobie przy pasku. Zamruczał niczym obrażony kot wygnany spod paleniska, ale cofnął się, spokojnie opuszczając głowę.

– Oszukałeś nas, Skaldzie, ale składamy ofiary podstępnemu Göllnirowi, a nie prawdomównemu Tyrowi – ciągnął przywódca hamramirów. – Nie nam wyrokować, które kłamstwa są miłe bogu, bo każde zawiera moc prowadzącą ludzi ku szaleństwu. Wrzask Bitewnego Krzyku mami wojowników zwycięstwem, kiedy sprowadza na nich śmierć. Mamy wspólny cel i ten jeden raz uznamy, że twoja zdrada była wynikiem szaleństwa zesłanego na nas wszystkich przez Göllnira. Przy następnej próbie oszustwa uznamy cię jednak za wroga, a wiedz, że żadni nasi wrogowie zbyt długo nie pozostają wśród żywych.

Po skończeniu przemowy chwycił niedźwiedzią łapę i zaczął się nią drapać po plecach, co zaburzyło podniosłość tego bełkotu. Ainar zrozumiał jednak najważniejsze – szaleńcy naprawdę chcieli się dogadać.

– Dobrze. Ale nadal nie rozumiem, na czym ma polegać nasza współpraca?

– To przecież bardzo proste! – huknął karzeł, który wyglądał na zawiedzionego pytaniem. – Poprowadzisz atak odrmadów.

Gdyby poeta pił teraz piwo, pewnie by się zakrztusił. Jednak zamiast trunku do gardła wlało się powietrze, zakaszłał więc, tłumiąc szaleńczy chichot.



– Ale w mojej głowie mieszka tylko człowiek o imieniu Ainar. Z wojownikami i ich bestialskimi duchami to razem jedenastu, zatem nasza wataha nie będzie pełna. Nawet jeśli ty pójdziesz z nami, wciąż będzie brakowało pół człowieka do tuzina!

– Nie drwij. Obiecałem uratować ci życie. Trzymaj się blisko hamramirów, a przeżyjesz szturm, jeśli zaś zgładzicie Tirusa i zadbacie o bezpieczeństwo Ingigerdy, zyskasz sobie wdzięczność naszego kagana i będziesz miał z tej wojny coś więcej niż kopiec usypany nad własnym ciałem. Pora, byś naprawdę wywiązał się ze słowa danego Kolowi i zadbał o jego córkę.

– Nie chcę umniejszać swojej niezrównanej biegłości w rąbaniu mieczem, ale odrzadzacie nie wyglądają na ludzi, którym potrzebna jest pomoc w zabijaniu.

– Och, z tym radzą sobie wyśmienicie. Ale pewnie znana ci jest ich słabość, którą sami uważają za zaletę. Jako że trzymają się z daleka od ludzi, nie widzieli Ingigerdy, odkąd była dzieckiem, a Tirusa w ogóle nie znają. Ty zaś znasz gród, wiesz, gdzie można znaleźć konunga i jego żonę, a co najważniejsze, wiesz, jak wyglądają...

– Nie zapamiętujemy twarzy samicy, choć czasem zaciągamy je do gawry – wtrącił nie wiadomo dlaczego Berhedin.

– ...będziesz więc ich oczami, a oni zajmą się mordowaniem. Nawet nie zdążysz się zmęczyć. Co ty na to?

Możliwość wyboru była ułudą. Norny już przy narodzeniu Skalda zaplanowały, jak powinien odpowiedzieć, a nawet gdyby po pijaku zapomniały wpleść tę nić do tkaniny jego życia, głowa Mimira podpowiedziałyby mu, że odmowa oznaczałaby śmierć. Pieśniarz był jednak pewien, że czeka go o wiele większy wysiłek, niż twierdził karzeł.

Machiny pracowały od trzech dni. Wałom dolnego gardu nie wyrządziły większej szkody, ale nie one były ich celem.

Ali obserwował lecącego konia, a raczej jego przednią połowę. Osobliwy pocisk przeleciał wysoko nad jego głową i uderzył w ścianę warsztatu rymarza. Wydłużony pysk o wyszczerzonych zębach i wyłupiastych oczach przebił deski i utkwiał sześć stóp nad ziemią. Bezwładne przednie kopyta uderzyły o ziemię i przez chwilę zwierzę klęczało niczym jednorożec przed dziewicą. Z przeciętego tułowia wypadły wnętrzności oraz kawałki zgniętego mięsa, uwalniając smród, który dało się wyczuć z odległości trzydziestu kroków. Koń nie wytrzymał długo w tej pozycji i zwałił się na ziemię, wabiąc wszystkie okoliczne muchy.

Następny pocisk był już bardziej odpowiedni dla honorowej sztuki niszczenia budynków. Głaz leciał jeszcze wyżej niż ogier i spadł na dach domu jakiegoś smerda. Deszczułki zapadły się do środka w chmurze kurzu i z odgłosem łamanych desek.

Nawet gdyby Czarny Berserk nie widział ustawionego sto pięćdziesiąt kroków przed wałem olbrzymiego drewnianego żurawia, po samym wysokim locie kamienia poznałby, że został wystrzelony z trabutium. Inne pociski leciały bardziej płaskim łukiem i z pewnością były miotane przez onagery i mandżaniki, ustawione dwieście kroków od grodu.

Wytatuowany wojownik znał się na sztuce oblężniczej, bo nim rozpoczął służbę u Tirusa, zwiedził wiele serklandzkich krajów i gościł w Grikklandzie. Wiedział, że maszyny dopiero się rozgrzewają i pracują na połowie swojej mocy. Dopiero później, kiedy drewno podeschnie, liny mocniej ścisną konstrukcję, a łączenia zostaną wzmocnione żelaznymi okuciami, zacznie się porządne strzelanie. Pociskami zaś coraz częściej będą nie tylko kamienie.

Już teraz zdarzało się, że zamiast głazów ciskano w nich beczkami, które po zetknięciu z drewnem wybuchają w snopie iskier, wzniecając niezwykle trudny do ugaszenia pożar. Obrońcy grodu mówili, że to czary, ale Blamad wiedział, że był to po prostu olej skalny.

Czarny gridin poznał magów ognia, gdy gościł w Chorezmie.

Zaobserwował, jak wydobywają wprost z trzewi ziemi czarną, kleistą maź. Swoją wiedzą nie chcieli się z nikim dzielić, ale usługi świadczyli każdemu, kto był skłonny zapłacić za nie górę złota. Chętnych nie brakowało. W Serklandach uważano ich za czcicieli ifritów lub wyznawców ognistego Atara, a także unikano ze względu na przeraźliwy smród, jaki im towarzyszył. Aby nie czuć przez całe życie owego przykrego zapachu, najznakomitsi magowie ucinali sobie nosy, a cała reszta ich bractwa zadowalała się zasłonami twarzy. Ali nie miał wątpliwości, że właśnie ich najął Kol, bo choć Baganakijczycy przyswoili sobie umiejętność miotania dzbanów z olejem, nie mogli się w niej mierzyć z magami z Indialandu. A ostrzał Dyragardu prowadzono po mistrzowsku.

Kolejny gliniany dzban poszybował nad wałem i trafił w warsztat garbarza. Na szczęście wetknięta w niego zapalona szmata zgasła w locie i czarna maź tylko obkleiła ścianę. Właściciel budynku przybiegł wraz z rodziną. Przytaszczyli wiadra z wodą i zaczęli myć ścianę. Wiedzieli, że nie był to koniec niebezpieczeństwa. Na przedpolu jeźdźcy At-Turk ustawiali się bowiem w strzeleckie kręgi i wypuszczali z łuków zapalone pociski, na oślep szukając czarnej mazi.

Jedna z takich strzał wbiła się w warsztat garbarza, rozpalając olej z gwałtownością węża Bidy pożerającego ciała kłamców. Płomienie polizały ścianę i błyskawicznie objęły cały dom. Budynek był nie do uratowania. Staruszka, która pomagała myć dom rzemieślnika, nie zdążyła uciec w porę i na jej pobrudzonych olejem dłoniach wyrosła kula ognia. Przestraszona szukała ocalenia w machaniu rękami, ale to tylko pogorszyło sprawę. Płomienie przeskoczyły na rękawy jej koszuli. Jakaś kobieta biła pięściami w pierś garbarza, zapewne swojego męża, błagając go, by pomógł staruszce. Ten wcale się nie spieszył, jakby leciwa niewiasta była jego teściową. W końcu się jednak zlitował – chwycił babinę od tyłu i wepchnął jej dłonie do wiadra z wodą. Stara nadal darła się straszliwie, gdyż jej dłonie wciąż płonęły. Uratowała ją dopiero żona właściciela domu, która podbiegła i wsypała do wiadra ziemię z dzbaną.

Takie wypadki zdarzały się rzadko i zdecydowana większość domów

w gardzie nadal pozostawała nietknięta. O wiele większe były jednak szkody wyrządzone duchowi bojowemu. Świadomość, że można spłonąć żywcem, sprawiała, iż obrońcy niechętnie wystawiali głowy nad palisadę i niespiesznie pomagali w gaszeniu pożarów.

– Za mało nam płacą – burknął Blamad stojący po prawej stronie Alego.

– Dałeś słowo wiernej służby, więc nie narzekaj – zganił go dowódca.

Zgodnie z prośbą berserka kagan przydzielił mu Blamadów i Serklandczyków. Tych pierwszych było tylko dwunastu, gdyż czarni najemnicy zawsze byli bardziej ozdobą armii Tirusa niż jej rzeczywistym wzmocnieniem. Pięciu z nich służyło pod wyznawcą Wertragny już wcześniej, a siedmiu pozostałych zakupiono niedawno w Bułgarze. Serklandczyków było znacznie więcej – dokładnie o czterdziestu ośmiu. Sześć dziesiątek wyznawców Muhammada uzbrojonych w półksiężycowate miecze stanowiło oddział solidny, choć niezwykle drogi w utrzymaniu. Przydzielono im służbę najzaszczytniejszą, gdyż polegającą na obronie najważniejszego odcinka wału podgrodzia – przylegającego do głównej bramy. Alemu brakowało tylko Haukrhedina przy boku, by czuć, że wszystko układa się po jego myśli. A tak miał nieodparte wrażenie, że hamramir wpadnie w kolejne kłopoty, które w jakimś stopniu dotkną i jego.

Po uratowaniu Ingigerdy czarny gridin był pewien, że Tirus spełni każde jego życzenie, gdyż tylko jemu i jastrzębiemu drengowi zawdzięczał uratowanie żony. Później okazało się, że również zabici przy bramie strażnicy byli skogarmadami, którym udało się w jakiś sposób wprowadzić swoich ludzi w szeregi vardkarłów. Dzięki temu wóz bez kłopotów wjechał na kreml, a ludzie lasu porwali Złotowłosą i zabili jej strażników. Potem zapakowali swoich poległych na wóz, wśród trupów umieszczając Ingigerdę. Plan był doskonały i pewnie by się powiódł, gdyby nie kury i jastrzęb. Konung zdawał się tego jednak nie dostrzegać i bardziej wściekał się z powodu porwania, niż radował z uratowania żony. Działanie skogarmadów uważał za porażkę wszystkich swoich ludzi i traktował ją jako osobistą zniewagę. A ponieważ prawdziwi winni zaniedbań, czyli strażnicy Złotowłosej, byli martwi, ptakiem ofiarnym został Haukrhedin.

Ali i Tharbrand zostali oszczędzeni tylko dlatego, że wrócili do Dyragardu jako zwycięzcy morskiej bitwy. Pewnie, że w takiej decyzji władcy nie było krzty sprawiedliwości, ale mały wielki człowiek nienawidził hamramira, nad którym nie umiał w żaden sposób zapanować. Odmówił mu więc wszelkich zaszczytów i nagród. Prośba Blamada, by odрмаd służył pod jego rozkazami w doborowym oddziale Serklandczyków, została odrzucana, a Jastrzębioskórego przydzielono do smerdowskiej piechoty.

Wydobywanie prawdy ze wspomnień przerwał byłemu wodzowi gridu kolejny gład. Uderzył w wał poniżej miejsca, w którym stali Blamadowie. Małe grudki ziemi wyleciały w powietrze, brudząc twarz Czarnego Berserka. Palisada niegroźnie zadrżała. Strzał był niecelny, ale zapoczątkował zmiany w taktyce oblegających. Nawet z daleka było widać, że przy machinach zwiększył się ruch, a ich obsługi przestawiają je do przodu lub obierają nowe cele. Ale nie to okazało się najważniejsze. Przed wozy wyszła piechota i zaczęła formować szyk bojowy. Przed południem trzeciego dnia oblężenia Odainsakczycy ruszyli do pierwszego natarcia.

– Trzymajcie szereg! – krzyknął Ali po serklandzku. Wiedział, że czarnoskórzy też go rozumieją, bo każdy z nich pochodził z innego regionu Blalandu, więc między sobą mogli się porozumiewać tylko za pomocą języka muhammadan.

Rozkaz nie był konieczny, bo jego oddział sprawował się nadzwyczaj karnie. Wyznawca Wertragny miał pewność, że nikt nawet nie pomyślał o ucieczce. Przemowa przed bitwą była jednak obowiązkiem każdego dowódcy.

– Nie bronicie własnego domu, ale jego mieszkańcy powierzyli wam nad nim pieczę. Daliście słowo i otrzymaliście zapłatę. Niech więc każda głowa, która wyłoni się z za tego ostrokołu, zostanie przez was zmiażdżona, a każda ręka i noga, która przekroczy tę drewnianą granicę, zostanie ucięta. Proście Allaha, by zlitował się nad poległymi kafirami, ale nie okazujcie litości. A jak mówi święte pismo muhammadan: „I zabijajcie ich, gdziekolwiek oni będą walczyć przeciw wam! Taka jest odpłata niewiernym!”<sup>[14]</sup>.

Odpowiedział mu zgodny okrzyk: *Allahu akbar!* Nikt nie zwrócił uwagi, że Alego też można było nazwać kafirem – niewiernym – bo przecież nie wyrzekł się ojczystych wierzeń i obrażał Allaha, pielęgnując w sobie gniew Wertragny. W tej chwili jednak podlegli mu wojownicy nie wątpili, że prawdziwymi niewiernymi są wrzeszczący zbrojni, którzy biegli w ich kierunku.

Natarcie piechoty osłaniali konni łucznicy. Koczownicy zmienili rodzaj strzał z zapalających na kłujące i nie celowali już w budynki, ale w obrońców. Ich małe oddziały krążyły w luźnym szyku, ale nie podjeżdżały do umocnień bliżej niż na sto kroków, na przedpolu czekało na nich bowiem sporo niespodzianek. Mieszkańcy Glaesiru byli wprawieni w sztuce obrony grodów przed ludźmi stepu.

Najbliżej wału znajdowała się fosa, do której miejscowi regularnie się wypróżniali, szydząc przy tym z oblegających. Za nią wykopano wilcze doły – dziury w ziemi, głębokie na dziesięć stóp, najeżone zaostrozonymi palikami, a przykryte gałęziami. Piechota omijała jamy bez problemu, ale dla konnicy podobny wyczyn okazał się prawdziwym wyzwaniem. Tak samo trudno było jeźdnym omijać kolejne przeszkody: porozrzucone poroża jeleni i saren, rogi bydła, zwierzęce kości – połamane, aby straszyły ostrymi końcami – a także kolczaste krzewy, które mogły porządnie poranić końskie pęciny. Dlatego przodem szła piechota.

Ali nic sobie nie robił ze strzał nieprzyjaciół, które ku niemu zmierzały. Nie miał tarczy, ale jej nie potrzebował, bo palisada dawała wystarczającą ochronę. O podobnej napastnicy mogli tylko pomarzyć, choć nie byli całkiem pozbawieni osłony.

Piesi nieśli przed sobą drewniane ściany. Jedną taszczyło dwóch zbrojnych, osłaniając siebie i łuczника. Co kilka kroków zatrzymywali się, a zza wielkiej tarczy wychylał się strzelec i szył w kierunku wału. Kiedy pierwsza linia atakujących dotarła na odległość pięćdziesięciu kroków, czyli do wilczych dołów, zbrojni zatrzymali się i utworzyli w miarę zwartą drewnianą ścianę. Poszczególne jej części musiały być wyposażone w podpórki, bo po chwili stały już samodzielnie, a niosący je wcześniej

wojownicy wzięli się do oczyszczania przedpola. Poroża i kości usypywali w stosy, tworząc między nimi drogi przejezdne dla konnych i machin. Kolejne szeregi również się zatrzymały, zachowując od siebie odstęp dwudziestu kroków. Piesi ustawili swoje ścianki i zajęli się uporządkowywaniem kolejnych, bardziej oddalonych od wałów połaci przedpola. Nie odpuszczono nawet krzewom, które gorliwie wycinano.

Choć Allahowi miła jest każda praca, akurat do tej obroncy Dyragardu nie mieli szacunku. Dlatego strzelali do czyścicieli z łuków i proc, zadając im dotkliwe straty. Ali i jego Serklandzycy nie mieli na wyposażeniu ręcznej broni miotającej, ale pozostawiono im do dyspozycji trzy rutty. Proste te maszyny składały się z pnia, w którym wydrążono cztery niewielkie otwory – jeden pod drugim – oraz z listwy przywiązanej na dole kilkoma zwojami mocnej liny. Dowódca najemników z Południa lubił strzelać z rutty i był w tym niezrównany, bo potrafił ją naciągnąć samodzielnie, podczas gdy inni musieli to robić we dwójkę.

– Ładuj! – krzyknął, po czym chwycił linę przyczepioną na górze listwy i szarpnął nią, aż drzewo zaskrzypiało.

Czarnoskóry ładowniczy berserka sięgnął do beczki z zapasem pocisków, wyjął cztery włócznie i wsadził końce ich drzewców do otworów w pniu. Wtedy Ali puścił linę. Listwa wyrzuciła oszczepy. Przy strzelaniu z rutty nie było mowy o celowaniu, a dwie włócznie natychmiast zaczęły koziółkować w powietrzu. Mimo to wszystkie pociski dokonały sporych zniszczeń. Jeden utkwiał w jednej ze ścianek i przewrócił ją na ziemię, co z kolei pociągnęło za sobą upadek kolejnej dużej tarczy. Dwie inne włócznie, te koziółkujące, poraniły trzech zbieraczy rogów, a ostatnia przebiła plecy wojownika, który schylał się po czaszkę krowy.

Zawody w strzelaniu trwały aż do południa. W końcu piechurzy zdołali oczyścić przedpole na tyle, by konni łucznicy zbliżyli się do wału i rozpoczęli skuteczniejszy ostrzał. Niebo zachmurzyło się od pocisków koczowników, a obrońcy grodu zatęsknili za dachem. Wtedy piechurzy znów podnieśli drewniane ścianki i ruszyli do przodu.

Na terenie usianym wilczymi dołami dużo trudniej przychodziło



utrzymanie równego szeregu, bo trzeba było omijać dziury. Kilku najeźdźców, których – jak przypuszczał Ali – prawdziwe Słowo, *So day*, nie nauczyło mądrości ani Allah nie pokazał im rozumnej drogi, wpadło do jam, a ich ciała zostały nadziane na pal. Większości udało się przedrzeć.

Zatrzymali się tuż przed fosą i tam postawili swoją połączoną z tarcz ścianę. Tym razem jej nosiciele wychylali nos zza osłony tylko po to, by się ostrzeliwać. I czekali na posiłki. Te nadeszły pod postacią drugiego szeregu, którego wojownicy uszczelnili osłonę swoimi deskami. Pozostałe linie atakujących zatrzymały się, a mężczyźni zaczęli porzucać swoje ścianki. Nie robili tego jednak w przypadkowych miejscach, ale tam gdzie ziemia usłana była dołami – i w ten sposób je zakrywali. Na przedpolu bardzo szybko pojawiła się sieć drewnianych dróg, prowadzących do niemal samej fosy.

Zbrojni, którzy pozbyli się swoich przerośniętych tarcz, rzucili się do ucieczki lub rozpaczliwie szukali nowej osłony. Część dobiegła do ustawionej przed głębokim rowem drewnianej zapory, inni schowali się za stertami rogów i krzewów, a najtchórzliwsi padli na ziemię, kryjąc się za zwłokami towarzyszy. Smerdowska piechota zrobiła to, co do niej należało, i ustąpiła miejsca lepszym od siebie.

W kierunku wału popędzili jeźdźcy, ale nie konni łucznicy, którzy z oddalenia nadal prowadzili ostrzał. Nadjeżdżający koczownicy nie mieli innej broni poza żelaznymi hakami na linach. Wywijali nimi, jakby chcieli złapać bydło na arkan, strasząc Dyragardczyków, że wkrótce stracą swoją cenną osłonę.

Pierwsze dwa haki, które uczepliły się palisady strzeżonej przez Serklandczyków, Ali odciął osobiście. Pozostali obrońcy mieli mniej szczęścia. Kilka żelaznych zębów wbiło się w pale, a ludzie stepu zawrócili, siłą koni szarpiąc za sznury. Czarny Berserk chwycił jedną z włóczni i bez mierzenia cisnął nią w kierunku Hunów. Grot trafił w zad konia, który ciągnął linę przywiązaną do tylnego łęku siodła. Padające zwierzę napięło sznur i jedna z belek została wyrwana. Słup wpadł do fosy razem z deszczem drzazg i chmurą kurzu.

Choć jeszcze w kilku miejscach palisada została naruszona, działania koczowników nie mogły trwale uszkodzić umocnień Dyragardu. Drewniane blanki były bowiem tylko zwieńczeniem wału, podczas gdy jego kamienny trzon w drewnianych izbicach tkwił pod ziemnym licem. Jeźdźcy też zdawali sobie z tego sprawę, ale jak psy nadgryzają zwierzynę dla myśliwego, tak i oni rwali ostrokół, przygotowując go na poważniejsze zniszczenia.

Tych z kolei miały dokonać maszyny, które zostały przyciągnięte pod wał – miotacze ognia skalnego, a przede wszystkim harpagony.

Najpierw zaatakowali magowie. Przybiegli, pchając przed sobą dwukołowe wozy z długimi dyszlami, które osadzili czterdzieści kroków od wału i unieruchomili za pomocą lin oraz palików. Na każdym z tych wozów znajdował się masywny słup, do którego przymocowano cieńszą belkę ze skórzanym nosidłem. Obsługa każdej maszyny składała się z dwóch osób – jeden mag naciągał liną drewniane ramię, a drugi ładował do nosidła dzbany z olejem. Do osłony mieli po kilku smerdów, którzy ustawiali przed nimi ścianki obite skórą.

Pierwsze pociski przeleciały nad wałem.

Magowie skorygowali ustawienie wozów i moc naciągania. Zaczęli trafiać tam, gdzie palisada była już nadszarpnięta.

Dziesięć kroków na prawo od Alego rozbił się jeden z garnków i ostrokół błyskawicznie stanął w ogniu. Podmuch gorąca dotarł aż do czarnego gridina. Obrońcy wiedzieli już, że na nic się zda gaszenie takiego pożaru wodą, więc przysypywali płomienie ziemią, którą wcześniej napełnili wiadra. Przynosiło to rezultaty, ale bardzo powoli. W tym czasie ogień zdążył strawić nie tylko część palisady, ale co gorsza spopielił drewniany chodnik dla strażników, a tam, gdzie haki koczowników wyrwały palisadę i uszkodziły ziemny wał, płonący olej przedostał się od góry, poprzez belkowaną konstrukcję, do wnętrza umocnień, gdzie spoczywały skrzynie wypełnione kamieniami. Drewniane izbice w mgnieniu oka zajmowały się ogniem, pękały od żaru i nie utrzymywały już skalnego rumoszu. W jednym miejscu zniszczenia okazały się tak duże,

że kamienie, pozbawione swojej klatki, runęły do przodu, do cna burząc ziemne lico umocnień. W wale pojawiła się wyrwa, przez którą mógł się przecisnąć człowiek.

Po chwili zrobiło się jeszcze gorzej, bo podciągnięto harpagony. Fosa zatrzymała te ciężkie maszyny, ale ich haki były dostatecznie długie, by sięgnąć wałów.

– Podpalaj! – krzyknął wytatuowany drużynnik.

Czarnoskóry pomocnik, który załadował rutę, przyłożył pochodnię do wysmarowanych zwierzęcym tłuszczem włócznie. Berserk puścił listwę i pociski pomknęły ku maszynom. Dwa wbiły się w drewnianą osłonę jednego z harpagonów – i to na tyle wysoko, że jego obsługa nie była w stanie ich strącić. Płomienie liznęły drewna i choć nie karmił ich olej skalny, szybko rozprzestrzeniły się po całej konstrukcji.

Blamadowie wznieśli dziki okrzyk, a Serklandczycy z zadowoleniem pokiwali głowami, gdy załoga porzuciła palącą się maszynę i zaczęła uciekać.

Odcinek wału Alego był więc na razie bezpieczny, ale w innych miejscach haki zrobiły duże spustoszenie. Długie ramiona zakończone dwoma żelaznymi zębami chwyciły za palisadę i rwały umocnienia niczym smerdowska gospodyni wrywająca chwasty. Wszystko to dzięki pięciu, sześciu, a czasem nawet siedmiu ludziom z obsługi, którzy ciągnęli za liny, poruszając ramieniem harpagona. Gdzie tylko sięgał wzrok dowódcy najemników z Południa, wszędzie w umocnieniach pojawiały się wyrwy, z których wylewały się potoki kamieni i osypywała ziemia. Najgorzej było tam, gdzie w pęknięcia trafiły maszyny miotające olej skalny lub magowie-procarze, którzy podbiegali do wału i ręcznie wystrzeliwali garnki z olejem. Gdzieniedzie zniszczenia okazały się tak duże, że obrońcy musieli porzucić stanowiska.

Nowe niebezpieczeństwo pojawiło się w postaci tarana – wielkiego pnia osadzonego na wozie, a raczej na samych kołach i rusztowaniu do bujania maszyną. Zagrożenie było tym większe, że o ile cały dolny gard otaczała fosa, do samej bramy miasta prowadziła równa droga z ubitej

ziemi. Uwaga obrońców głównego wejścia do grodu skupiła się więc na taranie. Rutta Czarnego Berserka nie była dobrze obrócona, by wziąć go na cel, ale załoga dwóch wież strzegących bramy miała własnych strzelców i maszyny miotające. Płonące włócznie i strzały wbiły się w taran, ten jednak oklejony był mokrymi skórami i nie chciał się palić. Jego załozde, którą stanowili rośli Vaeringowie, udało się dopchać go do bramy. I zaczęli pukać.

Pień miał kształt wielkiego członka z dokładnie zarysowaną główką. Rzemieślnik, który go wykonał, na swój sposób był mistrzem w obscenicznej sztuce rzeźbiarskiej. Taran stukał, a brama jęczała jak gwałcona niewolnica. Ali pogardliwie spoglądał na ludzi Północy, którzy nawet na wojnie nie potrafili opanować swojej chuci.

Miłosny akt grubej belki i wieżei grodu nie miał się zakończyć spełnieniem. Podglądacze zrzucili z wież ciężkie głazy, które połamały koła i rusztowanie tarana, tak że pień bezużytecznie opadł na ziemię niczym męskość pozbawiona klejnotów. Vaeringowie wycofali się za długą osłonę ustawioną za fosą przez smerdów.

Berserk rozejrzał się po umocnieniach dolnego gardu i stwierdził, że załoga Dyragardu wciąż ma przewagę. Wał był co prawda przerwany w kilku miejscach, ale wyrw z łatwością dało się bronić. W odwodzie zaś pozostawali najemni Vindmadowie z Gardariki, którzy mogli rozprawić się z każdym, komu udałoby się przedrzeć do podgrodzia. Natomiast przedpole miasta usłane było trupami ludzi i koni, utwierdzając obrońców w przekonaniu, że zadali Odainsakczykom wielkie straty.

\*\*\*

Zabijanie ciągnęło się już pół dnia. Nawet Ainara zaczynał nużyć widok ostrzeliwaniu wału. Kol Mały wstrzymywał jednak prawdziwy szturm aż do późnego popołudnia. Właściwie rozważniej byłoby go opóźnić jeszcze o kilka dni, pozwalając, by harpagony i maszyny miotające zrobiły jak najwięcej wyrw w umocnieniach. Na szczęście dla znudzonego poety kagan

nie należał do ludzi cierpliwych i oczekiwał, że jeszcze przed nocą dolny gród zostanie zdobyty.

Zniszczenie tarana było kroplą, która przelała róg cierpliwości władcy Treborga. Choć większość dowódców w takiej właśnie chwili przerwałaby natarcie, on kazał dać w rogi do ataku.

Mödul dotrzymał obietnicy – Skald miał ze sobą nie tylko skogarmadów, ale i hamramirów. Ci ostatni właśnie zaczęli przygotowywać się do walki. Podskakiwali, wrzeszczeli, szczyпали się, gryźli po rękach i zadawali sobie płytkie rany. Zrywali też z siebie ubrania, co nie było wielką stratą, bo i tak nosili łaachmany. Najdalej posunął się Svinhedin, najmniejszy, ale i najgrubszy ze zwierzęcych braci, który w uszach i sutkach miał kolczyki z szabel i kłów dzika – rozebrał się do naga. Östmad uznał, że jeśli w głowie szaleńca rzeczywiście mieszka duch dzika, musi się pożywiać mózgiem odrmada, zamiast żołądźkami. Bestialski dreng kwiczał niczym świnia, a do tego niecierpliwie uderzał piętami o ziemię, jakby miał racice. Myśl o walce musiała go też podniecać, bo nie tylko jego dwie włócznie były twarde i wymierzone w przeciwników.

Wszyscy, nawet inni hamramirzy, woleli odsunąć się od Svinhedina, a w całej armii nie znalazł się śmiałek, który odważyłby się biec przed nim w trakcie ataku.

Hag wraz z jednym ze skogarmadów trzymał drabinę, bo kagan też nie zapomniał o swojej obietnicy. Oddział szaleńców i korowych mężów zajął miejsce w szyku między najemnymi Vaeringami a młodszym gridem, z którymi to oddziałami miał stanowić trzon grupy atakującej. W odwodzie został starszy grid, wraz z kaganem, oraz jazda.

Najpierw szli powoli, a że znajdowali się jeszcze poza zasięgiem strzał, nie musieli się wysilać. W trucht przeszli dwieście kroków od wału. Ich szeregi trochę się rozluźniły, kiedy omijali sterty rogów i przeskakiwali nad trupami. Doleciały do nich pierwsze pociski, ale nawet jeśli trafiały, odbijały się od kolczug i kaftanów, a gridini i Vaeringowie nosili solidne zbroje. Nie nieśli drewnianych osłon, jak smerdowie, bo musieli targać broń, sznury i drabiny.

Pięćdziesiąt kroków od wału zaczęli biec. Obrońcy mieli teraz czas na oddanie dwóch, trzech salw, które dla atakujących zawsze okazywały się najgroźniejsze.

Pieśniarz odchylił się w prawo, słysząc koło ucha świst strzały. Coś szarpnęło go do tyłu. Obrócił się i spojrzał na skogarmada w korowej masce, pomagającego mu nieść drabinę. Banita miotał się na ziemi z sztywą przebitą na wylot. Skald chwycił za szczeble w połowie długości drabiny i pobiegł dalej. W ostatniej chwili zauważył nieosłonięty deskami wilczy dół i skoczył do boku. Potrącił jakiegoś leśnego człowieka, który wpadł do innej dziury i zginął jako ergi, z palem w tyłku.

Jedna ze strzał trafiła Svinhedina w prawy bok. Zaśmiał się tylko, zakwiczał, złamał promień pocisku tuż przy ranie i nawet nie zwolnił biegu.

Dobiegli do osłony ustawionej przez smerdów, ale się nie zatrzymali. Ścianki się rozstały, a nacierający pobiegli dalej, na sam skraj fosy.

Rów był już pełen trupów oraz ziemi i kamieni – pozostałości niszczycielskich działań koczowników i harpagonów. Niektórzy atakujący z rozpędu do niego wbiegli i żeby się wydostać, najpierw musieli broczyć w wodzie między ludzkimi i końskimi ciałami, a potem wspiąć się na błotnistą ścianę koryta. Sprytniejsi przerzucali przez fosę drabiny i po szczeblach przedostawali się na jej drugą stronę, pod sam wał. Ainar zrobił podobnie, bo stale nadużywał miodu Mimira i na co dzień był pijany mądrością.

\*\*\*

– Sakiewka dla tego, kto utnie kutasa temu szaleńcowi! – krzyknął dowódca ich odcinka wału, czyli pięćdziesięciu kroków drewnianego chodnika między dwiema wieżyczkami.

Taka zachęta była potrzebna, bo widok nagiego, pędzącego hamramira z nabrzmiałą męskością i dwoma włóczniami w rękach potrafił wzbudzić niepewność w najodważniejszym drengu. Haukr i Hedin postanowili przyjąć wyzwanie, ale nie dla monet. Obiecali przecież odebrać swoim

byłym braciom to, co mieli najcenniejszego, a Svinhedin właśnie swoją męskością chełpił się najbardziej, nawet przed innymi odrmadami. Nie raz obnażał się przed walką i nieważne, czy szli gwałcić, rabować czy zabijać, był twardy przez cały czas trwania szału przemienienia.

Jastrząb i Płaszcz siedzieli na dachu wieżyczki, co nie było zgodne z rozkazami tego rozwydrzonego smerda – ich dowódcy – ale nikt nie śmiał ich stamtąd wygonić. Nie czuli się jeszcze najlepiej, ale ich ludzkie ciało, wzmocnione przez wolę drapieźnika, zawsze szybko się goiło. Potarli dłonią pusty oczodół, który nadal bolał, i podrapali się po świeżej ranie na brzuchu. Mogli już swobodnie chodzić, ale o szybkim biegu i wdrapywaniu się na najwyższe drzewa musieli na razie zapomnieć.

Z góry mieli dobry widok. Wśród atakujących dostrzegli Ainara, co trochę ich zdziwiło. Zawsze mieli Skalda za wiernego ofiarnika Göllnira, ale nie sądzili, że jego szaleństwo jest wystarczająco wielkie, by iść do boju u boku hamramirów.

Atakujący przedarli się już przez fosę i teraz przytulali się plecami do wałów, mając nadzieję, że strzały i włócznie ich tam nie sięgną. Obrońcy trzymali jednak w zanadrzu inne niespodzianki.

Na wrogów spadły kamienie, belki, a nawet gliniane dzbany wypełnione nieczystościami. Zwalono też na nich kotły z gotującą się wodą. Nie potrafiło to jednak ich zatrzymać. Przyłożyli do umocnień drabiny ściągnięte znad fosy i zaczęli się wspinać. Dla niezgrabnych ludzkich członków nie było to łatwe zadanie, bo w połowie wysokości wału mieścił się rząd zaostzonych pali, skierowanych wprost na szturmujących.

\*\*\*

Ali dobył Ludożercy i ściął pierwszą głowę, jaka wyłoniła się zza palisady. Następnie kopnął w drabinę, a ta odchyliła się i runęła razem z dwoma Vaeringami. Wał nie był na tyle wysoki, by upadek z niego mógł zabić, ale z połamanymi kośćmi na pewno walczyło się gorzej.

Serklandczycy zabijali niemal w milczeniu. Blamadowie robili więcej

hałasu, bo podobnie jak ich dowódca wiedzieli, że dzięki czarnej skórze i dzikim okrzykom jawili się przeciwnikom jako demony z najstraszliwszych koszmarów.

Odcinek, którego bronił jego oddział, pozostawał niezagrożony, lecz Ali miał pewność, że atakowano tę część wału tylko dlatego, by odciągnąć część obrońców od wyrw, na których skupiło się główne uderzenie.

A tam sytuacja wyglądała nie za ciekawie. Szczelin w umocnieniach bronili Gardarikanie, którzy zsiadli z koni i ustawili najeżony włóczniami mur tarcz. Atakujących było jednak więcej i nie ustępowali najemnikom Tirusa walecznością ani uzbrojeniem.

Z kolei konni łucznicy nie pozwalali obrońcom za bardzo wychylać się zza palisad, a jeźdźcy z hakami nieprzerwanie starali się rozrywać ostrokoły na szczycie umocnień.

\*\*\*

Ainar przyłożył swoją drabinę do wału i zaczął po niej wchodzić. Fylgia nie była dziś chyba dla niego łaskawa, bo w odcinku wału, do którego dopadł jego oddział, nie ziała żadna wyrwa.

Skald uważał się za dobrego wspinacza, poza tym nie zwykł innym czegokolwiek zazdrościć, mimo to teraz ze złością spoglądał na Gaupahedina, który z łatwością piął się do góry – i to bez drabiny. Rysi hamramir wyskoczył niezwykle wysoko, chwycił jeden z wystających z wału zaostzonych palików, lekko podciągnął się na nim i od razu wybił się w powietrze, po czym wylądował na szczycie umocnień, tuż przed palisadą. Pokonanie drewnianych blanków było już dla niego dziecinnie proste.

Poeta stracił z oczu bestialskiego drenga. Z góry chlusnęła krew i zalała mu oczy. Przetarł je rękawem i wspinał się dalej, zastanawiając się, co zrobić, by nie stracić głowy. Mógł, wzorem hamramira, liczyć na swoją szybkość i zaskoczenie obrońców, ale to wydawało mu się zbyt szalone. Mógł też puścić kogoś przodem, by ten przyjął za niego pierwsze uderzenie,



ale nie był przecież tchórzem. Mógł też zdać się na swoją mądrą głowę.

Hełm pieśniarza wynurzył się nad blankami, a wtedy topór strażnika wałów przeciął go na pół. Cios ten byłby niezwykle bolesny dla Östnada, gdyby w szyszaku rzeczywiście znajdowała się jego głowa. Przyczajony nieco niżej Ainar błyskawicznie chwycił trzonek siekiery tuż przy żeleźcu i pociągnął. Właściciel broni stracił równowagę i wychylił się za blanki. Pieśniarz wbił mu sztych miecza w podbródek, po czym przytulił się do drabiny, by osuwające się zwłoki nie zaprosiły go do miłosnych zapasów na ziemi. Trup otarł się o jego plecy. Poeta nie czekał, aż topornik pocałuje trawę, tylko pokonał ostatnie szczeble. Przeskoczył palisadę, zajmując tak uprzejmie odstąpione mu miejsce. Kucnął, dzięki czemu miecz kolejnego przeciwnika odciął mu tylko kosmyk włosów z głowy. Sam rąbnął nisko, odcinając stopę niezręcznemu obrońcy gardu. Wstając, zepchnął rannego z palisady.

Dostrzegł opadający młot ciesielski. Uchylił głowę, a drewniany bijak uderzył go w ramię. Hag zasyczał z bólu i ciął na oślep mieczem. Żelazo zderzyło się z sierpem.

Kowal słów zorientował się, że walczy ze smerdem, który na wojnę wziął narzędzia swojej pracy. A ziemski gospodarz, nawet tak rosły, nie zna się na zabijaniu i tylko wykorzystuje surową siłę nabytą podczas pracy. Skald zmylił go pchnięciem, zakręcił mieczem i rąbnął przeciwnika w szyję, udowadniając, że byle smerd nie może się równać z zaprawionym w boju karmicielem kruków.

\*\*\*

Krew lała się już po wale, ale Haukr i Hedin nadal kucali na dachu wieżyczki. Obiecali sobie polowanie na Dzika i czekali, aż grubas wgramoli się po drabinie. Obserwowali. Skald nieźle walczył i choć nie szukali z nim zwady, byli skłonni go zabić, jeśli ten wmiesza się w sprawę między nimi a gołym odrmadem.

W końcu Svinhedin pojawił się na szczycie wału.

Jastrząb i Płaszcz zeskoczyli, lądując na blankach. Musieli podeprzeć się rękami, by nie spaść. Taka niezręczność byłaby dla nich nie do przełknięcia jeszcze kilka dni temu. Sięgnęli po szpony i zaczęli biec o wiele wolniej, niżby sobie życzyli, przeskakując po drewnianych zębach umocnień.

Zauważył ich pieśniarz, ale nie zrobił niczego wrogiego. Zdziwił się tylko i, jak miał w zwyczaju, porobił miny, wyginając brwi. Minęli poetę bez słowa.

Już prawie byli przy Dzikim Wieprzu, gdy drogę zagroził im Gaupahedin.

– Dokąd tak bieżysz, ptaszku ze skrzydełkiem złamanym?

Ryś zawsze lubił się z nimi przekomarzać. Uważał, że dorównuje im w zwinności. Jakby leniwy kot mógł kiedykolwiek dogonić jastrzębia.

– Do świnki pędzimy, ale i kotka możemy podrapać za uszkiem.

Gaupahedin uśmiechnął się, pokazując długie, zaostrome kły. Zaatakował bez ostrzeżenia. Siekierki, zwane przez niego pazurami, zawirowały w powietrzu. Jedna obrała sobie za cel głowę, druga udo.

Haukr i Hedin zrobili przewrót w tył i przeskoczyli na sąsiednią blankę. Potarli o siebie szpony, które wydały miły dla ucha metaliczny zgrzyt.

Ryś zamruczał z uznaniem i zrobił przewrót w przód, lądując na jednej nodze.

\*\*\*

Ainar zaklął, wypominając Göllnirowi, że miałby więcej ofiarników, gdyby zsyłał namiętność i szaleństwo na kochanki zamiast na hamramirów. Plan był prosty. Mieli przebić się przez obrońców podgrodzia, zniknąć między domami i przedostać się do górnego gardu, w pobliże siedziby Tirusa. Już i tak pokusa dokonania rzezi w dolnym grodzie była dla bestialskich wojowników wystarczająco kusząca, by zniweczyć cały zamysł, a teraz pojawił się jeszcze Haukrhedin. Pozostali odrmadowie zaczęli się przebijać ku jastrzębiowi i zanosilo się na to, że

nierozwiązane sprawy szaleńców wezmą górę nad ich zadaniem.

Skald zbił cięcie jakiegoś chudego rudzielca. Walczył lichym żelazem i mógł tylko żałować, że nie ma w rękach swojego Kvernbita. W końcu ostrze pękło i pieśniarz został z prawie bezużyteczną połówką broni. „Prawie”, choć jego przeciwnik pomyślał pewnie, że „całkiem”, sądząc po jego zadowolonej minie. Poeta rzucił resztkami broni w tę uśmiechniętą twarz. Rzut, choć celny, nie zabił. Oręż obrócił się rękojeścią do przodu i głowica trafiła wroga w skroń. Chudzielec zachwiał się, szukając oparcia na palisadzie. Hag wykorzystał to i kopnął go w kolano. Noga rudego wykrzywiła się nienaturalnie, a on sam przewrócił się na drewniany chodnik.

Östmad nie miał czasu dobijać rannych. Niezbyt wielu Odainsakczykom udało się wdrzeć na wał, więc jego obrońcy mieli zdecydowaną przewagę. Ainar rzucił się ku drewnianym schodom i zbiegł po nich, przeskakując po trzy stopnie naraz.

– Do mnie, hamramirzy! – krzyknął ile sił w płucach.

Nie spotkał się z żadnym odzewem poza takim, że dyragardczycy zwrócili na niego większą uwagę. Kilku zbrojnych z oddziałów odwodowych zaczęło biec w jego stronę. Skald poszukał wzrokiem jakiejś broni i podniósł z ziemi brodaty topór. Siekiera bojowa nie przyniosła szczęścia poprzedniemu właścicielowi, ale lepszy pechowy oręż niż żaden.

– *Víga Göllnir!!!* [\[15\]](#) – wrzasnął, wydobywając z siebie tyle pokładów szaleństwa, ile tylko znalazł. – Na krzyk Göllnira dopełnijcie swojej przysięgi!

Tym razem bestialscy drengowie posłuchali, choć nie wszyscy. Czterech z nich po zabiciu swoich przeciwników zaczęło przedzierać się w kierunku poety. Tylko Gaupahedin nadal wyglupiał się na palisadzie.

\*\*\*

Ali coraz mniej się męczył, bo przeciwników ubywało. Niewielu śmiazków wspinało się po drabinach na odcinek wału pilnowany przez

Serklandczyków. Czarny Berserk miał ochotę wziąć część swoich ludzi i pójść na odsiecz Gardarikanom broniącym wyrw w umocnieniach, nie chciał jednak złamać rozkazów Gleba Hakonowicza, dowódcy obrony podgrodzia, a poza tym najemnicy nieźle sobie radzili. Skutecznie bronili wyrw w umocnieniach, pomagali im strażnicy z wałów, którzy ostrzeliwali napastników tłoczących się w wąskich przejściach. Rzadko zdarzało się zdobyć gard przy pierwszym szturmie, teraz też nic nie wskazywało, że może być inaczej.

Wyznawca Wertragny przywołał w pamięci dziękczynną jasztę. Słowa modlitwy pomogły mu odegnąć aesmę, która pod wpływem walki zaczęła burzyć mu krew.

W opanowaniu szału przeszkodził mu ryk niedźwiedzi. Odwrócił się i ujrzał dwa wielkie miśki pędzące pomiędzy domów w stronę oddziału pilnującego bramy. W jednym z nich rozpoznał bestię oswojoną przez Wesołego Ilję, choć samego chłopca nigdzie nie dostrzegł. Uznał, że brązowe zwierzę musiało mu się wyrwać i uciekło, spłoszone odgłosami walki. Drugi miłośnik miodu był większy i cały biały. Podobne osobniki trzymał w klatkach Tirus, ale zdawało się nieprawdopodobne, by zwierzę przybiegło tutaj aż z siedziby kagana.

Bestie szalały. Wpadły między Gardarikan, kłapiąc paszczami. Najemnicy nie mieli włóczni, więc rozpierzchli się, osłaniając tarczami i mieczami. Dwóch nie zdążyło odskoczyć. Niedźwiedzie wgryzły się w ich brzuchy, miażdżąc zębami ciało i żelazne pierścienie kolczug.

Blamad sięgnął po ostatnią włócznię w beczce i cisnął nią w kierunku brązowego niedźwiedzia. Był pewny swojej ręki i oka, ale mimo to grot nie sięgnął celu. Przed towarzysza wyskoczył biały miś, który wziął uderzenie na siebie. Przez chwilę berserk miał wrażenie, że wróg pszczół umyślnie uratował swojego towarzysza, ale szybko się za to skarcił. Przecież to było tylko niemyślące stworzenie, jedno z tych, które autor przeczytanego przez Alego bestiariusza *Physiologus* uznał za podległe ludziom.

Biały niedźwiedź, którego włócznia trafiła w bok, zupełnie się tym nie przejął. Zaryczał tylko ponownie i odgryzł głowę najbliższemu stojącemu

Saglabowi.

Czarny gridin odruchowo sięgnął po kolejną włócznię, ale chwycił tylko powietrze. Rozejrzał się za czymś do rzucania, ale nic nie znalazł.

Tymczasem biały miś dokonywał dalszych spustoszeń. Kilku obrońców wału poszło w ślady Alego i wypuściło w kierunku zwierząt strzały i włocznie. W przypadku brązowej bestii odniosło to skutek – wyraźnie słabła od utraty krwi. Jej biały towarzysz walczył jednak z coraz większą zaciekłością, mimo iż sterczące z futra drzewce nadały mu wygląd gigantycznego jeża.

– Wy czterej za mną – rzucił do Blamadów po swojej lewicy Czarny Berserk i pobiegł ku schodom.

Nim zdążył pokonać dwa stopnie, aż przystanął z wrażenia. Obok niedźwiedzi pojawiło się czterech nagich mężczyzn z wyraźnie pobudzoną męskością. Rozpoznał ich, bo miał nieprzyjemność spotkać ich w Treborgu. Seidrmadowie, a raczej ich duchy. Tak przynajmniej przypuszczał, bo patrząc na nie, trudno było poznać, że nie są rzeczywiste. Ali słyszał kiedyś, że im duch jest bliżej własnego ciała, tym bardziej rzeczywisty wygląd może przybrać. Czyli Bjarmalandczycy drzemali w miłosnym uścisku w którymś z namiotów Odainsakczyków.

Duchy, jakby nie dość, że samą swoją nagością obrażały bogów i wywoływały obrzydzenie u każdego zdrowego mężczyzny, przystąpiły do dalszego pokazu plugastwa. Czarownicy rzucili się na obrońców gardu, ale zamiast zwyczajem wojownika zabijać nieprzyjaciół, zaczęli ich przytulać i całować. Wywołali tym nie lada popłoch.

Vindmadowie z Gardariki starali się bronić i siekli zjawy mieczami, ale ostrza odbijały się od widmowych ciał lub wbijały się tak płytko, że nie powodowały żadnego krwawienia. Widząc jałowość swoich działań, Saglabowie zaczęli uciekać, woląc bronić swej męskiej cnoty niż bram grodu. Trudno ich było za to potępiać.

Czarny gridin pospieszył na dół, przeczuwając, po co tak naprawdę zjawy się duchy.

Dwie zjawy oderwały się od zwyrodniałych zapasów i dopadły bramy.

Chwyciły za ciężkie bele blokujące odrzwia i odrzuciły je na bok. W końcu otworzyły główne wierzeje, zapraszając napastników do środka.

Obrońcy wciąż mieli jeszcze trochę czasu, by zdążyć zatrzaskać wrota. Berserk pobiegł w ich stronę, ale drogę zagroził mu jeden z duchów. Wytatuowany drużynnik wyszeptał słowa jaszy i ciął przeciwnika w ramię. Ostrze Ludożercy nie zabarwiło się na czerwono, ale widmo wyraźnie zbladło. Seidrmad próbował objąć Blamada, ale ten cofnął się, siekąc wroga, ile miał sił. Cały czas wzywał imiona Wertragny, Allaha i Bidy. Nie miał pojęcia, który z niebian odpowiedział na błagania, ale wszetecznik nikł w oczach, a kiedy już stał się mało wyraźny jak poranna mgła, wiatr rozwiął resztki jego postaci.

Ali przypomniał sobie o bramie i ruszył w jej kierunku. Tym razem drogę zagroził mu biały niedźwiedź. Zwierz nie chciał atakować, a jedynie groźnie prychnął. Na widok przecinającego powietrze Ludożercy ustąpił pola, ale nie uciekł, jakby dawał czas swojemu poranionemu towarzyszowi na wymknięcie się z podgrodzia. Dopiero kiedy brązowej bestii udało się czmychnąć, potruchtał jej śladem.

Gdy tylko biały zad zniknął za bramą, do środka wtargnęli pierwsi koczownicy. Nie napotkawszy oporu, wjechali między zabudowania, a w uchylonych wierzejach pojawili się kolejni jeźdźcy.

Duchy zniknęły, wypełniwszy swoje zadanie, zbrojni mogli więc znów pomyśleć o obronie grodu. Oddziały odwodowe rzuciły się w stronę najeźdźców, chcąc ich wypchnąć za bramę. Zbyt wielu konnych zdążyło jednak dostać się do środka i, co gorsza, większość z nich rozpierzchła się między domami. Spustoszenia, które czynili, nasunęły Alemu myśl, że nie są mniej dzicy niż lud Jaguga i Maguga z mroźnej Północy. Podkładali ogień, zabijali kobiety i dzieci, a przede wszystkim ostrzeliwali obrońców na wałach, sprawiając, że ci musieli osłaniać się z dwóch stron.

\*\*\*

Pląsali, wiatr targał ich długimi włosami, a strzały świstały im koło

ucha. Gaupahedin był dobrym wojownikiem, nie mogli więc znaleźć luki w jego obronie.

Szpony kreśliły niebezpieczne znaki w powietrzu. Czasem zadrapały kociego brata, a krople krwi tryskały Jastrzębiowi i Płaszczowi na twarz. Ryś dźgnięciami odpowiadał na ich pchnięcia, cięciami na dziabnięcia, a uderzeniami na rąbnięcia.

Nadal walczyli na belkach palisady, skacząc po blankach niczym bezskrzydłe ptaki. Gaupahedin nie usłuchał wezwania Skalda, a Haukr i Hedin nie przejęli się, że brama podgrodzia została otwarta. Wojna kaganów schodziła na bok, gdy dwóch hamramirów chciało się po bratersku pozabijać.

Człowiek i ptak pomachali rękami niczym skrzydłami i skoczyli, wyciągając szpony. Gaupahedin odskoczył. Kiedy wylądowali, kot zaatakował ich pazurami. Jedną siekierkę zablokowali saksem, przed drugą uchylili się, ale ostrze ich zahaczyło. Postrzępiony kyrtyll wzbogacił się o kolejną dziurę oraz czerwoną plamę. Machnęli szponem i zdołali sięgnąć uda wroga. Ryś zamiauczał z bólu i ze złością rzucił jednym z toporków. Przekrzywili głowę na bok i żeleźce niegroźnie musnęło ich szyję.

Kot tylko w jednym jest lepszy od ptaka. Ma mocniejsze nogi. Gaupahedin wybił się w górę, po czym kopnął Haukra i Hedina w podbródek.

Człowiek i Jastrząb wypluli dwa zęby i pokazali byłemu bratu szczerbaty uśmiech. Chcieli rzucić się do przodu, postawić wszystko na jeden szaleńczy atak, ale w ostatniej chwili odskoczyli. Ich zdrowe oko zauważyło nadlatujący kamień.

Ryś wybił się w górę, lecz nie zdążył. Głaz musnął blanki i uderzył w nogi Gaupahedina. Hamramir bezwładnie poleciał kilkadziesiąt kroków i padł na ziemię po wewnętrznej stronie wału.

Jastrząb i Płaszcz pomyśleli, że jakiś głupi rzemieślnik obsługujący onagera nie zaprzestał ostrzału, mimo iż ludzie Kola przedostali się do grodu. A może uznał, że akurat w to miejsce warto trafić, bo poza kocim hamramirem nikt już nie atakował tego odcinka umocnień.

Zeszli z wału spokojnym krokiem, nie mając sił na bieg. Podeszli do Rysia, który jeszcze dychał. Ze zmiażdżonymi nogami nie był już jednak groźny. Uderzenie kamienia zabrało mu to, co było dla niego najważniejsze, a nie istniała dla kota większa męka, niż zostać uwięzionym w kalekim ciele.

Haukr i Hedin przysiedli przy głowie dawnego brata. Nie czuli do niego złości, tylko coś w rodzaju żalu, jak by to ujeli ludzie. Wiedzieli, że ich były towarzysz dzielił z nimi miłość do wspinania się po drzewach, zatem myśl, że zostało mu to odebrane, napawała ich smutkiem. Ale też radością, bo dostali zemstę, jaką obiecali Granemu.

Zastanawiali się, co zrobić. W końcu decyzję pozostawili Göllnirowi. Podeszli do trupa jakiegoś smerda i rozcięli mu brzuch. Włożyli do środka dłoń i pogrzebali trochę, nie podglądając. Wątroba oznaczać będzie łaskę, wszystko inne – bezwzględność.

Spojrzeli na wyciągnięty los i wyrok ich ucieszył. Nie mieli ochoty na litość. Położyli żołądek na piersi kalekiego odrmada i zostawili go swojemu losowi.

Rozejrzeli się uważnie. Wszędzie panował wspaniały chaos. Zewsząd dochodziły odgłosy rzezi. Jastrząb i Płaszcz zajazgotali, wołając swoich braci, po czym wbiegli między budynki.

\*\*\*

Ainarowi i jego towarzyszom udało się zniknąć pośród domów, zanim zjawiły się niedźwiedzie. Skald prowadził hamramirów drogą, którą zapamiętał z pobytu w Dyragardzie. Poruszali się jednak powoli, bo bestialscy wojownicy raz po raz zatrzymywali się, by zabić jakiegoś starca czy niedołęgę, który się napatoczył. Od czasu do czasu musieli też walczyć z wyrostkami i kobietami, wypadającymi z domów w obronie swojego dobytku.

Nie zapowiadało się więc, by mieli szybko dostać się do górnego gardu. Zresztą i tak poeta nie miał pojęcia, jak zdołaliby się przedostać przez



bramę między podgrodziem a wyższym grodem. Ich jedyną nadzieją było wspięcie się na wał wewnętrzny, ale to mogło się udać tylko wtedy, gdyby poruszali się szybko i zdecydowanie, a dzięki ogólnemu rozgardiaszowi nie zostali spostrzeżeni.

Przez jęki konających i trzask palącego się drewna przebił się szaleńczy wrzask. Poeta wszędzie poznałby ten jazgot, podczas ich wspólnej wędrówki Haukrhedin budził go nim każdego ranka. Bestialscy wojownicy zatrzymali się, porzucając wszystkie czynności, które akurat wykonywali. Największym wygranym okazał się siwy starzec, którego beznosy Urrhedin trzymał za szyję trzy stopy nad ziemią. Dziadek, uwolniony z uścisku, padł na ziemię i ciężko łapiąc oddech, odczołgał się za róg domu.

– Nie stójcie jak tyczki na sieci! – pieśniarz próbował ich odwieść od zamiaru walki z Jastrzębioskórym, choć nie wierzył w powodzenie. – Do górnego gardu jeszcze daleko!

Odrmadowie, i owszem, ruszyli, tylko że w przeciwną stronę.

– Nie tam jest brama!

Nie słuchali go i to nie jemu odpowiedzieli. Berhedin zaryczał, Urrhedin zamuczał, Ulfhedin zawył, a Svinhedin zakwiczał.

Skierowali się w stronę, z której dobiegał jazgot Haukrhedina, a gdy usłyszeli go powtórnie, przyspieszyli kroku. Kowalowi słów nie pozostało nic innego, jak ruszyć ich śladem. Klął przy tym wściekle, gdyż nie miał ochoty w pojedynkę szturmować górnego grodu.

Jak chętna dziewczyna nie musi długo szukać kochanka, tak żądni krwi hamramirzy szybko odnaleźli wyrodnego brata. Haukrhedin wyglądał jak mokra wrona, pobita kijami przez dzieci, a następnie przezuta i wypluta przez żbika. Pieśniarz nie widział go od czasu rozstania w Treborgu i ledwo go poznał. Szaleńcowi brakowało oka i kilku zębów, a całe jego ciało pokrywały sińce. Strzępy, które kiedyś były ubraniem, a teraz ledwo zakrywały tułów i nogi, lepiły się od krwi. Odrmad kulał i dało się odczuć, że każdy ruch sprawiał mu ból.

Ainar uniósł topór do czoła, pozdrawiając starego towarzysza. Nie dało się lubić tego szaleńca, ale nie życzył mu źle. Z pewnością nie było go na

liście ludzi, których chciał zabić.

Jastrzębioskóry zajazgotał na powitanie, a drapiąc się szponami po czole, odwzajemnił pozdrowienie. Tak przynajmniej wydawało się hagogowi, bo hamramir mógł równie dobrze zabijać pchłę. Swoje dodali też bestialscy wojownicy. Kwik, ryk, muczenie i wycie okazało się tak samo denerwujące jak przedtem.

– Nie mieszaj się do tego, Skaldzie – zagrział Berhedin.

O dziwo podobnego zdania był Haukrhedin.

– Krew brata brat przeleje. Nie potrzebujemy pomocy.

O bezinteresowną życzliwość jeszcze nigdy poety nie oskarżono, a że nikt nie rzucił mu sakiewki pod nogi, miał wielką ochotę spełnić ich życzenie. Nie bez zdziwienia odkrył jednak, że burzyło się w nim coś na myśl o niesprawiedliwej walce, jaka miała się za chwilę odbyć.

– Nie takie rozkazy dostaliśmy! Mamy się przebić do górnego gardu! – powiedział, próbując chociaż słownie ratować Jastrzębia.

– To nie potrwa długo – zapewnił przywódca sfory. – Idź sam i poczekaj na nas na miejscu. Wytrzymasz chwilę bez opiekunki.

– Posłuchaj go, Skaldzie – dodał Haukrhedin.

Ainar był mówcą, nie słuchaczem, poetą, nie obserwatorem. A jego boskim opiekunem pozostawał Göllnir, który żądał od swoich ofiarników, by od czasu do czasu zrobili coś szalonego.

Östmad splunął, przeklął swoją przekorę i zamachnął się toporem na Svinhedina, który stał najbliżej. Dzika Świnia zręcznie uskoczyła i zdzieliła go pięścią w twarz.

Składaczowi strof pociemniało przed oczami, ale zdążył zauważyć, że Berhedin wyrywa mu topór z rąk i chwyta włochatą łapą za jego kyrtil. Poeta kopnął go w jaja, ale przywódca hamramirów nie przejął się tym, tylko z łatwością uniósł Vaeringa i rzucił nim o ścianę pobliskiego domu, a jego śladem posłał topór. Skald padł na ziemię, ale szybko wstał, rozjuszony walką.

Coś dziabnęło go w ramię i poczuł rwący ból. Odwrócił się, wyrwał

sierp z ręki podstępnego żebraka i wbił mu go w nasadę czaszki. Podniósł z ziemi topór, gotów ponowić natarcie na odrmadów, ale musiał stawić czoło innym dyragardczykom, którzy niczym muchy do gówna zlecieli się, by osaczyć ranego.

Rzucił okiem na bestialskich wojowników, którzy rozpoczęli już walkę i zniknęli za rogiem kuźni. Machnął brodatą siekierą i uciął komuś rękę. To na chwilę powstrzymało napastników. Obrócił się w stronę górnego gardu. Jeśli hamramirzy tak bardzo chcą zabijać się w samotności, to kim był, by im tego zabraniać? Przeklął i zaczął wyrąbywać sobie przejście.

\*\*\*

Nie wyglądało to najlepiej. Duchy co prawda zniknęły, ale napastników wciąż przybywało. Morza koczowników wlewającego się przez bramę nie dało się zatamować, a wały zostały zaatakowane ze zdwojoną siłą. Gardarikanie, którzy przedtem dzielnie bronili wyrw, teraz musieli odpierać również jeźdźców znajdujących się za ich plecami.

Walka zapowiadała się na długą, ale Czarny Berserk już wiedział, że dolnego grodu nie da się uratować. Jeźdźcy w równym stopniu zajmowali się niszczeniem, jak zabijaniem, zgodnie z zasadą, że spalonego domu nikt nie ma ochoty bronić. Ali przeczuwał, że umysły obrońców właśnie teraz zaczynała obejmować podstępna macka tchórzostwa, niewypowiedziana myśl, iż warto ratować życie, bo dobytek jest już stracony. Blamad znał się na ludziach i umiał poznać, kiedy należy w nich tchnąć nadzieję.

Ryknął i pokazał mieczem swoim czarnoskórym ludziom, że mają za nim ruszyć. Pobiegł w kierunku najbliższej wyrwy i natarł na koczowników atakujących Gardarikan. Zanurkował pod włócznią człowieka stepu i machnął zakrzywionym saifem, ucinając koniowi nogę w kolanie. Zwierzę przewróciło się na bok, przygniatając jeźdźca. Z kikuta siknęła krew, plamiąc wszystko dookoła. Inni Blamadowie poszli za przykładem dowódcy i również ranili zwierzęta, przez co walka stała się rzezią, nad którą nikt nie potrafił zapanować. Kwiki i rżenia mieszały się z jękami

i przekleństwami. Berserk ciął nisko, a kiedy Ludożerca wgrzył się w posiłek, sam już nie był pewien, czy trafił przeciwnika, czy jednego ze swoich.

„Na grzywę białego rumaka! Niech to Perun trząśnie! Klaczysynie! Suczysynie! Auuu! Moje flaki! Na maczugę Magniego! Na pochwę Gefny!” – dochodziły zewsząd głosy walczących, a każdy z nich na swój sposób przeklinał ludzi i chwalił bogów.

Czarny gridin zamachnął się do kolejnego ciosu, ale nie było już kogo zabijać. Wokół leżały tylko trupy, a krew zmieszana z ziemią utworzyła czerwonobrazową breję, w której tkwił po kostki. Kilka kroków od niego stali zwycięzcy, czyli ci, którzy przetrwali zawody w zabijaniu i potrafili samodzielnie ustać. Za łaską Allaha byli to ludzie Tirusa.

Jedna wyrwa została obroniona i teraz nawet Gardarikanie garnęli się do wytatuowanego wojownika, czekając na rozkaz. Część z nich pewnie myślała, że skoro udało się tutaj, to i w innych miejscach uda im się odeprzeć nieprzyjaciela. Berserk wszakże zbyt wiele bitew przeżył i zbyt wiele ksiąg przeczytał, by dać się zwieść takiej nadziei.

– Wycofać się! – krzyknął, ile miał siły w płucach, a to znaczyło, że słyszeli go nawet ludzie na wałach. Uporządkowany odwrót do górnego gardu był najlepszym rozwiązaniem, choć Szalony Odyniec burzył się z tego powodu.

Pilnowanie wału straciło znaczenie, bo przynajmniej trzecia część ludzi Kola i tak dostała się już do środka grodu. Ali pomachał mieczem do swoich Serklandczyków, których odcinek umocnień jako jedyny nie był atakowany, gdyż nieprzyjaciel uznał, że gdzieś indziej pójdzie mu łatwiej. Wyznawcy Muhammada posłusznie zeszli na dół i ustawili się przy dowódcy.

– Przebijamy się prosto na północ! Starajcie się zgromadzić jak najwięcej naszych, ale tylko tych z bronią! Reszta niech radzi sobie sama.

Zakręcił mieczem w powietrzu i wskazał nim kierunek marszu.

\*\*\*

Haukra i Hedina bardzo zdziwiło zachowanie Skalda. Kiedyś, gdy stanowili część hamramirskiej watahy, było czymś naturalnym, że bracia walczyli razem i chronili się wzajemnie. Kieł przy kle, pazur przy pazurze i ramię przy ramieniu. Jednak odkąd zostali wyrzuceni, tylko Ali niekiedy dzielił z nimi przyjemność zabijania i dbał, by nie stracili zbyt wielu piór. Kiedy więc pieśniarz uniósł topór na Svinhedina, poczuli radość podobną do tej, jaka jest udziałem jastrzębia rozrywającego świeżego zająca. A kiedy odrmadowie odpowiedzieli na ten atak, Jastrząb i Płaszcz zezłościł się niczym ptak, którego szpony minęły się z uciekającą zwierzyną.

Rzucili się do przodu z obnażonymi szponami, jeszcze zanim plecy szalonego poety uderzyły o ścianę. Cięli w dumę Dzika, ale chybili. Popełnili ten sam błąd, co wszyscy walczący z nagusem – próbowali trafić w męskość, a ta, choć wcale nie mała, była przecież celem znacznie mniejszym od nagiego brzucha czy piersi. Błąd, który polegał na chęci odebrania przeciwnikowi dumy, zamiast życia.

Tyle że człowiek i ptak chcieli popełnić ten błąd. Walczyli po to, by upokarzać.

Dzik się uchylał. Był znacznie zwinniejszy, niż wskazywałyby jego przykrótkie nogi, zaokrąglony brzuch i szerokie ramiona. Zaatakował włóczniami, wyprowadzając pchnięcia naprzemiennie, ale ciągle zmieniając szybkość ruchów i ich kolejność. Prawa, lewa, prawa, lewa, lewa, prawa, prawa, lewa, obie naraz. Haukr i Hedin częściej odskakiwali, niż sami atakowali, bo szpony nie były stworzone do blokowania kłów.

Walka między hamramirami powinna być einvigiem, honorowym pojedyńkiem dwóch na dwóch. Ale bestialscy wojownicy nie byli już ich braćmi, dlatego Haukr i Hedin musieli walczyć z ośmioma przeciwnikami: czterema Hedinami i czterema bestiami.

Jastrząb zawsze przypominał, że należy unikać tłoku i atakować zniecka. Dlatego cały czas byli w ruchu, unikając okrążenia. Uciekali za rogi domów, wyskakiwali na dachy, chowali się za ściany. Bawili się

z innymi odrmadami w gonionego, choć to żelazem, nie dłońmi się uderzali.

Ostatnio drapieżnik w ich głowie coraz rzadziej domagał się władzy i również teraz pozwalał człowiekowi współrzędzić ich ciałem. Pozostałymi hamramirami o władnął hamask i ich poczynaniami zaczęły kierować drzemiące dotąd bestie. Haukr i Hedin dobrze znali ten stan. Kiedyś też nie potrafili walczyć inaczej. Zostali wygnani z bractwa za tłumienie w sobie zwierza, ale w końcu właśnie oni znaleźli sposób, by człowiek i drapieżca żyli ze sobą w zgodzie, dzieląc tę samą głowę.

Nacierali szybko, uderzali błyskawicznie i znikali migiem.

Niedźwiedzia łapa, czyli ciężka maczuga zwieńczona czaszką misia, ślamazarnie przecinała powietrze, a kiedy trafiała w jakąś ścianę, cały budynek się trząsł. Z łatwością unikali tych ciosów, co spotykało się ze wściekłymi pomrukami Berhedina.

Żelazny pazur Ulfhedina rzadko wypuszczał się zza osłony tarczy, bo Wilk zawsze zachowywał ostrożność i wyprowadzał tylko takie cięcia, które mogły zabić. Właśnie one były najtrudniejsze do obrony, dlatego Jastrząb i Płaszcz musieli się nieźle napocić, by zbijać je szponami.

Rogi, czyli dwa kiścienie Urrhedina, kreśliły pętle w powietrzu, a były równie groźne dla Jastrzębia i Płaszcz, jak dla innych hamramirów. Każdy z walczących musiał się pilnować, by nie dostać żelazną kulą w łeb. Turowi brakowało nosa, a zbita i okaleczona bestia zawsze kuli ogon przed tym, kto ją upokorzył. Traci pewność siebie, a jej ciosy stają się niepewne. Nawet uwolniona nienawiść nie mogła tego zmienić.

Haukr i Hedin wykonali przewrót w przód i leżąc plecami na ziemi, podcięli nogami Ulfhedina. Przeturlali się w bok. Tam gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się ich głowa, Berhedin uderzył swoją łapą. W odpowiedzi cięli szponami w kostki Svinhedina, ale Dzik przeskoczył nad saksami. Człowiek i ptak wygięli ciało, zaczynając od nóg, a kończąc na szyi, wybili się w górę i stanęli na nogach. Wstrzymali się z wyprostowaniem kolan, aż nad ich głową przeleci kula Urrhedina. Wtedy uderzyli Tura barkiem i przebili się przez pierścień byłych braci, którzy już prawie ich otoczyli.

Dlaczego wilk ma takie wielkie uszy? Żeby lepiej słyszeć. Nikt nie mógł się równać z Ulfhedinem rozmiarem uszu. Dwa mięsiste placki po bokach głowy miały wielkość pięści, a otwory tuneli ziejących w ich środku były szerokie na kciuk.

Dlaczego wilk ma takie długie zęby? Żeby lepiej gryźć kości. Inni hamramirzy też nie mogli narzekać na użębienie, ale to Ulfhedin miał najdłuższe kły, a przeciwników zwykł dobijać, rozrywając grdykę zębami.

Haukr i Hedin obrócili się na pięcie, o włos unikając cięcia żelaznego pazura. Udali, że chcą dziabnąć przeciwnika szponami w udo, a gdy Wilk dał się nabrać i zasłonił tarczą, kopnęli w jej dolną krawędź. Żelazna obręcz drewnianego talerza uderzyła w podbródek i z paszczy Ulfhedina wypadły trzy zęby.

Jastrząb i człowiek zajazgotali radośnie, słysząc krzyk wściekłości byłego brata, poszli więc za ciosem. Szponami zbili pchnięcie miecza, przemknęli wzdłuż wyciągniętej ręki wilczego odmada i znaleźli się za jego plecami. Teraz znalazł się na ich łasce, a oni, jak pasterz trzód, nie mieli litości dla pogromcy bydła. Położyli mu szpony na ramionach, tuż przy szyi, i szarpnęli do góry. Dwoje uszu – wraz ze sporymi kawałkami skóry i włosów ze skroni – zawisło na ostrzach saksów. Jastrząb i Płaszcz podrzucili krwawe ochłapy, po czym je chwycili, nie puszczając szponów. Obłożyli uszami rękojeści długich noży i zacisnęli na nich dłonie. Mięka czerwona papka była miła w dotyku, a zgnieciona, zaczęła wypływać między palcami.

\*\*\*

Umieranie jest głupie, zwłaszcza gdy nie ma się przy boku pieśniarza gotowego ułożyć drapę wielbiącą honor poległego. Wyrok norn bywa przewrotny, zapowiadało się więc, że tym razem to poeta padnie, jego śmierć zostanie zapomniana, a ciało będzie jednym z tysięcy, dla jakich usypie się wspólny kopiec po bitwie. Ainar Skald nie miał jednak zamiaru do tego dopuścić.

Wyciągał nogi, ale nie biegł, by nikt nie zarzucił mu tchórzostwa. Ramię broczyło krwią, a kilka mniejszych ran piekło, jakby ktoś je posolił. Jego stan wciąż był jednak niezły, ale położenia, w jakim się znalazł, nie pozazdrościłby mu niewolnik z serklandzkiej galery. Smerdów, którzy osaczyli go przy hamramirach, posiekał toporem lub zmusił do ucieczki, tym samym przekonując oraczy, że pieśniarz nie jest zdychającą zwierzyną czekającą na dobiecie. Wciąż jednak tkwił we wrogim mieście, mając przed sobą rozpaczliwie walczących o życie grodzian, a za sobą Tattarów, którzy stracili zdolność rozpoznawania sojuszników i siekli każdego, kto nie siedział na koniu lub nie walczył w zwartym oddziale wokół jednego z powiewających na drzewcach merków. Pocieszało go tylko to, że Hunowie powinni uznać samotnego drenga za przeciwnika trudniejszego niż uciekający kupiec – a i z pewnością mniej wartego złupienia.

Wszedł do jakiegoś domu, gdzie przywitał go płacz dzieci i latający garnek. Schylił się, a gliniane naczynie rozbiło się o ościeżnicę i skorupy spadły mu na plecy.

– *Helvíti!* [\[16\]](#) – zaklął i wzniósł topór do uderzenia.

W rogu izby stały dwie kobiety, zasłaniając troje dzieci. Młodsza – obdarzona krągłościami, zatem niemająca szans uniknąć zgwałcenia – uzbroiła się w dwa garnki przyszykowane do rzutu. Starsza o pohańbieniu mogła tylko marzyć, a jej główną bronią nie były wcale drewniane widły, którymi celowała w nieproszonego gościa, ale brzydota.

Skald przyłożył palec do ust. Kobiety usłuchały. Opuściły broń i zakryły usta płaczącym bachorom. Widać nie były głupie i zdawały sobie sprawę, że i tak znalazły się na łasce przybysza.

Wzrok haga zatrzymał się na starej koszuli leżącej na przyściennej ławie. Odłożył broń, sięgnął po ubranie i przewiązał sobie ramię. Na białym materiale od razu pojawiła się czerwona plama, ale na szczęście się nie rozrastała.

Uchylił drzwi i wyczekał chwili, aż zaulek opustoszeje. Wszedł, zostawiając rodzinę jej własnemu – i kiepsko się zapowiadającemu – losowi.



Po drodze ściągnął z głowy vaerińskiego trupa hełm z osłoną nosa i kolczą zasłoną twarzy. W Dyragardzie nałożono na niego banicję, wołał więc pozostać nierozpoznany. Porzucił też topór na rzecz znalezionego miecza, gdyż była to broń stosowniejsza dla walecznego drenga.

Przystanął przy warsztacie rymarza i wyjrzał zza ściany na bramę prowadzącą do górnego gardu. Oczywiście pozostawała silnie strzeżona, nie wierzył zatem, by nawet hamramirom udało się tędy przedrzeć. On jednak był Skaldem, który z głową Mimira grywa w zagadki, a nie bestią owładniętą hamaskiem.

Przy bramie panował nieład jak między udami Gefny. Każdy chciał się schronić za wałami, ale przejście było wąskie. Ludzie tłoczyli się, krzyczeli i przeklinali, a vardkarlowie nie mogli sprawdzić każdego wchodzącego, w pierwszej kolejności przepuszczali więc zbrojnych, którzy w ładzie wycofywali się z dolnego grodu. Cała reszta kotłowała się przy wieżach.

Östmad dostrzegł swoją szansę w oddziale Tattarów, który zamiast łupić, natarł na obrońców bramy. Koczownicy mieli szansę na przebicie się, choć wejścia strzegli najemni Vaeringowie z toporami na długich styliskach, a z wału wspomagali ich łucznicy.

Konio-ludzie zaatakowali z opuszczonymi włóczniami i w pierwszej szarży zabili czterech, może pięciu obrońców. Z resztą wdali się w walkę, siekąc ich z góry szablami.

Srebro i chwała są nagrodami wojownika, ale mądry dreng sięga po nie tylko wtedy, gdy jest pewien zwycięstwa. Poeta nie miał zamiaru zbyt wcześnie włączać się do boju. Odczekał, aż ludzie stepu osiągnęli przewagę i lada chwila mogli przełamać szyk obrońców.

Wybiegł zza ściany i od tyłu zaatakował zaskoczonych przeciwników. Jednego z Tattarów rąbnął w udo, drugiego w plecy, tuż nad tylnym łękiem siodła. Na ten widok uciekający wcześniej vardkarlowie zawrócili i natarli ze zdwojoną siłą, a z górnego gardu nadbiegły posiłki. Walka tylko przez chwilę zdawała się wyrównana – szybko przekształciła się w porcjowanie koniny i krojenie huńskich ciał.

Umiejętność wybierania właściwej strony była jedną z cech, które pieśniarz cenił w sobie najbardziej. Miał pewność, że nawet jeśli koczownikom udałoby się przebić, w tak małej liczbie nie utrzymaliby bramy do nadejścia pobratymców. Musiał więc w oczach strażników uchodzić za pogromcę Tattarów.

Postarał się, by to jego miecz dobił ostatniego konio-człowieka, po czym krzyknął:

– Do środka, zanim nadjadą kolejni!

Vardkarlowie po raz kolejny poszli za jego przykładem. I tak Skald przeszedł przez bramę wraz z tłumem. Strażnicy rzucali zaciekawione spojrzenia człowiekowi, którego niespodziewane pojawienie się uratowało obronę wejścia. Być może usiłowali rozpoznać w nim któregoś z towarzyszy broni, bo przecież wydał rozkaz w języku ludzi Północy. Nie zatrzymali go jednak, mając na głowie poważniejsze sprawy niż podejrzliwość. Do bramy zbliżali się kolejni uciekinierzy, w tym silny oddział uzbrojonych w półksiężycowate miecze wojowników z Serklandów.

\*\*\*

To nie ucieczka – tłumaczył sobie Ali, przeklinając obowiązki, które nakazywały przedłożyć dobro grodu nad własne pragnienia. Był jednak Blamadem, mieszkańcem Wagadou, obeznanym w naukach Muhammada, zaznajomionym z kultem Wertragny, a ponad wszystko miłośnikiem Słów tworzących prawdę. A słowo „ucieczka” oznaczało prawdę, której nie dało się przekłamać żadnymi usprawiedliwieniami. Dlatego gdy dotarli do bramy prowadzącej do górnego gardu, zatrzymał się i wraz ze swoimi ludźmi postanowił bronić przejścia, by umożliwić ucieczkę ludziom mniej mężnym od siebie.

Ustawił Serklandczyków w dwa szeregi, samemu zajmując miejsce w środku pierwszego, razem z pozostałymi Blamadami. Podczas stoczonych tego dnia potyczek nie cofnęli się o krok, co wcale nie było

takie trudne, jako że za plecami mieli stłoczone fale uciekinierów, a wrogowie rzadko ich atakowali. Armia Kola nie należała do zbyt karnych i wolała grabić dolny gard, niż próbować szturmować bramę.

Gdyby jeszcze wczoraj kagan posłuchał Alego, nie doszłoby dziś do takiego zamieszania. Czarny gridin radził, żeby od razu przenieść wszystkich, a nie tylko tych znaczniejszych, mieszkańców miasta do górnego grodu. Mały wielki człowiek odparł jednak, że nie będzie dawał swoim ludziom tak wyraźnego sygnału, iż spisuje dolny gard na straty. Inni członkowie rady dodali, że smerdowie przydadzą się do gaszenia pożarów, a Gleb Hakonowicz beznamiętnie oznajmił, że w razie przełamania obrony Tattarzy zajmą się mordowaniem mieszkańców, co da czas wojsku na przegrupowywanie sił. Berserk musiał niechętnie przyznać, że przywódca piechoty miał rację.

Dolne miasto było już stracone, tym bardziej że wkroczył do niego także grid Kola Małego. Wyznawca Wertragny od razu rozpoznał ten doborowy oddział po uporządkowanym szyku i przednim uzbrojeniu. Również i ta część armii nie kwapiła się do dalszego szturm, ale raczej starała się zapanować nad grabiącym wojskiem. Pan na Treborgu nie był głupcem i wolał najpierw zabezpieczyć jedną zdobycz, nim sięgnie po kolejną.

Wszystko wskazywało na to, że nadeszła pora, aby Blamad wycofał swoich ludzi. Większość grodzian zdążyła już przejść przez bramę, a zbrojni ustawiali się na wałach wewnętrznych. Drużyna Alego powinna teraz zrobić podobnie i czekać na sposobność do kolejnej walki, która i tak musiała nadejść. I wtedy Czarny Berserk zobaczył w oddali wysoką postać Kola Małego. Nie potrafił przejść obok nadarzającej się okazji. Miał pewność, że Dyragard był skazany na upadek, a bronienie górnego gardu tylko odwlecze nieuniknione. Skoro jednak w szatrandżu wygrywa się, zabijając wrogiego szacha, również w tej batalii można było podobnie zwyciężyć.

– Za mną! – rozkazał swoim ludziom i nawet nie musiał patrzeć, czy za nim pobiegną.

Pokonanie kilku stojących na drodze ludzi stepu nie sprawiło im

większej trudności. Przemknęli między budynkami, spadli na gridinów Kola i potraktowali ich tak, jak sam Muhammad zalecił w swojej księdze traktować niewiernych. Ludożerca już wcześniej najadł się do syta, ale Czarny Berserk skazał go na dalsze obżarstwo i pijaństwo. Mimo iż trwał dzień, to nie przed słońcem, ale przed półksiężycem drżeli Odainsakczycy, bo takiego właśnie kształtu miały saify – miecze Serklandczyków.

Najemnicy z dalekiego Południa nie mogli wygrać tej potyczki, ale nie taki był ich cel. By zwyciężyć całą wojnę, wystarczyło się przebić przez szeregi straży przybocznej kagana. Większość ciemnocnych wojowników zginęła, ale Czarnemu Berserkowi i garstce Serklandczyków udało się tego dokonać.

\*\*\*

Walczyli i nikt nie szukał wytchnienia. Obok przemknęła dziewczyna w podartej sukni, ścigana przez dwóch Vaeringów. Gdzieś z prawej szlochająca matka trzymała w rękach przecięte na pół niemowlę, próbując dopasować do siebie obie części. I nawet jej się to udało, ale małe ciało nie chciało się zrosnąć, przez co z gardła kobiety wydobywał się szloch przerywany szaleńczym chichotem. Po lewej mignęło kilku Tattarów łapiących na arkany wyrostków – przyszłych niewolników.

Wszystko to Haukr i Hedin widzieli przez zasłonę juchy, która zalewała ich jedyne oko. Zresztą i tak byli zbyt zajęci walką, by przyglądać się urokom rzezi. Ludzie Kola i poddani Tirusa też trzymali się od hamramirów z daleka, bo ci pierwsi zajęci byli gwałtami, mordami i grabieżami, a ci drudzy pierzchaniem i ratowaniem życia.

Człowiek i ptak słabli. Nie byli tak szybcy jak niegdyś, a choć udało im się zranić Ulfhedina, ten walczył dalej, nawet bez swoich cennych uszu i zębów. Hamramir w hamasku nie czuje bólu i nie padnie na plac, dopóki ostatnia kropla krwi nie wytoczy się z jego ciała. Nadal musieli więc odpierać ataki czterech odrmadów. Na szczęście bestialscy wojownicy też nie wyglądali na wypoczętych, a poza tym rozdrażnienie sprawiało, że za

bardzo się spieszyli.

Jastrząb i Płaszcz czmychali, znikali i uciekali, ale po męsku, bo zawsze wracali, by zadać cios. Czekali na sposobność. Ta nadarzyła się chwilę po tym, jak łapa Niedźwiedzia klepnęła ich w plecy, sprawiając wspaniały ból i chyba łamiąc dwa żebra. Zabrakło im tchu w piersiach i zgięli się wpół. Pewni swego dawni bracia otoczyli ich, po czym z rykiem, wyciem, kwikiem i muczeniem wznieśli broń, by zadać ostateczne uderzenie.

Jastrząb, nawet niedowidzący i ranny, potrafi dziabnąć. Haukr i Hedin rzucili się na ziemię, fiknęli przez ramię i znaleźli się dokładnie między nogami Svinhedina. Długie noże mieli uniesione do góry i skrzyżowane. Przyciągnęli rękojeści ku sobie i ostrza zadziały jak nożyce. Pół męskości Dzikiej Świni spadło im na brzuch, a za nim poleciał mały wodospad krwi. Człowiek i ptak podciągnęli nogi i zrobili fikołka w tył, uderzając jeszcze stopami w zranione krocze Svinhedina.

Ta sztuczka była szalona – i właśnie tak potraktował jej wykonawców Göllnir, boski opiekun hamramirów. Zamiast nagrody przyszedł ból. Kiedy wstawali, Urrhedin pogratulował im celnego ciosu, klepiąc ich żelazną kulą po ramieniu. Gdyby Tur był w pełni sił, Haukr i Hedin nie przeżyłby tego wyrazu uznania, a tak tylko prawy szpon wyleciał im z dłoni, ręka zaś zaczęła bezwładnie zwisać z wybitego barku.

Zwrócili się do wrogów lewą stroną ciała, bo prawa była teraz bezużyteczna. Wyciągnęli przed siebie lewy szpon, a lewym okiem wypatrywali miejsca, gdzie mogliby uderzyć.

Uchyłili się przed pchnięciem kłów Svinhedina, który bez połowy męskości nadal usiłował walczyć, choć nie był już tak odważny. Przeskoczyli nad niskim wyprowadzonym cięciem żelaznego pazura. Zdołali się zasłonić szponem przed łapą Berhedina, ale cios okazał się zbyt silny, by mogli go zablokować. Sterczące z broni kolce rozerwały im skórę na brzuchu, ale to były tylko łaskotki.

Cofnęli się o dwa kroki, unikając rogu Urrhedina, ale nie dali już rady uskoczyć przed kłem. Grot włóczni przebił im lewe udo.

Uklękli na jedno kolano, a miecz Ulfhedina ciął ich w lewy bok.

Złośliwy Wilk pociągnął ostrzem tam i z powrotem, jakby ciął drzewo. Żelazo poskrobało po żebrach.

Drugi szpon wyleciał z ich dłoni. Padli na plecy.

Członkowie bractwa stanęli nad nimi w kole.

– Chcieliście zabrać nam to, co mamy najcenniejszego! – ryknął Berhedin, z trudem wydobywając ludzki głos z owładniętego hamaskiem ciała.

– Cali zostaliście tylko wy – wyszeptali Haukr i Hedin, nienawidząc słabości, przez którą zawiedli.

Przywódca odrmadów pokręcił głową i spojrzał na człowieka i ptaka z pogardą, ale i pewnym żalem.

– Nadal nic nie rozumiecie. Sami odbierzemy sobie to, co jest dla nas najcenniejsze. Bo nie ma dla hamramira, a zwłaszcza dla ich przywódcy, większej straty niż śmierć brata.

Ryś bez nóg, Wilk bez zębów, Tur bez nosa, Dzik bez męskości, Niedźwiedź bez brata. Jastrząb bez oka dokonał zemsty, a pomógł mu w tym Płaszcz.

Haukr i Hedin poczuli kły, pazur i rogi, które zaczęły rozrywać ich ciało i odrywać mięso od kości. Zdawało im się, że słyszą krzyk ich nowego brata, dziwacznego Czarnego Berserka. Z przypadkowych dźwięków złożyło się coś na kształt imienia.

Prawdziwego ludzkiego imienia Hedina, zapomnianego przez człowieka tak dawno temu.

Przeszłość i terażniejszość złączyły się w jedno. Hedin ujrzał siebie – ocierającego łzy, stojącego przy stosie ciał, pośród pożogi trawiącej rodzinną osadę. Pojawił się przed nim Grani, dzieciak ocalony od krwawego wyroku kagana, któremu odrmad dał łaskę szybkiej śmierci. Ujrzał przestraszone dzieci patrzące na odcięte głowy rodziców w jego dłoniach i słuchające ostrzeżenia przed innymi potworami.

Nad nim trwało tylko błękitne niebo, nie słyszał już żadnych głosów w swojej głowie. Z dawna wyczekiwana cisza okazała się wspanialsza, niż

mógł oczekiwać. Przynosiła ukojenie. Gdzieś tam w górze dostrzegł jastrzębia i w duchu uśmiechnął się do swojego brata, który odzyskał wolność i oddał wolność człowiekowi.

Na krótką chwilę widok przysłoniła mu opadająca ku jego głowie czaszka niedźwiedzia. Jej cios miał mu dać ostateczne wytchnienie. Pomyślał, że tylko śmierć zdolna jest uleczyć szaleństwo życia.

\*\*\*

Ludożerca obnosił się z obżarstwem, posilając się flaczkami, udkami, słoninką i grubymi plastrami mięsa. Wciąż miał jednak ochotę na danie główne – potrawkę z kagana.

Ali zostawił swoim ludziom zabawę z gridinami i stanął naprzeciw Kola Małego.

– Chcesz kogoś zabić, zrób to sam – burknął władca Drzewnego Grodu na widok Czarnego Berserka.

Blamad nie potrafiłby ująć tego lepiej. Ciął od dołu, celując w brzuch.

– Tym razem karzeł cię nie uratuje.

Szach osłonił się olbrzymią maczugą, wykonana, jakżeby inaczej, z konaru jesionu. Jej twórca nie silił się nawet, by przesadnie wyrwać ten przedmiot naturze, choćby przez ściągnięcie kory, wygładzenie sęków i odcięcie kikutów urwanych gałązek – po prostu przyciął jeden z końców konaru, tworząc rękojeść broni.

Miecz utkwiał w drewnie. Kagan szarpnął. Większość jego przeciwników pozostałaby już wtedy bezbronna, jednak Ali nie należał do ułomków. Utrzymał Ludożercę w dłoni, choć musiał sobie pomóc drugą ręką. Pociągnął w swoją stronę i przez chwilę siłował się z konungiem jak rębacz drewna z zaklinowaną w pniaku siekierą. W końcu czarnemu drużownikowi udało się wyrwać broń i natychmiast się cofnął, unikając ciosu zmierzającego w kolana.

– Tym razem jastrząb nie przyjdzie ci z pomocą – odgryzł się władca. –

Właśnie ginie z rąk moich hamramirów.

Wskazał głową w lewo. Blamad spodziewał się, że to tylko stara sztuczka, by odwrócić jego uwagę. Jednak gdy zwierz wie o pułapce, sam może złapać w nią myśliwego. Zerknął więc w bok, równocześnie pozorując uchylenie osłony. Kol dźgnął maczugą w odsłonięte miejsce, a wtedy berserk obrócił się na pięcie, przemknął wzdłuż konara i ciął pana Halli Drzewa w bok. Ludożerca napotkał solidną kolczugę i więcej niż mięsa zjadł żelaznych pierścieni. Stał zakrzywionego miecza nie była już tak ostra jak na początku bitwy, ale uderzenie okazało się na tyle mocne, że jedno z żeber Kola pękło.

Kagan cofnął się i uśmiechnął.

– Sprytnie. Panujesz już nad gniewem czy po prostu los Jastrzębia cię nie obchodzi?

Obchodził. Ali nie wpatrywał się zbyt długo we wskazane miejsce, ale zdążył rozpoznać hamramirów walczących z Haukrhedinem. O ile można to było nazwać walką, bo ich zmagania przypominały raczej znęcanie się sfory psów nad ptakiem ze złamanym skrzydłem.

Pomoc czy zemsta, obowiązek czy prywatnie, rozważa czy szął? Trudno było wybrać, a żadne rozwiązanie nie wydawało się Blamadowi właściwe. Miał ochotę iść z odsieczą hamramirowi, choć szanse uratowania szaleńca były marne. Z drugiej strony Haukrhedin zamierzał zabić Kola, więc jeśli on, Ali, to zrobi, spełni ostatnią wolę towarzysza. Śmierć konunga jednocześnie zakończyłaby wojnę, a jemu samemu przywróciła chwałę i stanowisko pierwszego gridina.

Zatoczył saifem łuk w powietrzu i ciął w szyję Vaeringa, który wtrącił się do walki, chcąc wspomóc swojego kagana. Głowa najemnika przechyliła się w bok, z rany siknęła krew. Ciało padło na ziemię, drżąc jakby ze strachu przed gniewem Czarnego Berserka.

Kol wykorzystał zamieszanie i wzięwszy potężny zamach, wycelował w głowę Blamada. Czarny Berserk zdążył się cofnąć, a konar tylko płytko rozciął mu pierś i zerwał kocią skórę z torsu.

Zapach krwi i pieczenie ran podgrzały łańcuchy utrzymujące Szalonego



Odyńca, który zaczął wyrywać się na wolność. Żelazne kopyta deptały rozsądek, żelazna szczecina drażniła opanowanie, a żelazne kły godziły w poczucie obowiązku. „Śmierć, krew i podniecenie” – zakwicział Wertragna, a jego wyznawca zawtórował mu okrzykiem.

Resztką sił zdołał odsunąć od siebie aesmę, utrzymał ją wszakże w pogotowiu. Myśl o konieczności wykonania zadania była jedyną rzeczą, która powstrzymywała go od popadnięcia w szal.

Uchylił się i odskoczył, unikając kolejnych ciosów maczugą. Liczył, że wyższy od niego Kol Mały szybciej się zmęczy, a jego ruchy staną się powolniejsze. Jeśli jednak trudy walki dawały się kaganowi we znaki, nie było tego po nim widać. Władca Treborga wyglądał w swoim zielonym kyrtilu, zielonym płaszczu, zielonych spodniach i srebrzystej kolczudze jak rośła brzoza, która wyrwała korzenie z ziemi i próbowała zmiażdżyć konarami atakującego ją drwala.

Ali odgryzł się cięciem i pchnięciem, ale miał o tyle utrudnione zadanie, że konung zawsze próbował blokować ciosy maczugą, a Czarny Berserk nie chciał, by ostrze saifu znów się zaklinowało. Unikał więc kontaktu z drewnem i gdy widział, że cios okaże się nieskuteczny, wyhamowywał go lub zmieniał jego kierunek.

Obrócił się na pięcie, unikając zmiażdżenia barku, i przez chwilę znalazł się przodem do hamramirów. Bestialscy wojownicy już nie walczyli, tylko dobijali swojego byłego brata. Śmierć przyjaciela nadchodziła nieuchronnie, a wyznawca Wertragny nie mógł nic zrobić, by jej zapobiec.

– Arghhhodd! – Ali zakrzyczał, nie zastanawiając się nawet nad znaczeniem dźwięków, które kwicział mu w głowie Szalony Odyniec.

Haukrhedin zginął na darmo, wmieszany w wojnę między kaganami. Poległ na służbie u Tirusa Wielkiego, do której przekonał go Ali. Został zadźgany, nie dokonawszy zemsty na swych braciach. Kolejny trup, który stanie się żerem dla wron.

Wytatuowany wojownik czuł rosnące zdenerwowanie i wiedział, że jego złość była słuszna. Życie i śmierć zdały mu się dwoma obliczami ludzkiego losu, które drwiły z ładu i przewidywalności, a oddawały hołd zamętowi.

Jego myśli pozlepiała krwawa maź, a jasne rozumowanie zostało stłumione pragnieniem rzezi. „Usiec, zmiażdżyć i zadźgać” – powtarzał kwikliwy głos w głowie gridina, któremu musiał się podporządkować, nawet jeśli przyszło mu polec z tego powodu. Zabije kagana i pokaże, że śmierć władcy jest dla świata równie obojętna, jak śmierć żebraka.

Ciął, pchnął i uderzył, mając głowę wolną od myśli. Ciało działało jak machina, a umysł mógł się oddać upragnionemu otępieniu. Zabijanie było wszystkim, własny los niczym.

Nie wiedział, jak długo walczyli, jak wiele ciosów zadał i jak wiele ran otrzymał. Aesma osłabła dopiero po wszystkim, pozwalając, by czerwona zaćma stała się odrobinę bardziej przejrzysta. Ujrzał swoje ciało pokryte krwią i poczuł, że ma złamanych kilka żeber. Najważniejsze było jednak to, że zmasakrowane zwłoki Kola leżały u jego stóp. I że w lewej ręce trzyma za włosy uciętą głowę konunga. Umysł podesłał mu mgliste wspomnienie, jak nurkuje pod maczugą, chwytą uzbrojoną dłoń władcy i rozrywa mu zębami żyły na nadgarstku. Następnie uderza przeciwnika barkiem, obala na kolana i podrzyna gardło mieczem. Miał pewność, że ostrze było zbyt tępe, by jednym ciosem uciąć czerep, dlatego trzymał Kola za włosy i piłował szyję tak długo, aż głowa odeszła od tułowia. Wysokie drzewo z małym imieniem zostało ścięte.

## 42

Ainar uchylił drzwi i zajrzał do środka. Długo szukał takiego budynku jak ten – zniszczonego i wyglądającego na opuszczony. Sądząc po jego budowie i wyposażeniu, musiał to być niegdyś magazyn wikliniarza. Jego podłoga znajdowała się trzy łokcie poniżej poziomu ziemi, a wszędzie dookoła walały się kawałki koszy i plecionek. W czasach pokoju miejsce to pewnie tętniło życiem, ale teraz, podczas oblężenia, jego właściciel sprzedał, co mógł, i wyniósł się jak najdalej stąd.

Skald nie usłyszał żadnego hałasu, dlatego wszedł do środka i zamknął

za sobą drzwi.

Żeglarze mawiają, że burzę należy przeczekać, bo choćbyś wrzucił do morza całe złoto świata, nie zaspokoisz chciwości wszystkich córek pana odmętów Aegira. Poeta chciał postąpić podobnie. Obce mu było tchórzostwo, ale ukrycie się w bezpiecznym miejscu i czekanie na właściwą chwilę do działania uważał za rozsądne. W gardzie panowało bowiem takie zamieszanie, że chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedział, przeciwko komu dobyć miecza.

Dyragardczycy kończyli odwrót i przygotowywali się do obrony wewnętrznego pasma umocnień. Dolny gród był właśnie grabiony do ostatniego gwoźdźca, a Tattarzy, jak wszyscy padlinożercy, rozpoczęli już pewnie spory o łupy. Jakby tego było mało, zwierzęta zamknięte w obwarowaniach kremla zostały wypuszczone i teraz grasowały po całym gardzie. Wilki i dziczące psy utworzyły sfory i atakowały uciekinierów. Sam pieśniarz o mało nie został zagryziony przez jedną z nich, a zdołał się wymknąć dopiero wtedy, gdy zabił najbardziej zajadłą bestię – szarego wilka z pogryzionymi uszami i połową ogona. Z kolei niedźwiedzie uczyniły się władcami grodu i prychały na każdego, kto wszedł im w drogę. Najwięcej popłochu wzbudzały jednak wielkie koty, które zakradały się do domów i porywały najsłabszych mieszkańców – kobiety i dzieci – mądrze wzgardzając kościstymi starcami.

Östmad przypuszczał, że sprawcami wypuszczenia potworów byli hamramirzy, którzy musieli się jakoś przedostać do górnego gardu. Wszak od początku taki mieli plan – zrobić zamieszanie, zabić Tirusa i wykraść córkę Kola.

Ainar rozejrzał się po wnętrzu. Przez małe okienko wpadało niewiele światła, więc nawet gdyby było tu coś ciekawego do oglądania, niewiele zobaczyłby w półmroku.

– Towarzystwo zawsze cieszy.

Skald wyszarpnął miecz z pochwy, szukając mówiącego. Wzrok utkwił w leżącej w rogi pomieszczenia stercie resztek koszy, która zaczęła się poruszać. Hag zganił się, że wcześniej nie dojrzał zagrzebanego tam

chłopca, choć usprawiedliwiało go to, iż z wiklinowego kopca wystawała jedynie głowa, schowana pod słomkowym kapeluszem, który w tym świetle wydawał się kolejnym koszem.

Od razu poznał wyrostka. Kościsty młodzieniec był nagi od pasa w górę, a na jego twarzy widniał uśmiech, który zmagał się z sennością. Wesoły Ilja – przypomniał sobie jego imię, a także to, że chłopak uratował go kiedyś przed zemstą skogarmadów.

– A gdzie twój futrzasty przyjaciel?

– Mieszko musiał odejść, bo tu nie jest bezpiecznie – odpowiedział wesołek i na krótką chwilę posmutniał. Zaraz rozpromienił się jednak i dodał: – Ale z pewnością nic mu nie jest i wypoczywa w lesie.

– Oswojony niedźwiedź sam w dziczy? Pewnie ktoś cieszy się teraz z nowego futra na zimę.

Ilja ściągnął kapelusz i podrapał się po czuprynie. Słowa Vaeringa nie zepsuły mu nastroju.

– Nie. Osobiście odprowadziłem go do matecznika i wylizałem mu rany. Za dwa dni będzie jak nowo narodzony miś.

Pieśniarz szczyił się tym, że był ulubieńcem Göllnira. Dlatego z tyłu głowy miał miejsce, gdzie spoczywały dary wrzeszczącego boga – natchnienie i przecucie. Teraz z tego miejsca dobywał się ogłuszający krzyk, który ostrzegał, że coś jest nie tak. Już wcześniej wyczuwał, że w chłopcu było tyle zwyczajności, co w latającym wielorybie, ale wtedy zwałił tą niezwykłość na karb jego dziwacznej przyjaźni z niedźwiedziem. Poeta po raz kolejny przyjrzał się wyrostkowi, tym razem szukając cech, które potwierdziłyby jego przecucie. Zmierzwione blond włosy, które zakrywały mu uszy i spadały na oczy. Twarz pociągła i roześmiana. Kościste ciało smukłe i umięśnione, jakby wyćwiczone całodziennymi biegami po lasach. Wesołek był samotnikiem o nieznanym pochodzeniu, a zachowywał się tak – kował słów dopiero teraz sobie to uświadomił – jak mały niedźwiadek, który nieustannie chce się bawić.

– Kim jesteś? – zapytał, bo zawsze należało spróbować poszerzać wiedzę po dobroci, zanim przejdzie się do prób uzyskiwania odpowiedzi

za wszelką cenę, a raczej za wszelki ból krnąbrnego rozmówcy.

– Nie wygłupiaj się, pieśniarzu. Przecież spotkaliśmy się już wcześniej. Jestem Wesoły Ilja, który potrafi zrobić tak.

Chłopiec przyłożył palec wskazujący do ust i wydmuchując powietrze, zagrał na wargach, wytwarzając przeciągłe „brrrr” i plując dookoła. Wyglądało to przezabawnie i nawet kąciki ust Ainara powędrowały w górę, choć na widok jego uśmiechu nie stopniałby nawet poranny szron, nie mówiąc już o jakichkolwiek lodach.

Hag oddał cześć Grimnirowi i zmienił maskę. Ponownie przybrał groźną minę, mocniej ścisnął miecz i wskazał sztychem pierś rozmówcy.

– Wielu konungom służyłem swoją mądrością, więc docień moją radę. Zapomnij o tej głupkowatej wesołości i wyśpiewaj mi po dobroci pieśń o sobie. Jestem skaldem, ale dla odmiany lubię czasem posłuchać ciekawej opowieści. I uwierz mi, że nie spodoba ci się, gdy ja i mój miecz wesprzemy twój poetycki dar.

Chudzielec popatrzył na wojownika szeroko otwartymi oczami, po czym roześmiał się, jednocześnie roniąc łzy.

– Przez chwilę Wesoły Ilja uwierzył, że pieśniarz chce zastraszyć małego chłopca. Ale Ilja musi być wesoły, bo rozweselanie ludzi to jego umiłowane zajęcie. Zresztą gdy chłopiec robi się smutny, to chce mu się spać. A gdy Ilja śpi, inni ludzie miewają koszmary.

– O białym niedźwiedziu?

Młodzieniec znów się zaśmiał i przytaknął głową.

– Skald rzeczywiście nie tylko z języka, ale i z uszu potrafi zrobić użytek. Gdzie o tym słyszałeś?

– Nigdzie i wszędzie.

Było to prawda. Szukając schronienia, rozmawiał z kilkoma uciekinierami, którzy uzupełnili jego wiedzę o upadku dolnego gardu. Podobno o wszystkim zdecydowały dwa wielkie niedźwiedzie – biały i brązowy – które zabiły setkę obrońców i przegryzły główną bramę grodu. Nikt jednak nie domyślał się, że Ilja miał z tym coś wspólnego.

– Och, zagadki, uwielbiamy z Mieszkiem zagadki, choć on zawsze pyta, co jest okrągłe, słodkie i wabi pszczoły. Dlatego ciągle z nim wygrywam, bo o plaster miodu mu chodzi. Ty jednak jesteś trudniejszym przeciwnikiem. Stawiam na Mōdula – on musiał ci o nas opowiedzieć.

Östmad uniósł prawą brew i nią zakołysał. To, że wesolek wymienił imię karła, było więcej niż ciekawe.

– Nie. Zgaduj dalej – zachęcił wyrostka, mając nadzieję na kolejne odkrycia.

– To może Haukrhedin? Hamramirzy potrafią wyczuwać takie rzeczy.

– I tym razem pudło.

Chłopiec zrobił zamyśloną minę, po czym roześmiał się i pacnął dłonią w czoło.

– Dałem się łatwo oszukać. Pewnie sam się tego domyśliłeś. W końcu jesteś Vaeringiem, a ponoć na Północy można jeszcze spotkać takich jak ja.

– Tak. Słyszałem o takich, którzy są *eigi ein hama*<sup>[17]</sup>. Jesteś kimś w rodzaju hamramira?

Ilja zareagował tym co zwykle – śmiechem.

– Czy wyglądam na wojownika? A czy oni znają zabawne sztuczki?

Obrócił się tyłkiem w stronę Ainara i zepsuł powietrze tak, jakby właśnie zjadł miskę grochu. Następnie wyprostował się, zdjął kapelusz i zaczął się nim wachlować. Gdy to nie pomogło uporać się ze smrodem, zatkał nos palcami, wstrzymał oddech i padł nieprzytomny na klepisko.

Skald, któremu rozbawienie przyćmiło umysł, poniewczasie zorientował się, co się dzieje. Z ciała młodziana wyskoczył biały niedźwiedź.

Pieśniarz cofnął się i oparł o ścianę. Żałował, że nie miał włóczni, bo krótkim mieczem, jaki trzymał w dłoni, mógł co najwyżej przypilować bestii pazury. Zdenerwowany miś zrobił dwa susy, a znalazłszy się przed poetą, niedbale trącił łapą wyciągnięte ostrze.

Hag poczuł ból w całej ręce, nie mógł więc nic poradzić na to, że broń wypadła mu z dłoni. Znalazł się na łasce potwora, ale ten okazał się litościwy. I najwyraźniej szalony.

Niedźwiedź rozwarł paszczę w bezgłośnym ryku i stanął na tylnych łapach. Okazał się olbrzymi, dwa razy wyższy od składacza strof, więc rąbnął łbem w belkę podtrzymującą dach. Jeśli odczuł ból, w żaden sposób tego nie okazał. Zakrył sobie za to oczy przednimi łapami, jakby przeproszał Ainara za wyrządzoną mu krzywdę, po czym zgarbiony zaczął iść do tyłu, kierując się ku nieprzytomnemu chłopcu. Na miejscu padł grzbietem na młodzieńca i zniknął w jego ciele.

Ilja wstał, uśmiechnięty jak zawsze i ponownie nałożył kapelusz na głowę.

Skald odsunął się od ściany i podniósł miecz, próbując ukryć porażkę odniesioną na polu odwagi. Obiecał sobie, że nie da się ponownie zaskoczyć i jeśli wyrostek choćby przymknie oczy na trzy uderzenia serca, to go zaszlachtuje.

– Zatem jesteś śniącym, w którym mieszka hamingja niedźwiedzia? Niewielu czarowników potrafi władać takim duchem wedle swojej woli.

– Trudne te słowa. U nas coś takiego nazywają oborotniczym. Duch białego misia od zawsze we mnie mieszkał. Podobno zawdzięczam to matce.

– Była seidkoną?

– Kim? Zresztą nieważne. I tak jej nie znałem. Wśród smerdów krąży jednak opowieść o Berze, pierwszej żonie naszego wspaniałego kagana, Tirusa Wielkiego, która zakochała się w niedźwiedziu...

Pieśniarz oczywiście słyszał o pierwszej żonie konunga – sam władca mu o niej powiedział. Ale mówiąc uczciwie, nie za bardzo się nią zainteresował i nikogo nie pytał o losy tego małżeństwa. W końcu był skaldem, a nie bardem lubującym się w miłosnych opowiastkach. Zanosilo się jednak na to, że tym razem będzie musiał wysłuchać ckliwej historyjki.

– ...Podobno nigdy nie było miłości między małżonkami, ale szanowali się wzajemnie, bo Tirus był wówczas sprawiedliwym władcą, a ona posłuszną żoną, znającą swoje obowiązki. Oboje miłowali zwierzęta, więc żeby umilić żonie czas, kagan ściągał dla niej dzikie stworzenia ze wszystkich krańców świata. Pewnego razu podarował jej wielkiego

białego niedźwiedzia z Północy, a Berze tak spodobał się miś, który był wobec niej potulny jak baranek, że zaczęła z nim spędzać więcej czasu niż z mężem, zapominając o domowych obowiązkach. Ludzie zaczęli gadać, że przedkładała też niedźwiedzie legowisko nad małżeńskie łożo. Konung okazał się jednak wspaniałomyślny i wyprawił na cześć żony ucztę, by jej przypomnieć, jak wielkie ma u niego poważanie. Specjalnie dla niej kazał przygotować niezwykle danie: serce zapiekane w czerstwym chlebie i piwie. Wszyscy inni raczyli się pieczenią oraz pajdami chleba z miodem i smalcem. Bera, przekonana, że spożywa serce wołu, zjadła wszystko ze smakiem. Z czego tak naprawdę przygotowane zostały potrawy, dowiedziała się pod koniec uczyty, kiedy kagan nałożył na jej ramiona wspaniałe białe futro i oznajmił, że od teraz i niedźwiedź może być stale przy niej, i ona może godnie służyć swojemu mężowi. Bera padła wtedy zemdlona i wkrótce okazało się, że jest przy nadziei. Resztę ciąży przeleżała w łożu, a zmarła, rodząc dwóch potomków: chłopca o blond włosach i brązowego niedźwiadka. Władca Dyragardu wpadł we wściekłość, oskarżył zmarłą o zdradę i kazał wynieść do lasu oba noworodki. Nikt nie wie, co się z nimi stało, ale wieść niesie, że po tych wydarzeniach Tirus kazał zamknąć wszystkie zwierzęta w klatkach wbudowanych w umocnienia kremla i zaczął je wykorzystywać do karania przestępców.

Östmad przyjął te słowa ze spokojem, choć kilka razy korciło go, by przerwać tyradę i wyśmiać jej nedorzecznosc. Na Północy słyszał wiele takich historii, a najpopularniejszą była saga o Bödvarze Bjarkim, który miał być synem mężczyzny zakłętego w niedźwiedzia. Hagowi też zdarzało się igrać z ludzką ciemnotą i wciskać słuchaczom zmyślone opowieści, ale nie znał wielu, którzy uwierzyliby w słowa chłopca. Kobieta miała powić niedźwiedzia? Doprawdy musiałyby być grubą włochatą trollicą, by jakiś miś się na nią skusił. Zresztą na Północy już trzyletni smarkacze wiedzą, że tak jak zabijanie zaczyna się od wyciągnięcia miecza z pochwy, tak życie tworzy się, chowając go do pochwy. To jedyne czary zdolne powołać do życia rozwrzeszczane bachory, a choć kobietom podczas ciąży rosną brzuchy, to z pewnością nie od jedzenia niedźwiedziego mięsa, tylko od



męstwa i odwagi, jakimi napełniają je drengowie.

Tylko sprawa zjedzenia serca wydawała się zastanawiająca i wskazywała, że w opowieści może tkwić okrucieństwo. Kowal słów wiedział, że krew i wnętrzności przyciągają spragnione duchy, dlatego niektórzy biegli w trollskapie spożywali je, by zawładnąć mocą przybyszów z tamtego świata. Niewykluczone, że zjedzenie serca białego niedźwiedzia zwabiło haminję w tej właśnie postaci, która zamieszkała najpierw w kobiecie, a potem w jej dziecku.

– Zatem uważasz się za syna Tirusa?

– Ja? Przecież mówiłem, że nie znam swoich rodziców. Ale Mödul twierdzi, że tak właśnie jest.

Rzeczywiście, nie dało się tego wykluczyć, ale też trudno byłoby to udowodnić. Ilja w niczym nie przypominał konunga ojca, a i właściwy Północy sposób na udowodnienie swojego dziedzictwa – czyli wyrąbanie sobie mieczem drogi do ojcowizny – był niedostępny dla młodzieńca chlerawego i niespełna rozumu. Jeśli jednak chłopak był Tirussonem<sup>[18]</sup>, Ainar mógł się tylko domyślać, co tak naprawdę zaszło między jego rodzicami. Bera może i miała ulubionego niedźwiedzia i zjadła jego serce na uczcie – o słabości kagana do wyszukanych dań wiedział przecież każdy – ale bachora zrobił jej jakiś kochanek. Gdy powiła syna, władca Dyragardu nie uznał go i postąpił podobnie, jak robiło się na Północy – zostawił go w lesie, by karły, trolle i andi wzięły go do swoich siedzib. Takie domysły ludzi oraz śmierć matki w połogu wystarczyły, żeby historia nabrała własnego życia i została wzbogacana o ludową prawdę. A chłopak? Większość dzieci pewnie nie przeżyłaby trzech dni w lesie, ale mały Ilja miał w sobie ducha białego niedźwiedzia, który opiekował się nim podczas snu, a jeszcze znalazł mu do zabawy małego brązowego misia.

Oczywiście wyrostek mógł być też tylko przybłądą, miejscowym głupkiem, którego podstępny karzeł wykorzystał do swoich celów.

– Zatem zemsta. Wesoły Ilja zrobił psikusa tatusiowi i pomógł zdobyć gród jego największemu wrogowi.

Chłopak spojrzał na Ainara, jakby ten właśnie mu powiedział, że krowy

srają bratkami, po czym ziewnął niebezpiecznie.

– Zemsta? No tak, wy na Północy tylko w ten sposób rozwiązujecie problemy. Ale ja nie wiem, co to znaczy...

A córka Gefny nie wie, do czego służą cycki – pomyślał pieśniarz, ale tylko uniósł brew, zachęcając wesołka do mówienia.

– ...Ja mam Mieszka, a on ma mnie. Chleba mi nie brakuje, a skogarmadowie i dyragardczycy uważają mnie za dawcę szczęścia. Nie mam powodu się mścić, ale pomagam, gdy ktoś poprosi. Zwłaszcza że zgadzam się, iż kaganowi należy się kara za to, jak traktuje zwierzęta i ludzi.

– A powiedz, wiesz, gdzie w lesie rosną takie piękne czerwone grzybki z białymi plamami?

– Oczywiście. Czasem je suszę i przegryzamy je sobie przed snem razem z Mieszkiem. A co, też chciałbyś spróbować?

Zdarzyło się Ainarowi ich „spróbować”, wiedział zatem, że nawet najprzedniejszy trunek nie zbliża tak mocno do boga jak te grzyby. Ofiarnicy, którzy jadają je regularnie, na stałe tracą kontakt ze światem ludzi i nawet na jawie kroczą z duchami. Jeśli chłopak jadał je często, oba światy mogły mu się mieszać, a w związku z tym do jego słów należało podchodzić tak, jak do przechwałek wyrostka po pierwszej nocy z kobietą.

– Nie, nie. Wolałbym się dowiedzieć, co dokładnie powiedział ci Mödul i kiedy się z nim spotkałeś.

– Tego nie mogę zdradzić. Karzeł wyraźnie powiedział, że to tajemnica naszej trójki: jego, Mieszka i moja.

Chwila oporu w końcu nadeszła. Zawsze nadchodziła, gdy Skald grzecznie pytał. Zwykle kowal słów łamał opór rozmówcy, łamiąc mu jakąś kość. W tym jednak wypadku wskazana była ostrożność, bo chłopak nie mógł zemdleć z bólu.

– Nie bądź taki. Przecież ja też jestem po stronie Kola Małego. Mödul mnie tutaj przysłał.

– Nikt już nie jest po stronie Kola. Nie wiesz, że władca Treborga

poległ?

Wieść o tym krążyła po gardzie, ale poeta nie dawał jej wiary. Podczas każdej bitwy czy oblężenia dowódca przeciwnej armii umierał kilkakrotnie, a przynajmniej taką pogłoskę rozsiewano, by wzmocnić odwagę własnych ludzi.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

Ilja roześmiał się, podważył kapelusz dłonią i postukał się palcem w skroń.

– Racja. Wybacz głupcowi. Sam nie wiem, skąd się bierze ta cała mądrość w mojej głowie. Przecież przespałem całe oblężenie! Śniło mi się jednak, że twój przyjaciel Ali Czarny Berserk ścina najwyższe drzewo na placu boju.

Młodzian go zawstydził. Östmad miał ochotę podnieść miecz i walnąć się głowicą rękojeści w głowę. Przeczucie mu mówiło, że Wesoły się nie myli, przecież ulubioną rozrywką norn było plątanie nici, którymi wyszywały tkaninę życia haga.

Cały jego plan – przeczekanie w domu wikliniarza, aż górny gard również zostanie zdobyty, a on będzie mógł wykraść Ingigerdę – runął w gruzach. Wobec śmieci Kola mały kagan z wielkim imieniem wygrał wojnę, nie wychylając nosa ze swojej wieży. Skald stał się więźniem swojego sprytu, który przyprowadził go do tej ziemianki. Obecnie opuszczenie górnego gardu byłoby szaleństwem, a jeśli wojsko Kola – nawet bez dowódcy – nie przystąpi do oblężenia i nie zajmie czymś obrońców, żadna kryjówka w mieście nie będzie dla niego bezpieczna. Jedynym ratunkiem wydawało mu się znalezienie sposobu na powrót do łask Tirusa. Gdyby tylko znalazł kogoś, na kogo dałoby się zrzucić winę za upadek dolnego gardu. Spojrzał na Wesołego Ilję i uśmiechnął się chytrze. Najpierw musiał wycisnąć z niego tyle informacji, ile tylko zdoła.

– Skoro pan Treborga nie żyje, nie jesteś mu już nic winien. A wiadomo, że Mödul to tylko głos zabitego konunga.

– No, nie wiem. Mieszko nigdy ci nie ufał.

– Ten rozkoszny miś? Zmieniłby zdanie, gdyby poznał mnie lepiej.

Ainar miał pewność, że zmieniłby zdanie – i rzuciłby mu się do gardła, rezygnując z nieufności na rzecz krwiożerczości. Na szczęście Mieszko był tylko bezrozumną bestią, do tego nieobecna.

– Ale już nie będzie miał okazji. Zwierzęta są mądrzejsze od ludzi, bo nie rozmawiają zbyt wiele.

– Słuchaj, chłopcze. Mogę ci pomóc. Powiedz mi, co wiesz, a może znajdę sposób, by wyprowadzić nas obu z gardu. Bo tutaj na pewno nas znajdą.

Chudzielec podrapał się po nosie i wystawił język.

– No dobra. Powiem, ale tylko wtedy, gdy i ty udzielisz mi kilku odpowiedzi.

Miał wyrostka w garści, Skald był tego pewien, nawet jeśli sam dzieciak jeszcze o tym nie wiedział. Umysł wesołka już się poddał, choć usta stawiały jeszcze warunki, by głowa mogła się z tym pogodzić.

– Konungowie zwykli płacić pierścieniami za moje słowa, ale niech stracę. Zgoda.

– Zagramy zatem w pytania i odpowiedzi! – ucieszył się Ilja i klasnął w dłonie. – Ja pierwszy, ja pierwszy.

Poeta lekkim skinieniem głowy zgodził się na to małe ustępstwo.

– Dlaczego boisz się ciemności?

Pieśniarz zmrużył oczy i rzucił chłopakowi wściekłe spojrzenie. Nikomu oprócz karła nie mówił o swoich problemach ze wzrokiem.

– Miałeś pytać, a nie powtarzać łgarstwa. Ostatniego, który zarzucił mi bojaźń, wrzuciłem do dołu ze żmijami. Ciemność czy jasność nie ma dla mnie znaczenia, bo mój tir błyszczy w każdych warunkach niczym świeżo wypolerowane ostrze.

– Myślałem, że gramy na poważnie i udzielamy prawdziwych odpowiedzi.

– Zarzucasz mi kłamstwo?

– Ja? Nigdy. Mówię tylko, że przed samym sobą ukrywasz prawdę. Gdy nocą biały niedźwiedź idzie na spacer z Mieszkiem, widzi, kto dobrze sypia, a kto tylko przymyka oczy w oczekiwaniu na poranek.

– Wystarczy tych bzdur. Teraz moja kolej. Kiedy ostatnio widziałeś się z Mödulem?

– Nigdy się z nim nie widziałem. Czasem mi się jednak śni. Karzeł znalazł kiedyś białego misia, gdy ten spacerował nocą po lesie, i wyjaśnił mu, że mogę być synem Tirusa. Od tego czasu biały niedźwiedź odwiedza nocami doradcę Kola, a niekiedy spotyka się też z niedźwiedzim hamramirem. Berhedin lubi Mieszka i mojego białego misia.

Hag w zasadzie mógł się tego domyślić. Słowa wyrostka tłumaczyły, jakim sposobem od razu o wszystkim wiedział.

– Teraz ja, teraz ja! – zawołał Ilja, podnosząc rękę. – Ile kolców ma jeź? Pytanie było niedorzeczne jak gęś w beczce ze śledziami.

– Nigdy nie liczyłem. Ale wystarczy ich, by ukłuć niedźwiedzia w zad.

– Rzeczywiście! Kiedyś Mieszko na takim usiadł i pół dnia musiałem wyciągać z niego kolce.

– Moja kolej. Co dokładnie zlecił ci Mödul?

– Trochę tego było. Najpierw powiedział niedźwiedziowi, byśmy pomogli nieznanemu z Północy, który wrzuci nam spinkę do kapelusza. Czuwaliśmy więc nad tobą i twoimi przyjaciółmi, gdy podróżowaliście przez las.

„Ufaj w złe zamiary wrogów, wątp w życzliwość przyjaciół” – powtarzała mu babka, prawdziwie mądra kobieta. Kował słów nie dowierzał słowom chłopca. Nikt nie mógł być tak przebiegły i tak głupi, by bawić się Skaldem. Ale jeśli wioskowy głupek powiedział prawdę, wynikał z tego tylko jeden wniosek. Kol Mały od początku wszystko zaplanował. Tylko po co dbał o bezpieczeństwo poety? Przecież on i jego towarzysze byli jego wrogami, chcieli odebrać mu córkę. A kagan wydawał się bardzo przejęty losem Ingigerdy i chwycił się każdej okazji, by ją odzyskać: właśnie dlatego pozwolił Alemu wykonywać próby,

a potem poszedł na układ z pieśniarzem. Jego miłość do córki musiała być szczerą. Ainar rozumiał, że umykało mu coś małego. Dosłownie małego. Mödul.

Teraz cała sprawa wydała mu się tak oczywista jak to, że ryba lubi pływać. Kobieta stanowiła tylko pretekst – choć nie dla swojego ojca. To karzeł dążył do wojny, co więcej, za plecami Kola Małego. Musiał tylko usprawiedliwić jej wybuch przed kupcami i samym władcą. A kto nadawał się do tego zadania lepiej niż pewien obcy z Północy, o którym wiadomo, że dla srebra i pięknej kobiety zrobi wszystko? Kiedy Skald podróżował stepem, Mödul rzucił na niego złe oko, nakazując mu ukraść zapinkę, by dzięki niej mógł nawiązać pierwszy kontakt ze szpiegiem. Tym samym urokiem zachęcił Ainara, by zgodził się na wyprawę do Treborga. A Skald popisowo dał się wrobić w porwanie, podczas gdy Ali na oczach wszystkich zawiódł w próbach. Każdy wspaniale odegrał swoją rolę w przedstawieniu karła.

Pieśniarz wykrzywił usta w ponurym uśmiechu. Podobnie szczerzył się kat, prezentując skazańcowi zdartą z niego skórę. Östmad przypomniał sobie, jak odplacił pewnemu opatowi, gdy ten próbował nim kierować, i poczuł krwiożercze zadowolenie. Göllnir krzyknął mu do ucha, bo bóg skaldów lubił twórcze zabijanie.

– Drzazga jest mniejsza od drzewa, ale to ona potrafi ukłuć – wyrwał go z rozmyślań Ilja.

– Co?

– Twoja twarz wykręca się we wszystkie strony, więc uznałem, że zbiera się na burzę w twojej głowie. A my przecież nie skończyliśmy jeszcze naszej wesołej gry w pytania.

Rzeczywiście. Gdy hag się gniewał, jego brwi tańczyły w rytm krzyków Göllnira, wargi wyginały się niczym pysk wilka, a nos marszczył się jak u szarżującego byka. Chłopak miał rację. Jeszcze przyjdzie odpowiedniejsza pora na okazywanie wściekłości.

– Mów zatem. Co potem zlecił ci Mödul?

– Myślałem, że już się tego domyśliłeś. Miałem otworzyć bramę podczas

szturmu.

Vaering wiedział o tym, ale wolał to usłyszeć od chłopaka.

– Teraz ja pytam! Teraz ja! Dlaczego szukasz śmierci?

Nie była to prawda. No, nie do końca. Kruki i wrony nieustannie za nim ciągnęły, bo regularnie je karmił, ale sam raczej szydził z niebezpieczeństwa, a nie szukał ostrza, by się na nie nadziać.

– Zwykle chcemy tego, czego nie możemy dostać.

– To głupie. Śmierć sprawiedliwie traktuje swoich kochanków i każdego kiedyś pocałuje. O tobie też nie zapomni, co prowadzi mnie do kolejnego pytania.

Ainar wiedział już wszystko, co chciał, dlatego choć przypadała jego kolej, skinięciem pozwolił chłopakowi mówić. Przynajmniej tyle był mu winien za to, co zamierzał z nim zrobić.

– Wcale nie chcesz mi pomóc. Chcesz mnie oddać Tirusowi, by ratować własną skórę. Mam rację?

Skald ścisnął rękojeść miecza. Wyrostek był niespełna rozumu, ale umiał lepiej wnioskować niż niejeden myśliciel. Pieśniarz spodziewał się, że Ilja zaraz spróbuje zasnąć.

Dzieliły ich trzy kroki. Poeta, niby od niechcienia, zrobił jeden krok w przód. Chłopak uśmiechnął się do niego, chwycił się za uszy i pokazał język. Chyba w ten sposób ostrzegał, by składacz strof nie zbliżał się bardziej, ale nie zrobił nic więcej.

– To jak? Obiecałeś mi odpowiedź.

– Przecież ją znasz.

– Zatem Mieszko miał rację. Nie powinienem ufać rzeźnikowi mnichów. No cóż – dzieciak wzruszył ramionami – widocznie tak musi być. Pójdziemy teraz czy zdążę się wcześniej zdrzemnąć?

Vaering nieznacznie opuścił miecz. Od szermierzy z dalekiego Vallandu nauczył się, że udając wyprowadzonego z równowagi, można sprowokować przeciwnika.

– Poddaj się. I nie próbuj zasypiać.

Ilja wybuchł śmiechem, aż musiał się chwycić za brzuch. Rechotał tak co najmniej przez dziesięć uderzeń serca, stając się łatwym celem. Hag nie chciał jednak zabijać chłopca, jeśli nie byłoby to konieczne, bo martwy nie przemówiłby w jego obronie. Wesołek wreszcie otarł łzy i zwrócił się do Östmada:

– Rzeczywiście, jesteś tak zabawny, jak mawiają. Ja i walka? Nie dałeś się chyba nabrać na te moje zapasy z Mieszkiem? Tylko udawaliśmy! Ja jestem od bawienia ludzi, nie od zabijania. Jeśli chcesz zabrać mnie do kagana, nie będę się sprzeciwiał.

Skald nie był blotmadem – człowiekiem często składającym ofiary – i nie służył z przesadnej wiary w bogów. Jeszcze mniej wierzył ludziom, bo jeśli rzeczywiście zostali stworzeni na boskie podobieństwo, ich pierwowzorem musiał być Lopt, władca kłamstw.

– I chcesz mi powiedzieć, że nie obawiasz się Tirusa Wielkiego, którego zdradziłeś, a jego gród oddałeś na pastwę Tattarów?

– Mały kagan może się trochę gniewać, ale przejdzie mu zły nastrój, gdy go rozśmieszę. Potrafię bowiem zrobić tak.

Ainar skoczył do przodu ze wzniesionym mieczem, ale zaraz się cofnął, bo młodzieniec wcale nie kładł się do spania. Zamiast tego stanął na rękach, potem na samych końcach palców i w końcu zaklaskał bosymi stopami w powietrzu. Wyglądało to bardzo zabawnie.

## 43

Z czaszki da się zrobić kielich, jeśli oczodoły i otwór po nosie zalepi się roztopionym srebrem, o czym dobrze wiedzieli choćby Tattarzy. A co pożytecznego można zrobić z całą głową?

Nabicie na włócznię i ustawienie jej w widocznym miejscu, ku przestrodze obcym, zawsze się sprawdzało, było jednak nieco pospolite. Podarowanie spadkobiercom zabitego jego głowy w koszu było z kolei



w dobrym guście, ale w ten sposób zwycięzca pozbywał się niecodziennej pamiętki. Zresztą w takim wypadku musiał istnieć ktoś, komu można by czerep odesłać. Z kolei tradycyjne pochowanie odciętego łba wroga razem z resztą ciała pokazywało, że zwycięzca jest wspaniałomyślny i łaskawy, ale mogło też zostać odczytane jako oznaka jego słabości wyrażonej poprzez litość. Istniał wszakże sposób, by połączyć bezwzględność z szacunkiem wobec zwłok. Wymyślili go Serklandczycy, choć akurat oni uznawali ten pochówek za honorowy. Budowało się drewnianą platformę, na której umieszczano się ciało wraz z głową. I tak zostawiało. Deszcz, wiatr – a zapewne też spojrzenia przestraszonych poddanych – oddzielały z czasem ciało od kości.

Tirus Wielki, kagan Glaesiru, pan Dyragardu i władca gwiazd, prawdopodobnie wiedział o tych wszystkich metodach traktowania głowy, ale wymyślił coś innego, bo jego wyobraźnia była tak wielka, jak długi był wąż Bida. Kazał przez całą noc moczyć łeb w beczce soli i przygotować drewnianą skrzynkę bez bocznych ścian, za to z solidnym dnem i wierzchem. Nazajutrz osobiście wstawił do tejże ramy zasoloną głowę i całość umieścił przed swoim öndvegi. Twarz ofiary skierowana została wprost ku zgromadzonym w sali. Władca otrzymał w ten sposób zgrabny podnózek, a swoje przykrótkie nóżki konung mógł wreszcie oprzeć na głowie pokonanego, a nie, jak dotąd, merdać nimi w powietrzu.

W sali panował tłok. Wodzowie pokonanych – choć udawali jeszcze zwycięzców, wszak zdobyli miasto – przybyli pokłonić się Tirusowi Wielkiemu i wynegocjować warunki pokoju. Ali widział ich dokładnie, bo stał na podwyższeniu, za oparciem siedziska kagana. Blamad stał pewnie, w rozkroku, odziany w nową skórę pręgowanego kota i z Ludożercą u boku. Promieniał spokojem, dumą i okrutną siłą, które nakazywały poważnie się zastanowić przed podniesieniem ręki na konunga i siedzącą obok jego żonę. Wyznawca Wertragny odzyskał swoje stanowisko i znów był pierwszym gridinem, tarczą broniącą swojego pana i mieczem wymierzonym w jego wrogów.

Czarny Berserk rozpoznał część gości, a imiona pozostałych wyłapał

z toczącej się rozmowy. Na czele poselstwa stał Mödul, który po śmierci Kola Małego powstrzymał rozpad armii i nie dopuścił do bratobójczej wojny o łupy. Nietrudno się domyślić, jak zdołał przekonać poszczególnych dowódców – wszak tylko zjednoczeni mieli mocniejszą pozycję w negocjacjach z Tirusem. W zamian za opuszczenie miasta mieli zażądać solidnego okupu, gdyby bowiem zechcieli, mogli jeszcze długo oblegać górny gród wraz z kreml, a nawet zamorzyć obrońców głodem.

Po prawicy karła stał Magnolf, rosły Vaering i przywódca gridu Kola Małego, noszący dumny przydomek Krwawa Siekiera. Skąd wzięło się to miano, wiedział każdy, kto spojrzał na niebieskie topory wytatuowane na policzkach wojownika, oraz na ogromną bojową siekierę o wciąż okrwawionych żeleźcach, którą wódz przytwierdził sobie na plecach.

Przy lewym boku Mödula stróżował Hogni, kolejny Vaering, przywódca najemników z Północy. Nie ustępował Magnolfowi wzrostem, zatem w oczach Alego czarownik wyglądał przy obu dowódcach jak mała świątynia między dwoma minaretami.

Za tą trójką stali przywódcy At-Turków. Togrul dowodzący hordą Baganakijczyków, Krum trzymający na swoim arkanie Bulgarów i Menehem z kańczugiem, przed którym drżeli Chazarowie. Wszyscy trzej byli równie brzydki i właściwie mogliby ograniczyć swoją obecność do jednej osoby, bo po głowach krążyła im tylko jedna myśl: zdobyć jak najwięcej srebra i złota. Nie pozostawiali co do tego żadnych wątpliwości, raz po raz wtrącając do rozmowy:

- Więcej monet.
- Okup musi być wielki.
- Nasze klacze i kobiety potrafią unieść więcej złota, niż dajecie.

Wtórował im przywódca najemników, który domagał się spłacenia swoich ludzi i dawał do zrozumienia, że Vaeringowie służą tylko bogatym panom. Ali pomyślał, że nie trzeba doznawać objawienia od Dżibraila, niebiańskiego wysłannika Allaha, by zrozumieć, że Tirus może kupić ich lojalność za odpowiednią cenę.

O resztki dziedzictwa Kola Małego dbali tylko Mödul i Magnolf, tyle że

ten drugi zazdrośnie słuchał roszczeń najemników, a dochowywał lojalności tylko dlatego, że większość jego ludzi była Odainsakczykami.

– Podsumujmy więc – odezwał się Tirus, wysłuchawszy wszystkich żądań. – Mam zgodzić się, by Tattarzy odeszli ze wszystkimi łupami zdobytymi w dolnym gardzie, oddać im w niewolę tysiąc moich ludzi i dorzucić cztery skrzynie wypełnione srebrem?

– Tak – przytaknęli koczownicy, a jeden z nich dodał: – Połowa tych niewolników ma być kobietami.

– A Vaeringom mam oddać trzy skrzynie wypełnione dirhemami, by spłacić długi kagana pod moimi stopami? – By nie było wątpliwości, o kogo chodzi, konung nacisnął piętami na kraniec skrzynki, przez co jej przód zaczął się poruszać w górę i w dół, a znajdująca się w środku głowa zdawała się potakiwać. – Czy o czymś zapomniałem? A tak. Na znak dobrej woli mam dać jeden wóz ze skarbami Magnolfowi, do rozdzielenia wśród gridinów w zamian za dzielną walkę. Wszystkim Odainsakczykom mam natomiast pozwolić odejść do Treborga i nie niepokoić ich wojną. A co otrzymam w zamian?

– Pokój, o wielki władco gwiazd – trzeźwo odparł karzeł.

– Trochę jednak drogi ten pokój. Nie sądzisz, Ali?

– Bardzo drogi. Zamiast niego możesz mi, panie, zezwolić na dostarczenie materiału do kolejnych podnóżków. – Czarny Berserk odsłonił zaostrome zęby i zmierzył wzrokiem posłów.

Czarownik odpowiedział mu uśmiechem i lekkim skinieniem głowy. Vaeringowie splunęli na podłogę i widać było, że ich ręce rwą się do broni. Koczownicy natomiast, zapewne zajęci przeliczaniem srebra na bydło i konie, nie zrozumieli groźby.

– Do oferty pokoju dorzucę odwołanie hamramirów – zaproponował Mödul.

Tirus Wielki na chwilę stracił dobry nastrój i wykrzywił twarz w grymasie nienawiści. Odrmadowie siali spustoszenie w górnym gardzie, a do tego wykorzystywali zwierzęta kagana, co dodatkowo go

rozwścieczało. Mimo zaprzestania walk bestialscy drengowie mordowali dalej, a nikt nie mógł sobie z nimi poradzić. Cały czas trwała oblawa, ale szaleńcy nie dość, że odznaczyli się nieludzką siłą i szybkością, to jeszcze byli zwierzęco sprytni. Przemykali dachami, barykadowali się w domach i opuszczali je podkopami. Dodatkowo wilki, niedźwiedzie i psy służyły hamramirom jak własnym panom, tworząc ich małą, lecz wściekłą armię.

Ali miał ochotę samemu zająć się zmiennokształtnymi, ale jako pierwszy gridin miał teraz inne obowiązki. O wiele nudniejsze.

– To tylko głupie bestie. Czynią duże szkody, jednak jak każde zwierzę prędzej czy później znajdą się na łańcuchu albo w ziemi. Jakoś sobie z nimi poradzimy. Jeśli chcecie pokoju i okupu, padnijcie na kolana i przyrzeknijcie mi wierność. Inaczej wojna będzie trwać, a przecież dobrze wiecie, że wielu Odainsakczyków widzi we mnie prawowitego władcę. Kiedyś nasze kraje były jednością, a moi przodkowie sprawiedliwie zarządzili najpotężniejszym państwem Wschodu, sprawując pieczę nad całym handlem wzdłuż Itilu. Przed laty ojciec Kola zbuntował się i oderwał Odainsak od Glaesiru, ale teraz jego syn, a mój teść, naprawił ten błąd i padł mi do stóp... – Tirus zrobił przerwę, by zmusić niedawnego wroga do kilkakrotnego przytaknięcia, po czym ciągnął: – Jeszcze kilka dni niepewności, a wasza armia rozpadnie się jak stos drewna pozbawiony podparcia.

– To niemożliwe. Nigdy nie oddamy ci pokłonu – dumnie powiedział Magnolf. – Nie zapominaj, że to my wygraliśmy wojnę i z łatwością zdobyliśmy dolny gród. Nie mogę powiedzieć swoim ludziom, że ich konungiem został znenawidzony wróg.

– Znenawidzony? Wasi ludzie kochają tylko srebro i tych, którzy im je dostarczają. Uznajcie mnie za kagana, a sowicie opłacie drengów, kupcom dam przywileje na handel z Bulgarem i zmniejszę opłaty z tytułu prawa składu. A jeśli chodzi wam tylko o zachowanie twarzy przed poddanymi, możecie pokłonić się nie mnie, a mojej żonie. Jest przecież córką Kola Małego i spadkobierczynią Odainsaku.

Spojrzenia wszystkich przeniosły się na Złotowłosą, która siedziała na

stołku po prawej stronie męża i słuchała rozmowy z podziwu godnym opanowaniem. Ali współczuł jej, że musi uczestniczyć w tym przedstawieniu, mając głowę ojca na wyciągnięcie nogi.

Czarny Berserk wspomniał dzień wczorajszy. W bitwie zabił Kola, wygrywając wojnę dla Tirusa. Potem przebił się do górnego gardu, co wcale nie było takie trudne. Głowa kagana, którą trzymał za włosy w wyciągniętej ręce, działała jak czarodziejska różdżka – napotkani ludzie rozstępowali się przed nim, przerażeni jego wściekłością, nawet wojownicy Kola nie mieli ochoty mścić swojego pana. Spuszczali tylko wzrok i usprawiedliwiali swoje tchórzostwo koniecznością walki z innymi przeciwnikami.

Słońce całkiem już zaszło, kiedy wytatuowany drużynnik wkroczył do wieży, gdzie zastał Tirusa wykrzykującego rozkazy i próbującego zorganizować obronę górnego gardu. Muhammad, Bida i Wertragna ukarali go za występki i sprawili, że Ingigerd też tam była. Wolały jej zaoszczędzić tego widoku i ukryć przed nią swoje własne bestialstwo, które zgotowało jej ojcu tak straszliwy los. Blamad rzucił im obojgu pod nogi głowę Kola, na co kagan zareagował szaleńczym tańcem i radosnymi okrzykami, a Ingigerd zanosła się płaczem i zemdląca.

„Nigdy nie wątpiłem w mojego najznakomitszego gridina. Przywracam ci wszystkie honory, a nawet więcej! W nagrodę za tę głowę daruję ci kulę złota wazącą nie mniej niż ten odcięty czerep – powiedział wtedy Tirus i dodał: – Uczyni mi jeszcze jedną przysługę i odnieś moją słabowitą żonę do jej komnaty”.

Odniosł więc, kogo miał odnieść, choć z powodu utraty sił, zwykłej po odejściu szału bojowego, dziewczyna wydawała mu się ciężka jak worek kamieni. Kiedy tylko znaleźli się sami, Złotowłosa ocknęła się i zmusiła go, by postawił ją na nogi. „Jak mogłeś zabić mi tatusia? – powiedziała, pochlipując. – Myślałam, że akurat tobie mogę ufać”. „To męskie sprawy, dziewczyno. Honor Czarnego Berserka się tego domagał” – wyjaśnił, choć nie podejrzewał, by zrozumiała. „Ty podły czarny łotrze!” – krzyknęła i zaczęła bić piąstkami w jego zakrwawiony tors. A potem pocałowała

gridina, nie potrafiąc ukryć chichotu. Widocznie była szalona. Ale Blamad nie zastanawiał się wtedy nad tym, tylko odwzajemnił pocałunek, chłonąc zapach złotych włosów i smakując krwiste wargi. Bitewna aesma już go opuściła i czuł się słaby jak starzec, ale dziewczyna potrafiła sprawić, by poczuł się mężczyzną. Po raz pierwszy od lat miłował kobietę, nie gniewając się przy tej burzącej krew w żyłach czynności.

– Chwileczkę – odezwała się Ingigerd, przeganiając wspomnienia z głowy wodza drużyny przybocznej i skupiając na sobie uwagę wszystkich gości. – Wybaczcie białogłowie, że się wtrąca, ale zapominacie chyba o jednej ważnej osobie. O Rognedzie, żonie Kola Małego i mojej matce. Chyba przed nią powinniście się kłaniać w pierwszej kolejności.

Tirus Wielki z wściekłością obrócił się w stronę żony. Z pewnością nie należał do osób, którym można bezkarnie płatać układy. Nim zdążył jednak skarcić żonę, do rozmowy wtrącił się Mödul.

– Wybacz, pani. Myślałem, że wieść o tej strasznej tragedii już do ciebie dotarła. Rogneda pchnęła się nożem, gdy usłyszała o śmierci męża, by móc mu służyć również w Gmaszysku Zarżniętych.

Ingigerd uroniła kilka łez, które jednak szybko otarła rękawem sukni i oznajmiła:

– Dzielna kobieta. Niech jej przykład będzie wzorem dla nas wszystkich, pokornych żon, jak powinniśmy służyć naszym mężom.

Wobec takiej odpowiedzi kagan nie mógł się dłużej gniewać, tym bardziej że Magnolf wtrącił zaraz coś, co było po myśli konunga:

– Nie jest wstydem dla drenga pokłonić się przed piękną i mądrą kobietą. Zaiste Ingigerd Złotowłosa będzie wspaniałą władczynią.

Kolsdottir odpowiedziała mu uprzejmym skinieniem.

– Ale jak będzie z tym okupem? – przypomniał o sobie dowódca najemników. – Zgadasz się na nasze warunki?

– No nie wiem. Jaki okup uznałbyś za stosowny, Ali?

Blamad nie miał jednak ochoty dać się wciągać w żadne targi.

– Ujście z życiem będzie sprawiedliwe.

Tirus roześmiał się i potrząsnął głową leżącą pod swoimi stopami.

– Macie szczęście, że to nie mój gridin prowadzi z wami układy. On jest najlepszym przykładem, że nawet berserka da się oswoić i związać niemi wierności, by swój gniew i bezwzględność kierował tylko przeciw wrogom swego pana. Będę jednak wspaniałomyślny i dam skrzynię srebra koczownikom, a drugą Vaeringom, jeśli zgodzą się mi służyć.

– Wykluczone! – krzyknął jeden z At-Turków, a inny dopowiedział: – Chcemy po jednej skrzyni dla każdego!

Targi trwały długo, lecz Ali niezbyt uważnie im się przysłuchiwał. Wiedział, że na ogół samo ich podjęcie zapewniało pomyślne zakończenie rozmów. Wierzył, że i tym razem zgoda była nieunikniona, skoro niedawni wodzowie Kola zgodzili się pokłonić Ingigerdzie, a koczownicy chcieli po prostu wrócić z łupami na swoje pastwiska.

Stańto na dwóch skrzyniach pełnych dirhemów dla Tattarów i zgodzie na wzięcie do niewoli tych, którzy i tak zostali już złapani. Vaeringowie z kolei zgodzili się przejść na służbę Tirusa w zamian za jedną skrzynię i trzecią część udziału we wszystkich przyszłych łupach zgromadzonych na wojnach z ich udziałem.

Mödul zadowolił się stanowiskiem nadzorcy kupców w Treborgu, a Magnolf dostał obietnicę, że on i jego gridini będą mogli zostać w Drzewnym Grodzie i służyć wyznaczonemu przez Tirusa namiestnikowi. Obaj, a z nimi dowódca najemników, ukłękli przed Ingigerdą, a wtedy władca Dyragardu dodatkowo ich upokorzył, obracając uciętą głowę w ten sposób, by jej martwe oczy spoglądały z wyrzutem na byłych poddanych.

Wytatuowany gridin odwrócił oczy, bo uważał, że ludzi dumnych lepiej zabić, niż upokorzyć. Konung też musiał uznać podobnie, gdyż nie pozwolił klęczącej trójcy zbyt długo tkwić w hańbie. Nazwał ich swoimi przyjaciółmi i szybko kazał powstać. Natomiast Ingigerd wręczyła im złote obręcze naramienne na znak opieki, jaką nad nimi od tej chwili roztacza. Ci przyjęli podarunki i przysięgli służyć władczyni Treborga.

Kagan został tylko jeden, natomiast między Glaesirem a Odainsakiem zapanował pokój. Wtedy jednak do sali wkroczył najbardziej bezczelny



i zakłamanym człowiekiem, jakiego Ali spotkał w swoim życiu. Ainar Skald.

\*\*\*

Chyba jednak nie w porę – przemknęło poecie przez myśl, gdy zobaczył, że wszyscy zgromadzeni są czymś zajęci i nie zwracają na niego uwagi. Gdy jednak chrząknął i krzyknął: „Bądź pozdrowiony, największy z kaganów”, a wszyscy obrócili się w jego stronę, uznał, że jest we właściwym miejscu we właściwym czasie. Czym byłby pieśniarz bez słuchaczy, którzy powtarzaliby innym jego utwory i świadczyli o chwale jego poczynania?

Nie przybył sam. Przy bramie kremla zatrzymali go strażnicy, którzy okazali się tak grzeczni, że zdecydowali się mu towarzyszyć aż do wieży władcy. Musiał im tylko wcześniej wytłumaczyć, że ma dla konunga wieści, które zmieniają oblicze wojny. Prowadził Wesołego Iljej, którego ścisnął za ramię, by ból uniemożliwił chłopakowi zaśnięcie.

– Masz czelność się tu zjawiać? – zapytał pan Dyragardu i Treborga, przerywając pełną napięcia ciszę.

Akurat czelności hag zawsze miał pod dostatkiem. Na brak śmiałości może sobie pozwolić kłoda, a nie kowal słów, któremu tym więcej płacono, im większą sławą się cieszył.

– Obowiązkiem skalda jest zjawianie się tam, gdzie dzieje się coś ważnego, zwłaszcza jeśli może się to stać tematem pieśni.

– Nawet w miejscu, gdzie każdy chciałby nasikać na twój kopiec pogrzebowy?

Poeta rozejrzał się po zgromadzonych, szukając oznak życzliwości. Spojrzał na Mödula, który posłał mu kpiący uśmiech, na Ingigerdę, która zatrzepotała rzęsami, oraz na Alego, który pokazał, że jego zęby nic nie straciły na ostrości. Więcej przyjaciół znalazłby w najplugawszym przydrożnym skytningu pełnym mordvargów – zabójców gotowych zamordować matkę za róg z piwem.

– Zwłaszcza w takim, bo tylko po wrogach można wiedzieć, czego się



spodziewać. Zresztą zawsze miałeś skłonność do wyolbrzymiania, o wszechwładny panie Dyragardu. Jestem pewien, że między mną a zgromadzonymi tu osobami nie tkwi miecz tak ciężki, by nie można go było podnieść i zwrócić przeciw naszemu wspólnemu wrogowi.

– A o jakim wrogu myślisz? Czy nie wiesz, że między Odainsakiem a Glaesirem zapanował pokój? – wtrąciła się Ingigerd.

Poeta domyślił się tego, widząc Mödula, Magnolfa i Tattarów z głowami na karku i do tego cieszących się jak złodziej z ukradzonej monety.

– Wróg zawsze się znajdzie. Choćby na zachodzie. Gdy trzy lata temu bawiłem w Kaennugardzie, obiło mi się o uszy, że księżna Helga i jej młodociany syn szykują podbój tych ziem, a kiedy to nastąpi, potomni nie będą nawet pamiętać, gdzie leżały wasze kraje<sup>[19]</sup>.

– Od lat tym nas straszą, ale wystarcza, że rzucamy garść monet tej vaerińskiej wszetecznicy Heldze, a natychmiast przysyła najlepszych swoich ludzi, by nam służyli – odpowiedział Tirus, wskazując głową stojącego niedaleko Igora. – Jeśli tylko tyle masz nam do powiedzenia, możesz zacząć rozmyślać nad swoją pośmiertną sławą.

– Jest coś więcej. Przyprowadziłem ci syna.

Ainar popchnął chłopaka do przodu, a wtedy wszyscy zamilkli, wpatrując się w Ilję tak szeroko otwartymi oczami, jakby najedli się słonecznych grzybków. A potem ryknęli śmiechem. Najgłośniejszym chichotał sam wyrostek, całkowicie psując wysiłek Skalda. Nie uśmiechała się tylko jedna osoba. Tirus Wielki. Zamiast tego rozglądał się, miotając dookoła błyskawice, jakby chciał zapamiętać każdego, komu było wesoło.

To, co nawet poecie wydawało się nieprawdopodobne, okazało się prawdą. Zachowanie konunga najlepiej o tym świadczyło. Ilja wciąż był jednak tylko nieuznanym bachorem, a więc bękartem, i nie mogło tego zmienić nawet to, że urodziła go prawowita żona kagana.

– Już za samo rozsiewanie plotek zasłużyłeś sobie na stryczek.

– Mówię, co powiedział mi ten młodzian. Nie wiń posłańca. Ale nie tylko z tym przybyłem. Wiem, kto jest śniącym, domem dla hamingji białego

niedźwiedzia, która doprowadziła do upadku dolnego gardu.

Nieliczni, którzy jeszcze się śmiali, zamilkli. Nawet niedawni wodzowie wojsk Kola okazali ciekawość lub przynajmniej ją udawali, bo przecież Mödul dobrze znał tę tajemnicę.

– I oczekujesz, że w zamian za jego imię zapomnę o twojej zdradzie? – kpiąco zapytał władca Glaesiru.

Aż takim głupcem pieśniarz nie był, pamiętając, że już wcześniej Tirus znalazł sposób, by wykpić się z danego słowa i z obiecanej nagrody. Östmad sam miał na tyle giętki język, by wiedzieć, że kłamcy nie warto ufać.

– A kto mówi o podawaniu imienia? Ta tajemnica jest moim jedynym zabezpieczeniem. Bo widzisz, zawarłem układ z tym potężnym czarownikiem. Jeśli nie wyjdę cało z tej wieży, biały niedźwiedź przyjdzie mnie tu szukać.

Mówił prawdę, choć w sposób nieco przewrotny. Początkowo rzeczywiście zastanawiał się, czy nie sprzedać chłopca w zamian za wolność. Doszedł jednak do wniosku, że szanse przeprowadzenia takiej wymiany są nikłe. Zresztą dzieciak uratował mu życie, kiedy wzięli go skogarmadowie. Przez krzyki Göllnira w głowie haga przebił się więc słaby, ale niedający się stłamsić głos, mówiący, że nie może zostawić Ilji na pewną śmierć. Ojciec zawsze powtarzał Ainarowi, że jest zbyt miękki.

Na wzmiankę o białym niedźwiedziu powietrze zgęstniało od strachu. A może tylko od dymu, który wleciał przez małe okienka kamiennej wieży i zasmrodził pomieszczenie odorem palonych ciał. Stosy pogrzebowe paliły się od samego rana.

– To kłamca, który wybrał sobie prawdę na temat do kpin. Pozwól mi go zabić.

Głos dobiegał zza öndvegi kagana i należał do czarnej góry przyodzianej w kocią skórę. Skald pomyślał, że Ali Czarny Berserk musi żywić do niego jakąś urazę, choć nie przypominał sobie, by czymś mu się naraził. Oczywiście oprócz niezliczonych docinków na temat jego wyglądu.

– Biały niedźwiedź przybędzie na moje wezwanie. Możecie być tego pewni.

Taką przynajmniej miał nadzieję. Był to właśnie jeden z dwóch powodów, dla których wziął ze sobą chłopca, a o jego pochodzeniu wspominał tylko dlatego, by usprawiedliwić obecność Ilji w wieży. Gdyby zrobiło się za gorąco, zamierzał uderzeniem pięści uspić wesołka, a obudzić bestię.

– Założmy, że mówisz prawdę. Czego chcesz za ocalenie nam życia? – Kagan szyderstwem chciał rozładować napięcie, ale średnio mu się udało. Zachichotał tylko Mödul i oczywiście nieznanego syna władcy.

– To proste. Ładnie się tu, widzę, układacie, ale zapomnieliście o tym, który umożliwił zawarcie tego pokoju. Czyż nie sławny Ainar Skald doprowadził do ślubu Tirusa Wielkiego i Ingigerdą Kolsdottir? Bez tego związku pan Dyragardu nie odniósłby tak wspaniałego zwycięstwa. Oczekuję więc zapłaty, która została mi obiecana na samym początku. Chcę tyle złota, ile waży córka Kola. Jeśli je otrzymam, opuszczę twoją gościnną siedzibę razem z chłopcem, Mödulem i pozostałymi posłami. Bo choć Kol nie żyje, jego spadkobiercom jestem winien wierność.

Właśnie poruszył najwrażliwszą część planu. Wiedział, że jedyną możliwością ujęcia z życiem było opuszczenie grodu razem z posłami. Właśnie dlatego zwlekał z przyjściem do Tirusa, aż przybędą do niego wysłannicy Odainsakczyków. Bo to, że obie strony będą chciały się ułożyć, było dla Östmada jasne.

Kagan uśmiechnął się, postukał piętami o głowę Kola i powiedział jedno krótkie słowo:

– Nie.

– Wspaniała odpowiedź, wielki konungu – odparł poeta, starając się grać na czas. – „Nie” dla kłamstw i niedotrzymanych obietnic. Cieszę się, że już więcej nie będziesz łamał danego mi słowa i wypłacisz obiecaną nagrodę.

– Twoja bezczelność dawno przestała mnie bawić. Nie dostaniesz ode mnie złamanego dirhema, twój język zostanie wyrwany, a usta zszyte nicią

zrobioną z twojej własnej skóry. Potem staniesz się posiłkiem dla moich smoków. A jeśli jakimś sposobem uda ci się przywołać białą bestię, Ali Czarny Berserk sobie z nią poradzi, tak jak poprzednim razem.

Pieśniarz liczył się z taką możliwością, ale nie zmartwił się zbytnio. Jeszcze jedna osoba powinna coś powiedzieć, miał więc nadzieję, że go nie zawiedzie.

– Ainar jest moim człowiekiem – wtrącił się Mödul. – Nie pozwolę go zabić.

Skald uniósł brew i wypiął pierś, pyszniąc się swoją zuchwałością, sprytem i umiejętnością przewidywania. Wiedział, że Ilja pomagał karłowi, dlatego oczekiwał, że czarownik zechce ratować swojego sojusznika, a przy okazji pomoże i jemu. Był to drugi powód, dla którego hag wziął ze sobą chłopaka.

– Milcz, karle! Zawarliśmy już między sobą porozumienie. Nic ci do tej sprawy.

– Mylisz się. Ilja i pieśniarz są mi przyjaciółmi, ich los nie jest mi obojętny. Ale możemy przecież negocjować. Jestem pewien, że Vaering zrzeknie się nagrody, jeśli tylko darujesz mu życie.

Kowal słów rzucił czarownikowi gniewne spojrzenie, bo nie lubił, gdy ktoś wyrzekał się w jego imieniu złota. Ale rzeczywiście, przybył tu walczyć głównie o życie, a nie o monety.

– Powiedzmy, że zadowolę się twoją wdzięcznością i sakiewką srebra na drogę – zaproponował niechętnie.

– Nie! – krzyknął Tirus, który podobnie jak wszyscy pokurcze wściekał się za każdym razem, gdy ktoś odmawiał mu natychmiastowego posłuchu. Odbijał sobie w ten sposób ciężkie dzieciństwo, kiedy żaden z rówieśników nie liczył się z jego słowem.

Zapadła cisza, w której dało się usłyszeć przelatującą muchę. Właściwie nawet wiele much – późnym latem tych bzyczących paskudztw latało całe mnóstwo.

– Jeśli ich nie wypuścisz, nasze poprzednie ustalenia będą nieważne. –

Mödul poszedł na całość, czym mile zaskoczył poetę.

– Trudno – kagan szedł w zaparte.

– Pozwól, władco gwiazd, że się wtrącę – odezwał się Ali. – Mam wrażenie, że karłowi bardziej chodzi o chłopca niż o Skalda. Oddaj im Ilję w dobrej wierze, a kłamcy pozwól walczyć ze mną o życie.

– Cóż za wspaniałe pomysły! – poparł czarownik Blamada.

– Zgoda! – oznajmił konung.

Rozmowa potoczyła się tak szybko, że Ainar nie zdążył się wtrącić i nakierować jej na bardziej korzystne dla siebie rozwiązanie. Zrezygnowany powiedział tylko:

– Niestety, nie mam miecza.

Strażnicy byli wystarczająco łatwowierni, by wpuścić go do wieży, ale nie okazali się tak głupi, by pozostawić mu broń.

– Na szczęście – pospieszył z rozwiązaniem Ali – opuszczając Treborg, wziąłem twoją stal ze sobą, a odkąd znów zostałem pierwszym gridinem Tirusa, zawsze noszę ją ze sobą jako zapasową broń. To ostrze przypomina mi o plamie na honorze, której nie da się zmazać. Można ją jednak zamalować krwią, zmieniając barwę naszych mieczy na czerwony.

– Nie wiedziałem, że z ciebie rzemieślnik tak biegły w barwieniu metali.

– Wielu rzeczy nie wiesz, bo zajmujesz się tylko samym sobą. Stawaj! – Blamad wyciągnął Kvernbita z pochwy przy pasie i rzucił go Ainarowi.

Rzeczywiście. Inni niewiele obchodzili pieśniarza, ale czy można go było za to winić? „Troskliwi kończą z nożem towarzysza w plecach” – jak mawiała jego babka.

Skald chwycił miecz, z przyjemnością zaciskając dłoń na znajomej rękojeści. Stęsknił się za dobrą stalą niczym trzeźwy pijak za garncem miodu. Zakreślił młynka, przypominając sobie ciężar starego przyjaciela i pisnął z bólu, czując szarpnięcie w lewym ramieniu. Na szczęście prawą rękę miał zdrową, więc był w stanie walczyć.

Nie łudził się, że zdoła się wykpić z pojedynku. Rozważył, czy ogłuszyć wesółka i korzystając z pojawienia się białego niedźwiedzia, spróbować

przebić się do wyjścia. Z wieży może udałoby mu się uciec, ale szanse na opuszczenie gardu były już znikome. Uznał, że walka z berserkiem daje więcej możliwości ocalenia, zwłaszcza że w ustach wciąż miał jeszcze sprawny język.

Ali dobył swój zakrzywiony miecz i zszedł z podwyższenia. Ludzie, nie czekając na rozkaz, cofnęli się i utworzyli koło dla walczących.

– Jakież zasady tego einvigi? Będziemy udawać, że to wyspa i tniemy się do pierwszej krwi jak na holmgangu? A może postawimy na stare dobre rąbanie mieczem, aż jeden z nas padnie trupem?

– Przeżyj lub giń – krótko odpowiedział gridin, biorąc zamach.

– Mądrze. To jedyna zasada, której warto się trzymać w życiu – odpowiedział poeta, odskakując do tyłu i zbijając mieczem poprzeczne cięcie.

Na razie się tylko pieścili. Krążyli wokół siebie, wymieniając grzecznościowe brzdęknięcia, jak dwaj przyjaciele próbujący się w walce. Żaden z nich nie dał się na to nabrać, bo wiedzieli, że świadczą sobie uprzejmości podobne do tej, jaką złodziej okazuje gospodarzowi, oglądając jego dom w przeddzień rabunku. Badali swoje słabe strony. Pieśniarz dwa razy ciął od lewej, sprawdzając szybkość przeciwnika. Potem pozwolił Blamadowi wyprowadzić dwa pchnięcia, obserwując, czy ten nie odsłania prawego boku przy ataku. Berserk robił podobnie, więc hag starał się ukryć swoją jedyną słabość. W wieży było ciemnowo, mimo iż na zewnątrz wciąż panował dzień, a na ścianach płonęły pochodnie. Z tego powodu pole widzenia Östmada się zwężyło i dostrzegał zdecydowanie więcej cieni, niż powinno padać w blasku ogni.

Nie udało się. Czarny drużynnik musiał dostrzec jego słabość, gdyż zaczął się ustawiać plecami do pochodni, przez co jawił się Vaeringowi jako fjandi, mroczny demon, w otoczeniu płomieni.

Ainar odskoczył w bok, odsuwając się od oślepiającego światła. Wódz gridu przewidział to i zaatakował właśnie w to miejsce, gdzie zjawiał się Skald.

Zakrzywione ostrze dziabnęło poetę w lewe ramię, ucinając kawałek

czerwonego kyrtyllu i spory płat skóry, podszyty cienką warstwą mięsa. Pieśniarz nie przejął się tym za bardzo, bo i tak był już ranny w tym miejscu.

Obserwatorzy zawołali z zachwytem i zaczęli hałasować, tupiąc i uderzając pięściami w otwarte dłonie. Zgromadzeni domagali się krwi i widowiska, a mieli to szczęście, że rozrywki dostarczał im karmiciel kruków, który na żer zwoływał ptaki pieśnią zarzynanych, oraz Czarny Berserk, na którego widok nawet śnieg topniał ze strachu.

Hag zauważył kątem oka, że nie byli jedynymi, którzy dawali przedstawienie. Wesoły Ilja płaśał po całej sali, zadając pchnięcia i cięcia niewidzialnym mieczem, wymierzając kuksańce zgromadzonym, robiąc fikołki w powietrzu i chodząc na rękach.

– Wzrok ci nie dopisuje? – odezwał się Ali i spróbował nastraszyć wysokiego drenga swoim uśmiechem. – A może cienie twoich występków przysłaniają ci oczy?

Östmad nie mógł odmówić przeciwnikowi rozmowy. Jego wzrok mógł się pogorszyć, miecz stępić, ale język, najcenniejsze narzędzie każdego kowala słów, zawsze musiał pozostawać w ruchu.

– Pozbywam się wspomnień po złych czynkach równie łatwo, jak nadmiaru piwa po uczcie. W tobie natomiast przeszłość zamieszkuje i jest powodem ciągłej moralnej niestrawności.

– Moralność? To jakaś choroba?

– Można tak powiedzieć. Choruje się na nią w iryjskich klasztorach, gdy nie ma się pod ręką baby do pokrycia. Chyba cierpisz na podobną przypadłość.

– Argh! – wrzasnął gridin i ciął z lewej.

Ainar zbił uderzenie i odpowiedział podstępny rąbnięciem pod kolana. Czarny wojownik zablokował uderzenie i kopnął Skalda w łokieć. Kvernbit prawie wyleciał z dłoni haga, ale jednak okazał wierność swojemu panu i nie opuścił go w potrzebie.

Blamad się złościł, co bardzo cieszyło poetę. W końcu rozwścieczony

berserk miewa problemy z rozróżnieniem przyjaciół od wrogów. Wódz gridu wciąż się jednak hamował i widać było, że nie chce dać ować nadnąć sobą berserksgangowi. Czarny dreng miał jednak tego pecha, że walczył z Vaeringiem, który potrafił być bardzo denerwujący.

– Czyli jednak kobieta. Zawsze chodzi o kobietę, prawda, Ali? Już twoja żona uznała, że nie jesteś mężczyzną dla niej i oddała się twojemu bratu.

Poskutkowało. Tym razem wrzask olbrzyma z Południa bardziej przypominał kwik, co znaczyło, że jego dziczy bóg znów brał go we władanie. Wyznawca Wertragny uderzał coraz szybciej i coraz częściej odsłaniał się przy atakach. Pieśniarzowi raz udało się go skaleczyć, ale zbyt był zajęty obroną, by na poważnie przejść do ataku.

– A teraz sytuacja się powtarza. Pewna kobieta bawi się tobą, a oddaje się prawdziwemu ogierowi.

– Zamilcz, kłamliwy wężu! Nic nie wiesz!

Ali zaczął uderzać raz za razem, nie licząc się już z obroną. Pokwikiwał przy tym, a czerń jego twarzy stała się nieco czerwona.

– Nie walcz z tym. Prawdziwy gniew wyzwala i oczyszcza. I pamiętaj: zdradzony mężczyzna ma prawo się zezłościć.

– To ty mnie zdradziłeś, zostawiając na śmierć w Treborgu!

Zatem o to chodzi – zrozumiał Skald i wydało mu się to śmieszne.

– Wielki chłop, a gniewa się, że zostawiono go bez opieki. Nie jestem temu winien. Zaplanowała to twoja kochanica.

– Kłamiesz! – wykrzyczał Blamad. Od tego wrzasku płomienie pochodni zatańczyły jak na wietrze, a ręce obserwatorów odruchowo powędrowały do uszu.

Ainar złożył sobie wyrazy uznania. Wyzwolił szal w berserku. Teraz musiał tylko wymyślić, jak nie zostać ofiarą tej wściekłości.

– Nie ja jestem twoim przeciwnikiem w wyścigu do tyłka Ingigerdy. Czy Tirus wie, że zabawiałeś się z nią podczas podróży?

Choć wydawało się to niemożliwe, czarny drużynnik zaatakował jeszcze zajadlej.



– A czy wie, że dalej taranujesz jej i tak już przechodzone wrota?

Poeta nie był tego pewien, ale kolejny wściekły ryk przeciwnika powiedział mu, że miał rację. Słowa te wywarły też wrażenie na gapiach. Ludzie zaczęli zerkać w stronę kagana, który spurpurowiał i nienawistnie patrzył na żonę.

Składacz strof za bardzo skupił się na obserwacji miecza wroga, a zapomniał o pięści jego wolnej ręki. Czarna łapa uderzyła go w podbródek, sprawiając, że ciało hoga uniosło się w powietrze i poleciało do tyłu. Ludzie rozstąpili się grzecznie, przerywając krąg, pieśniarz uderzył więc plecami w podłogę, wypuszczając Gryzącego Kamień z dłoni.

– Dobij tego kłamcę, Ali! – krzyknął Tirus, który nieudolnie próbował ukryć prawdę.

Zakrzywiony miecz wbił się w deski obok głowy nadal leżącego Östmada. Vaering pomyślał, że wreszcie udało mu się dotrzeć do jądra gniewu przeciwnika i Czarny Berserk da mu spokój, by zabijać wszystkich wokół, ale się przeliczył. Zaraz potem Blamad chwycił go silną łapą za kyrtil, z łatwością podniósł i przybliżył jego głowę do swej oszpeconej uśmiechem twarzy.

– Masz jeszcze coś do powiedzenia?

Głupie pytanie, bo Ainar nie mógłby być skaldem, gdyby zawsze nie miał czegoś do powiedzenia.

– Jak myślisz, co zrobi z tobą kagan? Teraz już wie, że chowasz miecz w jego żonie.

Nie tylko odwaga uskrzydla. Bezczelność też. Rzucony przez gridina poeta przeleciał dobrych kilka kroków, nim runął na dwóch gapiów, przewracając ich na podłogę. Obrócił się na plecy, gotów na kolejną słowną potyczkę z czarnym gridinem, ale nie zobaczył go nad sobą.

Tym razem pieśniarzowi naprawdę się udało. Berserk do cna stracił panowanie nad sobą i zaczął zabijać. Nie zważał przy tym, z kim ma do czynienia, tylko ciął każdego, kto znalazł się w pobliżu. Plamy krwi na

podłodze, ucięte kończyny i wyprute flaki znaczyły drogę, która niechybnie prowadziła do miejsca na podwyższeniu. Tirus Wielki w końcu pokazał swoją prawdziwą wielkość i schował się za rzeźbionym siedziskiem.

– Dosyć tego, głupcy!

Głos przebił się przez krzyki i wrzaski konających, choć dobywał się z ust najwęższej – zdawałoby się – osoby w pomieszczeniu. Nawet wódz drużyny na chwilę odzyskał rozum i na pół uderzenia serca zaprzestał mordowania. Ingigerd zatknęła kciuki za pas, tupnęła nogą i tonem obrażonej złościcy powiedziała:

– Czy naprawdę wszystko muszę robić sama?

Nie czekała na odpowiedź zszokowanej widowni, tylko chwyciła oprawioną głowę swojego ojca. Następnie podeszła do zdziwionego męża i z całej siły walnęła go ciężką skrzynką w ciemię. Tirus zachwiał się, a jego połowica nie miała litości. Poprawiła z drugiej strony, a kiedy kagan padł nieprzytomny na podłogę, zdzieliła go ponownie. A potem jeszcze raz, dla pewności, a może i dla przyjemności.

Wcale nie musiała robić wszystkiego sama. Rozszalałym berserkiem zajęli się inni. Mödul rzucił mu pod nogi czarodziejskie kulki, które wybuchły dymem. Z oparu wyskoczył biały niedźwiedź, który stanął na tylnych łapach i zdzielił Blamada w głowę niczym wprawny pięściarz. Czarny najemnik z hukiem zwałił się na deski i pozostał na nich martwy lub tylko nieprzytomny.

Ainar pomyślał, że chyba znów wygrał, bo nadal nosił głowę na karku. Nie był jednak tego pewny, a zalewająca go ciemność nie pozwoliła mu rozwiązać wątpliwości.

# Opowieść o szaleństwie 4

– Psie syny zrodzone ze wściekłej suki i skundlonego psa, śliniące się na widok kości i merdające ogonami, gdy ktoś kopnie je w tyłek, szczekają na temat szaleństwa. Jestem zmuszony was słuchać, ale nie myślcie, że dociera do mnie wasz bełkot.

– Twoja strata. Może dzięki temu bełkotowi lepiej zrozumiałbyś swój los – wyjaśnił Vaering.

– To na nic, Skaldzie. Gdy umysł zamyka się na słowa prawdy, niewiele można zrobić.

– Coś tam jednak można – odpowiedział Ainar, bawiąc się nożykiem do rzeźbienia. – Uwierz mi, Ali. Można.

Blamad wstał z pniaczka i przeciągnął się leniwie. Wąz na jego plecach zatańczył, a usta ziewnęły, odsłaniając zaostrome zęby.

– Wystarczy już tej zabawy. W brzuchu mi burczy, a ogień jest już dostatecznie mocny. Zbliża się pora kolacji, ale najpierw musimy wyjaśnić naszemu więźniowi, dlaczego się tu znalazł. W końcu ciągle o to pytał, a my nie udzieliliśmy żadnej odpowiedzi. Skaldzie, podejmiesz się tego zadania?

– Z pewnością nikt nie wyjaśni tego lepiej, bo nie bez przyczyny zważ mnie odar smidem sprawnym w strof składaniu, mistrzem miodowych mów i znawcą...

– To mówisz czy nie? – pospieszył go przybysz z Południa.

– Nasz czarny przyjaciel w końcu zrozumiał, że cierpliwość nie jest jego mocną stroną – odparł poeta, mrugając do jeńca. – Dobrze więc. Pewnie już się domyśliłeś, że zdradziła cię twoja żona.

– Ta suka jeszcze za to zapłaci. Wbiła mi nóż w plecy. I to w chwili, gdy

jej mąż stał się najpotężniejszym kaganem na Wschodzie. Każda marzyłaby o takim zaszczycie.

– Ale nie ona. Ta kobieta jest jak ogień gotów strawić wszystko, byle tylko świecić najjaśniejszym blaskiem. I z pewnością nie potrzebuje małżeńskiego kojca, pod którym w końcu by zgasła.

– Rolą żony jest rozgrzewać łożę w mroźne dni i rzucać światło na wielkość swojego męża.

– Wciąż jej nie doceniasz, w czym jesteś podobny do jej ojca. Obaj daliście się zwieść jej maską niewiniątka. Ty myślałeś, że gdy poślubisz córkę Kola, będziesz miał otwartą drogę do zawładnięcia Odainsakiem. Kol zaś uważał, że ślub córki da mu po twojej śmierci władzę nad Glaesirem. Obaj przeoczyliście, że w przypadku zawarcia małżeństwa tylko Ingigerd, jako żona Tirusa i córka Kola, zyska prawo do władania obydwoma krajami. Oczywiście dopiero po śmierci ojca i męża.

Konung zaśmiał się, ale był to jeden z tych chichotów, które świadczą nie o wesołości, ale o wycofywaniu się umysłu w odmęty szaleństwa. W małych, sprytnych oczach władcy widniało teraz nieobecne spojrzenie, powiększające wrażenie wyobcowania i niezrozumienia świata przez tego człowieka.

– Żadna kobieta nie mogłaby tego zaplanować. Sam powiedziałaś, że Ingigerd jest jak ogień, a ten po prostu spala wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu. Ta głupia blondynka nie zdaje sobie nawet sprawy, że niszcząc mnie, straciła materiał, który podsycił jej płomienie.

– Mylisz się. Zostało jej jeszcze jedno niewielkie, ale twarde drewno, którym będzie mogła się żywić jeszcze wiele lat.

– Mówisz o Czarnym Berserku? Nie rozśmieszaj mnie. Jest dla niej tylko zabawką.

Blamad warknął na kagana, ale nie raczył nic odrzec.

– Tirusie, choć sam jestem niewielki, zapominasz o ludziach jeszcze mniejszych. To Mödul pomógł jej we wszystkim. Wpadł na pomysł zawodów o rękę Ingigerdy i tak nimi kierował, by próby przegrali wszyscy

zalotnicy, a córka Kola została porwana i oddana Tirusowi. Wszystko po to, by obie strony miały dobry powód do wojny.

– Jeszcze mi powiecie, że karzeł jest jej ukochanym?

– Ingigerd to zbyt gorąca kobieta, by zadowalać się tylko jednym mężczyzną. Ale tak – łączy ich mój ulubiony typ związku kobiety z mężczyzną: przyjaźń jęcząca i zaspokajająca.

Hag schylił się, unikając trafienia nadpalonym drewnkiem.

– Daruj sobie, Skaldzie, i trzymaj się tematu – skarcił go rozdrażniony wyznawca Wertragny.

– Przecież nie robię nic innego. To ważne, by nasz mały wielki kagan zrozumiał naturę tej przyjaźni.

– W to, że ta wszetecznicza daje karłowi, mogę jeszcze uwierzyć. Rozwarła przecież nogi przed Blamadem, więc nawet najbardziej pokraczny i powykrzywiany miecz pasuje do jej pochwy. Ale nie chcecie mi chyba wmówić, że Mödul zasiądzie na öndvegi i u jej boku będzie władał zjednoczonym Glaesirem i Odainsakiem?

– Nie, to byłoby zbyt szalone, nawet jak dla nas. Mödul, jak zwykle, stanie za oparciem krzesła władcy i z cienia pokieruje poczynaniami Ingigerdy. A drottinga, a może raczej meykonung<sup>[20]</sup>, znajdzie sobie godniejszego małżonka, którego wszyscy uznają. Pojawił się już nawet obiecujący zalotnik.

– Tak? A któż to taki? Wesoły Ilja?

Kagan znów się roześmiał, kręcąc głową nad niedorzecznością tego pomysłu. Przyłączył się do niego sam Ilja, który podczas tego przesłuchania zdobył się chyba na najdłuższą chwilę powagi w swoim życiu. Teraz jednak, wywołany słowami byłego pana Dyragardu, nie mógł się powstrzymać i wesoło zarechotał. Fiknął też koziołka, stanął na rękach i zaczął na nich chodzić dookoła izby.

– Cóż, byłaby to dla ciebie jakaś pociecha. W końcu jest krwią z twojej krwi. Macie nawet podobne nosy.

Tirus spoważniał i warknął na Östmada:

– Nie mam nic wspólnego z tym bękartem.

– Jak sobie chcesz – odparł Ainar, wzruszając ramionami. – Z oczywistych powodów Ilja nie zostanie władcą, choć Ingigerd i Mödul, w nagrodę za jego pomoc, obiecali się nim zaopiekować.

– Zdjąłeś mi kamień młyński z pleców. Nie sil się już na dalsze tłumaczenia. Głód wprowadzie stępił mi rozum, ale jeszcze całkiem nie zgłupiałem. Mażeńską kukłą na pewno zostanie jakiś przedstawiciel veche. To jasne, że przewrót Ingigerdy by się nie udał, gdyby wcześniej nie dogadała się z radą kupiecką. Już dawno powinienem zlikwidować ten urząd i ukrócić zapędy handlarzy, tak jak to zrobił Kol Mały.

– Głupota jest kochanką, która za każde rżnięcie domaga się zapłaty. Rzeczywiście. Veche cię zdradziło, a Mödul tak sprytnie zakończył wojnę, by wszyscy przegrani zaprzysięgli wierność Ingigerdzie, a nie tobie. Ale nie bądź zbyt surowy dla swojej żony. Pozwoliłaby ci rządzić jeszcze przez jakiś czas, choć niewątpliwie udusiłaby cię w małżeńskim łóżu, gdy tylko zostałaby uspokojona sytuacja w obu krajach. Zatem swój tak rychły koniec zawdzięczasz mnie, Ainarowi Skaldowi, który zdenerwował Czarnego Berserka i zdemaskował przed wszystkimi Ingigerdę.

– Rzeźnik Irskmadów znów pokazał, na co go stać. Powiedz mi jednak, jakie to uczucie służyć tym, którzy zabawiali się twoim kosztem i wykorzystali cię do swoich celów.

Poeta przybrał gniewną minę. Zmarszczył czoło, uniósł brwi i złączył je ze sobą. Prawa górna warga zrobiła namiot, odsłaniając kiel, a źrenice się powiększyły. Ta maska szybko jednak została zastąpiona przez kpiący uśmiezek i błysk rozbawienia w oczach. Rzeczywiście, początkowo burzył się na myśl, że nie będzie mógł odplacić Złotowłosej i karłowi. Ale jakoś nie miał serca mścić się na pięknej kobiecie, a Mödul wreszcie przestał go męczyć w snach. Kłopoty ze wzrokiem nadal go prześladowały, ale uwierzył, że nie były sprawką czarownika. Doszedł więc do wniosku, że oboje nie wyrządzili mu szkody, której nie dałoby się naprawić złotem.

– Może i robiłem to, co innym było na rękę, ale nie za darmo. W przeciwieństwie do ciebie Mödul nigdy nie nastawał na moje życie i nie

okazał mi osobistej wrogości. Co więcej, kilkakrotnie pomógł mi ocalić skórę, uratował też przy okazji Alego i Haukrhedina. Tak. Ich też. Także karzeł zwerbował jastrzębiego hamramira, który pozostawał na jego usługach już wtedy, kiedy siedział w twoim lochu. Bo właśnie czarownik pomógł kiedyś Haukrhedinowi uniknąć zemsty Kola i hamramirów, gdy Jastrzębioskóry odmówił zabicia kupieckiego syna. W zamian obiecał Mōdulowi przyprowadzić do Treborga drengów, którzy okazaliby się na tyle odważni, by przystąpić do prób, i na tyle bezczelni, by można ich było zrobić w porwanie córki Kola. Gdy Ali podjął się wypełnienia zadań, karzeł musiał oczywiście doprowadzić do przegranej Czarnego Berserka. Tak to jednak sprytnie zaplanował, że twój gridin zdołał dwukrotnie upokorzyć Kola. Podczas pływackiej próby nawet pomógł zalotnikowi, dając mu słowne wsparcie i wysyłając swojego człowieka, by ten poszczuł kagana psem. A gdy sam pokonał Blamada w szatrandżu, wszyscy zobaczyli, że to on, a nie władca, jest tak naprawdę niepokonany. Nie odwrócił się też od Alego, któremu tak wiele zawdzięczał, i polecił swoim ludziom wpuścić Haukrhedina do górnego grodu, by ten w odpowiedniej chwili zdołał uratować berserka. Ale to i tak nic w porównaniu z tym, jak wspaniałomyślni wobec mnie okazali się czarownik i Ingigerd. Podarowali mi tyle złota, ile obiecałeś mi za przyprowadzenie żony. Kto uczciwie płaci skaldowi za robotę, a do tego chwali zmyślność jego poezji, nie musi obawiać się zemsty poety.

– Dobrze więc cię oceniłem. Pójdiesz za tym, kto rzuci więcej monet. Uwolnij mnie, a zapłacę dwa razy więcej niż Ingigerd. – Kagan chwycił się ostatniej możliwości ratunku, ale w jego głosie dało się wyczuć, że nie miał większej nadziei na powodzenie.

Hag pokręcił głową.

– Za późno.

– A ty, Czarny Berserku? Co obiecała ci moja żona za zdradzenie swojego pana?

– Posiłek.

– Niewiele.

– Ingigerd też się zdziwiła, ale w końcu obiecała mi każdą potrawę, jakiej sobie zażyczę. Nie wiedziała, że wartość obiadu zależy od rodzaju dania.

– Jakiego zatem smakołyku zapragnął wódz mego gridu? Słowicznych jęczyczków, wątróbek smoków, piersi syren, udźca jednoroźca?

– Pieczonego kagana.

Tirus Wielki wlepił wzrok w uśmiechnięte usta Alego, pełne białych, ostrych zębów. Przełknął głośno ślinę i spojrzał z nadzieją na Östmada.

– Nie mówi poważnie?

– Mnie nie pytaj. Ja głodny nie jestem. Na wieczerzę zjem same jajka. Takie zwykłe, kurze. To też ciekawe danie, wiesz? Na zewnątrz niejadalna skorupka, a w środku pyszna niespodzianka. Ktoś mądry powiedział mi kiedyś, że jajka są symbolami tego, co wydaje się inne, niż jest w rzeczywistości.

Uwięziony pan Dyragardu ponownie spojrzał na czarnego olbrzyma. Na twarzy władcy zagościło niedowierzanie, a jego kolana zaczęły drżeć.

– Przecież mówiłeś, że całe to gadanie o ludożerstwie służy straszeniu przeciwników na polu bitwy.

– Wędrując po Serklandach, zarzuciłem ten stary zwyczaj moich przodków. Ale ostatnio doszedłem do wniosku, że tradycja ma swoją wartość. Nie będę się jej sprzeciwiał, tym bardziej że pomoże mi dotrzymać danego ci słowa. A tego, jak wiesz, nigdy nie łamię.

– Obiecałeś mi służyć, zdradziecki psie!

– Obiecałem, że będę trwać przy twoim boku i bronić cię przed wrogami Dyragardu. Ja wrogiem tego grodu nie jestem, a gdy cię zjem, zgodnie z obietnicą twoje ciało na zawsze już pozostanie ze mną, a twój duch będzie mógł mnie nawiedzać przez następny rok, bo właśnie tyle miała jeszcze trwać moja służba.

– Rozumiem, to taki żart! Bardzo niewybredny.

Trzech oprawców uśmiechnęło się, ale nie wyglądało na to, że żartują.

Ali powoli przejechał językiem po zębach i oblizał wargi.



– A ty, mój synu? Chyba nie pozwolisz na takie zhańbienie swojego ojca. Jeśli nie trafię do kopca, bogowie nie wpuszczą mnie do żadnego ze swoich niebiańskich dworów. Nawet bogini Hel mną wzgardzi! Mój bezkształtny duch będzie błąkał się po świecie, bo ciało, które nadaje mu kształt, zostanie na zawsze zniszczone!

Ilja zrobił smutną minę, ale po dwóch uderzeniach serca rozpromienił się i klasnął w dłonie.

– Nic się nie martw. Ja zemsty nie szukam. Poproszę Mieszka, by pożyczył kształt twojemu duchowi. Wtedy będziesz mógł mnie odwiedzać we śnie jako mały niedźwiadek.

– Wolę już straszyć pohukiwaniem okoliczne kundle, bękartie.

Wesołek uronił jedną łezkę, która spłynęła po policzku i zadziwiająco głośno skapnęła na drewnianą podłogę. Oczy młodzieńca zamknęły się i przez chwilę wydawało się, że chłopiec zaśnie. Nie zrobił tego jednak, tylko uniósł powieki i przywołał na twarz swój codzienny uśmiech.

– Jak sobie chcesz, kaganie – przerwał milczenie Ainar. – Wiedz też, że jedynym, który się za tobą wstawił, był Mödul. Czarownik przekonał Ingigerdę, by jeśli przychyli się do prośby Alego, uczyniła to tylko pod jednym warunkiem: nie można cię zjeść żywcem. Czarny Berserk trochę się krzywił, ale w końcu się zgodził.

– My tu sobie gadu, gadu, a za drzwiami już się ściemniło. Pora chyba na wieczerzę? – powiedział wojownik z Południa, podnosząc rożen dotychczas oparty o ścianę. – Dzisiaj mam ochotę na pieczyste.

– Nawet pojenie żrebaka między damskimi udami mężczy, gdy trwa zbyt długo. Kończmy, co zaczęliśmy – zgodził się Skald.

Pieśniarz odłożył na ławę gotową figurkę wilka i podszedł do więźnia. Stał do niego przodem, chwycił za czuprynę i tak odchylił głowę, by móc patrzeć prosto w błagające o litość oczy. Następnie wprawnym ruchem poderżnął konungowi gardło nożykiem do rzeźbienia. Krew trysnęła, powiększając kolekcję plam na czerwonym kyrtyllu poety.

Rozebrali trupa, a następnie Ali przywiązał ciało do rożna, który

umieścił nad paleniskiem. Wkrótce dom wypełnił się przyjemnym zapachem pieczonego mięsa. Gdy było gotowe, Blamad wziął się do jedzenia, odkrawając kawałki mieczem o znamiennym imieniu Ludożerca. Wbrew wcześniejszym zapewnieniom krzywił się przy każdym kęsie i widać było, że zmusza się do przełykania.

Ilja już podczas podrzynania gardła kaganowi uciekł w sen, więc w izbie znajdował się teraz wielki biały niedźwiedź, który usiadł przy ognisku, całkiem jak człowiek, i cicho pomrukując, przyglądał się zajadającemu wojownikowi.

Ainar z trudem powstrzymał wymioty, ale zgodnie z obietnicą jadł jajka na twardo. Gdy skończył ostatnie, zwrócił się do płomieni, obłąkańczo tańczących pod pieczęnią z człowieka:

– Bo szaleństwo jest w nas i wszystko przez nie, i nic bez niego, na wieki wieków, smacznego.

# Epilog, a może prolog

Ainar stał na dziobie trzydziestoławkowca, jednego z dwunastu okrętów, jakimi teraz dowodził. Dziobnica w kształcie głowy żurawia dumnie przeżyła się nad wodami Itilu i przecinała rzeczny toń. Statek miał rozłożony żagiel, który trzepotał na wietrze, dzięki czemu długa łódź rzeczywiście przypominała rzeczno-ptaka, zgodnie ze swoją nazwą.

Na skipie panował wesoły gwar, gdyż załoga nie musiała wiosłować. Płynęli przecież z prądem, a do tego olbrzym Kari dmuchał od strony rufy.

– Koniec końców, nie wyszliśmy tak źle na służbie u Tirusa Wielkiego – powiedział Skald do towarzysza stojącego po prawicy.

– Może ty. Ja do dziś cierpię na niestrawność.

Znalazł sobie przyjaciela dziwnego, ale bardzo przydatnego. Jeśli kiedyś przyjdzie mu kogoś zamordować, nikt tak dobrze nie pomoże mu pozbyć się ciała jak Ali Czarny Berserk.

Przekonanie Blamada do wspólnej podróży nie było jednak takie łatwe. Gridin nie chciał mu zaufać, upierając się, że Östmad zdradzi go przy pierwszej lepszej okazji. Pieśniarz musiał mu wytłumaczyć, że przecież nie zmusza go do małżeństwa z przysięgą wierności, ale obiecuje nową przygodę, podczas której wytatuowany wojownik będzie mógł się złościć, ile tylko zapragnie. Swój dziwny związek przypieczętowali, odprawiając wynaturzoną wersję północnego rytuału zawierania *fostbræðralag* – braterstwa krwi. Berserk walnął Vaeringa z całej siły pięścią w twarz, jako zapłatę za wcześniejszą zdradę Skalda. Ainar splunął krwią z rozbitej wargi wprost na nagi tors czarnego drenga i odpowiedział takim samym ciosem, mszcząc się za próbę zabicia go na dworze kagana. Najemnik z Południa roześmiał się i sam też splunął krwią na nowego przyjaciela.

Tak zawarte przymierze nienawiści do świata miało trwać tak długo, aż im się znudzi.

– Musisz jednak przyznać, że statki przedstawiają się wyśmienicie.

Widok dwunastu długich łodzi sunących w równym szyku, po dwa w jednym rzędzie, musiał wywrzeć wrażenie na każdym.

– Tu mnie zaskoczyłeś. Nie sądziłem, że od razu wydasz całą zapłatę. Obstawiałem raczej, że zaszyjesz się na trzy lata w jakimś skytningu i zapijesz na śmierć. Lub starym vaerińskim zwyczajem zakopiesz wszystko w ziemi, by cieszyć się bogactwem po śmierci w Gmaszysku Zarżniętych.

– Próbowałem w swoim życiu jednego i drugiego. W ziemi mam już wystarczająco monet, by Valfud przeznaczył mi godne miejsce wśród einherjów. Teraz chcę zadbać o lepsze życie na tym świecie. I nie przesadzaj. Coś mi tam jeszcze zostało na miód i piwo – powiedział hag, poklepując wcale niemną sakiewką przy pasie.

Ingigerd z Mödulem też byli zdziwieni, kiedy po odebraniu złota od razu ogłosił chęć zakupu statków. Pięc sprzedała mu sama drottinga, a resztę nabył od najemnych Vaeringów. Sporo przepłacił, bo w okolicy nie roilo się od właścicieli okrętów. Koszty odbił sobie na załodze, której nie musiał oferować wielu monet. Wystarczyło obiecać bogate łupy w najbogatszym mieście świata. Wszyscy Vaeringowie są obdarzeni umiejętnością bezbłędnego przewidywania, gdzie można dobrze zarobić, a w obliczu pokoju Glaesiru z Odainsakiem nie kroily im się okazje do zdobycia wojennych łupów. Dlatego gdy zaproponował Magnolfowi Krwawej Siekierze miejsce na swoim statku, ten zgodził się w zamian za dziesiątą część wszystkich zdobytych bogactw i bez żalu porzucił służbę u Ingigerdy. Ainar dorzucił mu na zachętę sto srebrnych dirhemów, a Vaering z wytatuowanymi siekierami na policzkach zajął się zebraniem załóg spośród swoich pobratymców. Nie mieli zbyt wiele czasu, bo Skald i Czarny Berserk dostali swoją nagrodę pod jednym warunkiem: mieli jak najszybciej wynieść się z Dyragardu i nie rozpowiadać, co tak naprawdę stało się w wieży Tirusa Wielkiego. A według powszechnie głoszonej wersji to kowal słów i pierwszy gridin zorganizowali przewrót, zabili

Tirusa i zaofiarowali władzę niczego nieświadomej Ingigerdzie. Drotninga niechętnie przyjęła schedę po mężu, a mordercom okazała łaskę, zdaniem wszystkich stanowczo zbyt wielką, skazując ich na dożywotnią banicję. Mieli trzy tygodnie na opuszczenie terenu obu krajów. Poeta nie wątpił, że po odpłynięciu zostaną oskarżeni jeszcze o wywołanie wojny między oboma krajami, o zabijanie sierot i wdów, o nieurodzaj oraz skwaszenie mleka w krowich wymionach. Podejrzewał również, że każda kobieta, która zostanie brzuchata podczas nieobecności swojego męża, będzie się zarzekać, iż została podstępnie uwiedziona przez Ainara Skalda. Pieśniarz żałował, że przynajmniej to ostatnie nie było prawdą.

– Wciąż jeszcze nie rozumiem, po co wzięłeś ze sobą tych szaleńców? – powiedział Ali, wskazując głową do tyłu.

Za nimi, a przed pierwszymi ławkami wioślarskimi, stali hamramirzy. Czterej w miarę sprawni i piąty, Gaupahedin, wspierający się na drewnianych kulach. Bestialscy drengowie nie chcieli zostawić swojego brata, mimo iż ten nie nadawał się raczej do walki, a już z całą pewnością do biegania. Ich przywódca, Berhedin, chętnie przystał na propozycję haga, twierdząc, że wataha gnuśnieje, gdy poluje tylko w jednym miejscu. Składacz strof przyjął to wyjaśnienie, choć wiedział, że po śmierci Kola Małego nie było po prostu chętnych do zatrudnienia szalonych braci.

– Może na to nie wyglądają, ale wciąż są znakomitymi rzeźnikami bitewnego pola. Przydadzą się tam, gdzie płyniemy.

– W Al-Qustantyniji? Jeszcze mi nie powiedziałaś, po co w ogóle chcesz tam płynąć.

– Do Miklagardu? Złotego miasta o stu wieżach, którego bruki wyłożone są srebrem, bramy obite złotymi blachami, a skarbcze wypełnione drogimi kamieniami? A po cóż może się tam wybierać chciwy Vaering? Zamierzam nacieszyć oko tymi pięknymi błyskotkami i z nawiązką odzyskać monety, które wydałem na te łodzie.

Ali spojrział na niego podejrzliwie. Czarny Berserk znał się na ludziach i trudno było ukryć przed nim prawdę.

I rzeczywiście, Ainar miał jeszcze jeden powód, by odwiedzić siedzibę

gardskonunga, najwspanialsze miasto Grikklandu. Od kilku tygodni nawiedzały go dwa sny, które bezskutecznie próbował wyrzucić z pamięci. W jednym tonął w oceanie krwi, a w drugim nawiedzała go Czarnowłosa. Śniąca o imieniu Hvita, którą trzynaście lat temu poznał w pewnym irskim klasztorze, w nocnym widzeniu była bardzo blada i ledwo widoczna, jakby jej ciało znajdowało się niezwykle daleko stąd. Tym razem jednak nie okazała się tak serdeczna jak poprzednio. Pojawiała się naga, ale zamiast umilać mężczyźnie sen, kreśliła na piasku lub ziemi runy składające się na jedno słowo. Miklagard. A potem uciekała, zawsze na południe, dokładnie w stronę, w którą płynie rzeka Itil.

**Dodatki od autora**

**Alego opisanie świata.**  
**Spisane w roku 346 wedle**  
**rachuby serklandzkiej, czyli**  
**w 957 roku po śmierci Krista<sup>21</sup>**

Jest to księga Alego ibn Alego ibn Ibrahima ibn Rahina, zwanego też Blaberserkiem, czyli Czarnym Berserkiem, napisana na życzenie Konstantinosa, basileusa miasta Al-Qustantiniya, który przez Vaeringów jest zwany gardskonungiem Miklagardu, a przez Saglabów władcą Carogrodu. Ali opowiada w swej księdze o tym, co widział na własne oczy w dalekich krainach świata, i o tym, co zasłyszał od innych podróżników, a co dotyczy rozmieszczenia ludów nad rzeką Itil, ich zwyczajów i ich wierzeń.

Rzecz Ali: Itil, zwany też Rzeką Saglabów lub Atilem, bierze swój początek daleko na północy, w ziemi Saglabów, w pobliżu Morza Vaeringów<sup>[22]</sup>, a ujście ma w Morzu Chazarów<sup>[23]</sup>, i łączy oba zbiorniki, stając się najbardziej uczęszczaną drogą handlową tej części świata<sup>[24]</sup>.

Co się tyczy Vaeringów, są to najemnicy, którzy swoją gwałtownością, ale i przebiegłością stali się utrapieniem dla Saglabów. Siedziby ich ojców leżą w kraju Jaguga i Maguga, który jest niekiedy nazywany Thule<sup>[25]</sup>, a są to tak niegościnnie ziemie, że jego mieszkańcy chętnie wyruszają za morze, by nękać i grabić inne ludy. Bogów mają tylu, że sami nie są w stanie zapamiętać imion ich wszystkich. Na każdą okazję wzywają imienia innego bóstwa, a gdy przybywają na obce ziemie, także tamtejszych ilahów czczą

jako swoich. Część ich bogów jest do siebie podobna, tak że wydają się braćmi albo nawet jedną istotą nazywaną wieloma imionami, a dzieje się tak przez wrodzoną vaerińską skłonność do omijania prawdy. I tak Göllnir, zwany Bitewnym Krzykiem, opiekuje się polem bitwy i zsyła na ludzi szaleństwa. Valfud ma pieczę nad poległymi, Grimnir znany jest z przybierania masek, Hangagud lubi rozmawiać z wisielcami, a Tveggi to wszeteczny czarownik, którym nawet bogowie pogardzają<sup>[26]</sup>. Oprócz nich do najpotężniejszych bogów należy Magni, władca burzy i cielesnej siły, Gefna, lubieżna bogini, której miła jest nawet miłość za pieniądze, oraz Tyr, jedyny sprawiedliwy, rękojmia umów wszelakich. Przeciwieństwem tego ostatniego jest Lopt, którego usta nie znają słów prawdy, a z kłamstwa uczynił źródło swojej przebiegłości. Bogami są też Słońce, czyli Sol, oraz Księżyc, zwany Manim. Ofiary składa się również istotom, co do których sami Vaeringowie mają wątpliwości, czy są bogami, a zwie się je olbrzymami. Aegir jest oceanem, któremu cześć oddają żeglarze, a Mimir to głowa pełna rozumnych myśli, u której bogowie zasięgają rady, ludzie zaś próbują zdobyć jej mądrość, pijąc poświęcony jej miód. Braćmi Aegira są Kari, opiekujący się wiatrem, i Logi, który włada ogniem. Jest też jego wnuk, Snaer, śnieżny pan. Ponieważ słowo Muhammada nie znalazło jeszcze drogi do serc Vaeringów, wierzą oni, że o ich losie decydują duchy wszelakie. W nornach widzą prządki, które tkają ich przeznaczenie, a w fylgjach i hamingjach opiekunki decydujące o szczęściu i pechu. Znają też disy, czyli duchy zmarłych kobiet, które włóczą się po świecie, trapiąc lub radując żyjących. Lud Północy jest zabobonny, dlatego wierzy również w istnienie karłów – małych ludzi żyjących pod ziemią i lęgnących się z kamieni. Według Vaeringów w środku świata znajduje się drzewo Laerad, Yggdrasillem też zwane, od którego początek wzięły wszystkie drzewa, a po którym biega wiewiórka Ratatosk, przenosząca słowa niezgody między siedzącym na jego czubku orłem a leżącym u jego korzeni smokiem Nidhöggiem. Do pnia tego drzewa bóg Göllnir przybił się włócznią, składając ofiarę z samego siebie.

Na prawym brzegu Itilu spotkać można Saglabów, których Vaeringowie nazywają Vindmadami. Dzielą się oni na różne plemiona, a niekiedy



przystają do ludzi Północy, tworząc silne grody i twardą ręką zarządzając swoimi ziemiami. Tak właśnie powstał potężny kraj zwany Gardariki, którego władcy mają swoją siedzibę w Kaennugardzie, a ich poddani zwani są czasem Ar-Rusija<sup>[27]</sup>. Do znacznych plemion saglabadzkich należą Radymicze, a najdalej na wschodzie swoje siedziby mają Wiatycze. Tylko najodważniejsi spośród nich zamieszkują ziemie nad środkowym Itilem, bo przeważają tam inne ludy.

Wierzenia Saglabów są takie, że uznają oni wielu bogów, a każde plemię ma bóstwo, które otacza największą czcią. Perun włada u nich burzą, a Volos i Mokosha dbają o urodzaj i płodność. Svarog pilnuje, by słońce zawsze świeciło na niebie, a jego syn Svarozhich jest ogniem. Sventovit jest biegły w czarach i wojowaniu, dlatego ofiary czynią mu bogatyrzy. Do Trigelava chodzą Saglabowie po rady, bo jest on boskim mędrcem, którego jedna głowa zwrócona jest w przeszłość, druga w teraźniejszość, a trzecia w przyszłość. Część plemion wierzy jednak, że głowy nie w czas spoglądają, ale obserwują, co dzieje się pod ziemią, na ziemi i w niebie<sup>[28]</sup>.

Tako rzecz Ali: nad środkowym Itilem mieści się potężny kraj zwany Glaesir, którego największym grodem jest Dyragard<sup>[29]</sup>. Zarządzają nim kagani, których przodkowie wywodzą się z Vaeringów, a ich poddaniymi są kupcy i smerdowie pochodzący z wielu plemion. Spotkać tam można Saglabów, Burdasów i koczowników, a władcy otaczają się głównie najemnikami z Północy.

Na wschód od Glaesiru leży Odainsak<sup>[30]</sup>, także założony przez Vaeringów i niegdyś stanowiący jedność z Glaesirem. Choć kraje te toczą nieustanne wojny, są do siebie podobne przez to, że zajmują się przede wszystkim handlem. Miejscowi kupcy wysyłają futra, niewolników, rogi jednorożców i bursztyny, za które z południowych krain dostają dirhemy i serklandzkie dobra. Największym grodem Odainsaku jest Treborg<sup>[31]</sup>, gdzie swoją siedzibę ma kagan. Rządzi on poddaniymi twardą ręką, bo mówią oni różnymi językami, a tylko siłą i pieniędzmi można nad nimi zapanować.

Na południe od Glaesiru, poniżej miejsca, gdzie rzeka Kama wpływa do Itilu, leży wspaniałe miasto Bulgar<sup>[32]</sup>. Podporządkowało ono sobie wiele ludów, tworząc silny kraj, konkurujący z Vaeringami w handlu. Władcy tego państwa każą tytułować się kaganami, a większość jego mieszkańców poznała już nauki Muhammada. Trzy plemiona w tym kraju są najpotężniejsze: Barsula, Isgil i Bulkar. Bulgarzy rządzą się twardymi prawami. Gdy któryś z nich nieumyślnie zabije człowieka, wkładają go do skrzyni z trzema bochenkami chleba, po czym umieszczają ją na trzech palikach, pomiędzy niebem a ziemią, by czas i wiatr zniszczyły ciało niegodziwca. W osobliwy sposób honorują natomiast mądrość. Człowieka, który wykaże się wielką przedsiębiorczością i niemałym sprytem, wieszają na gałęzi, by służył Allahowi.

Co się tyczy Burdasów mieszkających nad środkowym Itilem, jest to bardzo tajemniczy lud<sup>[33]</sup>. Niektórzy serklandzcy mędracy uważają ich za Saglabów, choć mówią oni odmiennym językiem. Vaeringowie nazywają ich Bjarmalandczykami, lecz ludzie Północy miano to nadają wielu tamtejszym ludom, nawet mieszkającym na dalekiej Północy Permianom. Burdasami nie rządzi jeden władca, a każda osada ma jednego lub dwóch starszych, u których mieszkańcy zasięgają rady. Mieszkają w lasach, a ich największymi skarbami są miód, kunie skóry i wielbłądy. Ofiary składają bogu Jomalemu<sup>[34]</sup>, który jest wielkim czarownikiem i władcą innych bogów.

Co się tyczy plemion zamieszkujących nad dolnym Itilem, są to głównie koczownicy At-Turk<sup>[35]</sup>, ponieważ rozciągają się tam stepy. Vaeringowie nazywają ich Tattarami, Hunami lub konio-ludźmi, bo wszyscy oni kochają wierzchowce bardziej niż własne kobiety. Dzielą się na wiele ludów i plemion, a choć obcym trudno jest je rozróżnić, wobec siebie zachowują wielką wrogość, jak wilki zaciekle pilnujące swojego terytorium.

Najpotężniejszy koczowniczy kaganat stworzył lud Al-Hazar<sup>[36]</sup>. Chazarowie słyną jako znakomici konni włócznicy i zaradni kupcy. Ich władca nosił tytuł hazar-hagan i potrafił narzucić swoją wolę zarówno

burdaskim plemionom, jak i miastu Bulgar. Mają oni swoje miasta, ale przebywają tam tylko zimą, bo lato spędzają na stepie. Religia ich jest taka, że wierzą w jednego boga zwanego Eloah Hazar. Nie jest to jednak bóg ich ojców, a czczą go, odkąd ich kagan Bułan przyjął naukę Moszy<sup>[37]</sup>, przyniesioną mu przez kupców Ar-Radanija<sup>[38]</sup>.

Na wschód od Chazarii mieszkają koczownicy Al-Guezzija<sup>[39]</sup>. Żyją oni w brudzie i ciężkich warunkach, a są niby błędzące osy, które nie mają gniazda. Ich obóz jest bowiem w ciągłym ruchu, a ich kurenie jadą z nimi na wozach, gdziekolwiek ci się udadzą. Bezwstydność jest u nich wielka, ale nie spotyka się cudzołóżników. Kobiety nie tylko nie zasłaniają twarzy, ale niczego spośród swojego ciała nie chronią przed męskimi spojrzeniami. Mówią zaś, że lepiej, by kobieta pokazywała swój srom obcym, ale pilnowała go dla męża, niżli go zakrywała, ale udostępniała innym.

O ludzie Al-Baganakija to można powiedzieć, że jest utrapieniem dla każdej osady nad dolnym Itilem<sup>[40]</sup>. Rozbójnicy ci nie mają stałych siedzib, tylko wciąż podróżują za swoimi stadami. Najliczniej zajmują tereny na wschód od Chazarii, ale jako te psy najemne zaciągają się na służbę wielu kaganów Wschodu. Jak inni koczownicy miłują kumys ze sfermentowanego mleka wyrabiany. W zimie grzeją ich ubrania z wołoku<sup>[41]</sup>, które są cieplejsze niż niedźwiedzie futro. Wierzenia Baganakijczyków nie różnią się wiele od fałszywej nauki znanej wszystkim stepowym ludom. Najważniejszy jest u nich bóg Tengri, który na swoim rumaku przemierza niebo<sup>[42]</sup>.

# Słowniczek nazw własnych, terminów i trudnych wyrażen

**Aegir** (staroskandynawskie *Ægir*) – dosłownie: Ocean. W nordyckiej mitologii naczelne bóstwo (lub olbrzym o boskich prerogatywach) sfery wód morskich. Jego żoną była bogini Ran (Morze), a córkami fale (córki Aegira). Jego braćmi były olbrzymy: Logi (władca ognia) i Kari (pan wiatrów).

**aesma** (awestyjskie) – bitewna wściekłość, uświęcony przez boga Wertragnę szal bitewny.

**akneton** – nazwa uzbrojenia ochronnego. Pikowana przesywanica (gruby kaftan), używana przez koczowników na Wschodzie.

**alfy** (stskand. *álfar*) – zwane często elfami. Istoty znane z mitologii zachodniogermańskich (Skandynawowie, Anglosasi), których koncept prawdopodobnie pochodzi z wierzeń celtyckich. W Skandynawii wiązano je z siłami natury.

**andi** (stskand.) – duch, istota demoniczna.

**Atar** – władca ognia. Bóg mitologii irańskiej, syn Ormuzda.

**Austrveg** (stskand. *Austrvegr*) – Wschodni Szlak, czyli potocznie: Wschód. Tak w Skandynawii określano wszystkie krainy położone na wschód od Bałtyku, m.in. Gardariki, czyli Ruś.

**Al-Baganakija, Baganakijczycy** – patrz: Pieczyngowie.

**Bahr al-Hazar** (arabskie) – Morze Chazarów. Patrz: Morze Tattarów.

**bakburta** (stskand. *bakborði*) – lewa burta statku, przeciwna do sterburty (stskand. *stjórnborði*). Oba pojęcia wywodziły się z ówczesnej techniki żeglarskiej. W wikińskich statkach wiosło sterowe zawsze przytwierdzano do prawej burty (sterburty), a osoba, która je obsługiwała, była obrócona tyłem do lewej/tylnej burty (bakburty).

**bard** – celtycki pieśniarz.

**berserk** (stskand. *berserkr*) – wojownik walczący w bitewnym szale.

**berserksgang** (stskand. *berserksgangr*) – szal berserków.

**Bida** – mityczny wąż rzeki Niger, czczony w państwie Wagadou jako bóg.

**Bitewny Krzyk** – przydomek boga Göllnira.

**Bjarmaland** – skandynawska nazwa ziem zamieszkałych przez ludność ugrofińską (patrz: mapy). Mogła oznaczać zarówno historyczną krainę w dorzeczu Dźwiny, jak cały pas tajgi i tundry północnoruskiej, a także legendarną krainę Wschodu o bliżej nieokreślonej lokalizacji. Terminu Bjarmaland często używano zamiennie z nazwą Perm (patrz niżej).

**Bjarmalandczycy** (stskand. *Bjarmar*) – skandynawska nazwa na ludność ugrofińską zamieszkującą tereny wschodniej Europy, od żyjących na południe od Wołgi Mordwinów po zajmujących daleką Północ Permian.

**Blaland** (stskand. *Bláland*) – Czarna Ziemia, skandynawska nazwa ogólna Czarnej Afryki.

**Blamad** (stskand. *blámaðr*) – czarnoskóry człowiek, skandynawska nazwa Murzyna, mieszkańca Blalandu.

**blotmad** (stskand. *blótmaðr*) – człowiek ofiar, jak w Skandynawii nazywano gorliwego czciciela bogów, który często składał im ofiary i wierzył w moc ich ziemskich interwencji.

**Bödvar Bjarki** – heros znany ze skandynawskich sag. Jego ojcem miał być mężczyzna zaklęty w niedźwiedzia. Osobna saga o tym bohaterze się nie zachowała (choć z pewnością istniała w czasach pogańskich), ale jego historię znamy z innych źródeł, między innymi z *Sagi o Hrolfie Kołku*, spisanej prawdopodobnie w XIII wieku.

**bogaty** (staroruskie *bogatyrb*) – zaczerpnięte z języków turko-tatarskich (*bagatur* – śmiałek) ruskie określenie na młodego wojownika, śmiałka, herosa, bohatera.

**Bóg Krzyku** – patrz: Göllnir.

**Bulgar** – potężne we wczesnym średniowieczu państwo Bułgarów nadwożańskich ze stolicą w Bulgarze, wielkim mieście kupieckim nad Wołgą, niedaleko jej zbiegu z Kamą. W połowie X wieku państwo Bułgarów zaczynało tracić na znaczeniu, a w latach 964-965 zostało podbite przez ruskiego księcia Światosława (patrz: Sviatisleif).

**Bulgarzy** – lud turko-tatarski, który stworzył państwo Bulgar. W dzisiejszej polskiej terminologii nazywani Bułgarami nadwożańskimi lub wożańsko-kamskimi.

**Bułan** – władca Chazarów, który wprowadził do swojego kraju judaizm. Niewiele o nim wiadomo. Żył prawdopodobnie w VIII wieku.

**Burdasi** – tajemniczy lud ugrofiński znany ze źródeł arabskich. Część badaczy identyfikuje ich z mordwińskim plemieniem Moksza (patrz: Mordwini), choć prawdopodobnie powstali z przemieszania się Mokszań z irańskimi Alanami.

**buńczuk** – ozdoba, ale i oznaka władzy wśród plemion tureckich. Zwykle składał się z krótkiego drzewca, do którego doczepiano końskie ogony. Mógł służyć za broń albo być zawieszany u końskiej szyi.

**Chazarowie** – lud turko-tatarski, który we wczesnym średniowieczu stworzył imperium na terenach nadkaspjskich i na Przedkaukaziu, uzależnił też słowiańskie ludy południoworuskie. Stolicą ich państwa było bogate miasto handlowe Itil nad ujściem rzeki Itil (Wołgi) do Morza Kaspjskiego.

W czasach powieści Chazarowie wyznawali judaizm.

**Chorezm** – historyczna kraina leżąca na obszarze dzisiejszego Iranu, Turkmenistanu i Uzbekistanu.

W X wieku kraj ten znajdował się pod kontrolą Arabów.

**dirham** – srebrna moneta arabska.

**disy** (stskand. *dísir*) – duchy zmarłych kobiet, które mogły stać się boginiami albo istotami demonicznymi przynoszącymi szczęście lub pecha. Niekiedy nazywano tak kobiety z potężnych rodów.

**drapa** (stskand. *drápa*) – pieśń skaldyczna o wyszukanej formie.

**draug** (stskand. *draugr*) – żywy trup, upiór lub ogólnie: istota demoniczna.

**dreng** (stskand. *drengr*) – wojownik.

**dromedar** (stskand. *drómedari*) – dromader, czyli wielbłąd jednogarbny.

**drottkvaett** (stskand. *dróttkvaett*) – miara poetycka zarezerwowana dla najznakomitszej poezji. To w niej najczęściej tworzone drapy na cześć władców. Miała ośmiowersowe strofy składające się dokładnie z czterdziestu ośmiu sylab. Rytm wiersza tworzyły wewnętrzne rymowania i kombinacja sylab akcentowanych z nieakcentowanymi.

**drottinga** (stskand. *dróttning*) – królowa, żona konunga. W odróżnieniu do tego pojęcia funkcjonował tytuł meykonga (stskand. *meykongr* – co ważne, to rzeczownik rodzaju męskiego), który oznaczał samodzielną (niezależną od woli męża) władczynię o męskich cechach charakteru.

**Dyragard** (stskand. *Dýragarðr*) – dosłownie: Zwierzęcy Gród. Stolica Glaesiru.

**Dżibra'il** – arabska nazwa archanioła Gabriela. W islamie jest wysłannikiem Allaha, który poddyktował Mahometowi tekst *Koranu*.

**dżin** (arab. *džinn*) – w mitologii arabskiej (przed islamem) rozumny demon zrodzony z płomienia albo obłoku pary. Zwykle reprezentował siły natury.

**Egil Skallagrímsón** – żyjący w X wieku słynny skald, jeden z najznakomitszych średniowiecznych poetów. Jednym z jego utworów był wspomniany przez Ainara *Höfuðlausn*, czyli *Wykupienie głowy*. Według tradycji Egil skomponował go w Yorku około 950 roku, by wykupić się z więzienia króla Eryka Krwawego Topora. Historycy przypuszczają, że właśnie Egil był autorem nowatorskiego wówczas metrum *runhet*.

**einherjowie** (stskand. *einherjar*) – wojownicy polegli w boju, którzy zostali przyjęci do Gmaszyska Zarzniętych, zwanego w mitologii nordyckiej Walhallą.

**einvigi** (stskand. *einvigi*) – pojedynek.

**Eloah** (hebrajskie) – jedna z żydowskich nazw Boga, pochodząca z tego samego semickiego źródłosłowu co arabskie miano Allah.

**Englarowie** (stskand. *Englar*) – dosłownie: Anglowie, ale chodzi ogólnie o Anglosasów z Brytanii.

**Eryk** – chodzi o Eryka Krwawego Topora, sławnego wodza wikingów oraz króla Norwegii (ok. 930 – ok. 934) i władcę Yorku (ok. 948 – ok. 954) w północnej Anglii.

**ferja** (stskand. ) – prom towarowy.

**fjandi** (stskand. *fjándi*) – demon, istota plugawa. W czasach chrześcijańskich określenie to przeniesiono na szatana, diabła.

**fjörbaugsgard** (stskand. *fjörbaugsgarðr*) – mniejsze wyjęcie spod prawa, obejmujące zwykle okres trzech lat. Przez ten czas skazaniec pod groźbą śmierci nie mógł przebywać na ziemi objętej banicją.

**fornyrdislag** (stskand. *fornyrðislag*) – miara wierszowa tworząca wiersz sylabiczny. Wymagała od poety układania wersów czterosylabowych, bez rymów na końcu wyrazów. Jej odmianą była miara runhet (patrz: runhet).

**fostbrae dralag** (stskand. *fostbræðralag*) – rytuał zawarcia braterstwa krwi.

**fylgja** (stskand. *fylgja*, l. mn. *fylgjur*) – towarzysząca. Duch o kobiecym kształcie, który opiekował się człowiekiem aż do jego śmierci.

**gard** (stskand. *garðr*) – gród.

**Gardariki** (stskand. *Garðariki*) – Królestwo Grodów, skandynawska nazwa Rusi.

**gardskonung** (stskand. *garðskonungr*) – król grodu (w domyśle: Miklagardu), jak wikingowie zwykli tytułować cesarza greckiego (bizantyjskiego).

**Gefna** (stskand. *Gefn*) – dosłownie: Dawczyni. W mitologii nordyckiej jedno z imion bogini Freji. W ujęciu tej książki (i niektórych badaczy) Gefna jest oddzielną boginią związaną z kultem płodności i seksem.

**ghan** (z języka ludu Soninke: *ghana*) – władca, tytuł królów Wagadou. Później stał się nazwą całego państwa.

**ghul** (arab.) – w odróżnieniu od wyobrażeń tych stworów ukazywanych w horrorze i fantasy w mitologii arabskiej tylko niektóre z nich mieszkają na cmentarzach i zjadały umarłych. Arabowie nazywali ghulami wszelakiej maści demony (potrafiące przybierać postać zwierząt lub bestii), które miały powstać z aniołów zbuntowanych przeciw Bogu i porażonych za to spadającymi gwiazdami.

**Glaesir** (uproszczona forma nazwy *Glæsisvellir*) – legendarna kraina opisywana w skandynawskich sagach. Nie wiadomo, czy miała jakiś historyczny pierwowzór. Niektórzy tłumaczą tę nazwę jako Ziemia Bursztynów lub Ziemia Radości.

**Gmaszysko Zarzniętych** – niebiańska halla dla poległych w boju wojowników. W mitologii nordyckiej znana jako Walhalla (stskand. *Valhöll*).

**Göllnir** (stskand.) – dosłownie: Bitewny Krzyk. W mitologii nordyckiej – jedno z imion Odyna. W świecie *Skalda* jest naczelnym bóstwem, stwórcą świata, patronem skaldów, berserków,

szaleńców, władców i pijaków.

**grid** (stskand. *grið*, strus. *grid*) – stosowana na Rusi nazwa drużyny zbrojnych. Skandynawski odpowiednik – patrz: drott.

**gridin** (strus.) – drużynnik, członek gridu.

**Grikkland** (stskand.) – Grecja, a także ogólna nazwa na całość Cesarstwa Bizantyjskiego.

**Grikkmad** (stskand. *Grikkmaðr*) – Grek, ale też ogólnie: poddany cesarza bizantyjskiego.

**Grimnir** (stskand. *Grímnir*) – dosłownie: Zamaskowany. W mitologii nordyckiej jedno z imion Odyna, znanego z przybierania różnych masek (zmieniania wyglądu). W świecie *Skalda* to tajemniczy bóg, brat Göllnira, o którym wiadomo tylko tyle, że jest opiekunem oszustów, przedrzeźniaczy i wszystkich tych, którzy ukrywają swoją tożsamość.

**Al-Guezzija, Guezzijczycy** – arabska nazwa ludu Turków Oguzów. Oguzowie żyli w X wieku na terenach między Jeziorem Aralskim, dolną Wołgą, rzeką Ural i Morzem Kaspijskim.

**hag** (stskand. *hagr*) – biegły, zręczny. W ten sposób często określano rzemieślników i skaldów (rzemieślników słowa).

**hamask** (stskand.) – szal przemienienia. Stan bitewnej furii, w którym walczyli hamramirzy.

**hamingja** (stskand.) – zwierzęcy duch opiekuńczy, który przystaje do człowieka i często jest „dziedziczony” w obrębie danego rodu. W mitologii świata *Skalda* duch ten wpływa na „kształt człowieka” i niektórzy czarownicy czerpią z niego moc, dzięki której potrafią zmieniać się w zwierzę.

**hamramir** (stskand. *hamramr*, l. mn. *hamramir*) – dosłownie: silny kształtem. Człowiek, o którym mówiono, że nie ma jednego kształtu, czyli jest zmiennokształtny. W świecie *Skalda* to wojownik, który wierzy w silną więź łączącą go z wybranym zwierzęcym duchem.

**Hangagud** (stskand. *Hangaguð*) – Powieszony Bóg. Bóg wisielców, który lubi siedzieć pod szubienicą i rozmawiać z powieszonymi. Brat Göllnira, a w mitologii nordyckiej jedno z imion Odyna.

**harpagon** – prosta machina oblężnicza znana już w starożytności. Miała długie drewniane ramie zwieńczone hakiem, którego używano do niszczenia umocnień grodu.

**hatt** (stskand. *hattr*) – miara wierszowa, metrum.

**Al-Hazar** (arab.) – patrz: Chazarowie.

**Hel** (stskand.) – bogini podziemi i śmierci w mitologii nordyckiej. Prawdopodobnie powstała jako personifikacja hel – zaświatów przeznaczonych dla zmarłych, którzy nie zginęli w boju.

**Helga** (zruszczona forma: Olga) – ur. ok. 923-927, zm. 969 r. ruska księżna z rodu wareskiego, matka księcia Światosława (patrz: Sviatisleif).

**höfudbenda** (stskand. *höfuðbenda*) – wanta, lina stabilizująca maszt. Za pomocą want przymocowywano maszt do obu burt statku.



**Holmgard** (stskand. *Holmgarðr*) – Gród na Wyspie. Siedziba Waregów, założona przy wypływie rzeki Wołchow z jeziora Ilmeń. Później ten ośrodek (zwany też Gorodiszcze) przekształcił się w miasto Nowogród Wielki.

**hunn** (stskand. *húnn*) – szczyt masztu statku wikińskiego, stanowisko wypatrywacza.

**Hunowie** – patrz: Tattarzy.

**ifrit** (arab.) – demon, rodzaj potężnego dżina, zawsze kojarzony ze złem. Czasem w tradycji przedstawiano ifrity jako duchy pomordowanych, które łakną krwi.

**ilah** (arab.) – arabska nazwa boga.

**immam** (arab.) – arabski kapłan.

**Indialand** (stskand. *Indíaland*) – Ziemia Indów (czyli Hindusów). Choć pojęcie to w znaczeniu dosłownym odnosiło się do Indii, nie do końca dotyczyło krain Półwyspu Indyjskiego. Nazwą tą wikingowie określali wszystkie bardzo egzotyczne i nieco legendarne krainy Wschodu – zwłaszcza te, które leżały jeszcze za Ziemiami Arabów (Serklandami). Kiedy więc Ali mówi o Indiach, ma na myśli rozległe tereny ciągnące się od Iranu (ówcześnie będącego częścią składową imperium Chorezmu) aż po krańce Indii.

**Irskmadowie** – (stskand. *Írskmaðr*) – Irowie z Irlandii.

**ithrott** (stskand. *íþrótt*) – poetycki wyczyn. Tak nazywano stworzenie wyjątkowo dobrej pieśni.

**Itil** (także: Atil lub rzeka Saglabów) – arabska nazwa Wołgi.

**Jaguga i Maguga**, lud – inaczej lud Goga i Magoga. Wspomniani w *Biblii* dzicy najeźdźcy przybyli z północy, utożsamiani dziś przez naukowców ze starożytnymi Kimmerami lub Scytami. W średniowieczu uważano ten lud za legendarny, a jego ojczyznę chrześcijanie umieszczali daleko na wschodzie, Arabowie zaś od IX wieku widzieli ich siedzibę w Skandynawii.

**jaszty** (awest.) – pieśni pochwalne na cześć bogów.

**Jednoręki** (stskand. *Einhendr*) – przydomek boga Tyra. W świecie *Skalda* to bóg sprawiedliwości, rękojmia umów.

**Jomali** (stskand. *Jómali*) – staronordycka nazwa fińskiego boga Jumala, znanego również wśród ludów ugrofińskich znad Wołgi. Bóg nieba i magii.

**Jörmungand** (stskand. *Jörmungandr*) – dosłownie: Wielki Potwór. Ogromny wąż, według mitów otaczający świat. Zwano go też czasem Midgardsormem, czyli Wężem Midgardu. Jako że był najpotężniejszym gadopodobnym potworem z wierzeń Skandynawów, Ainar widział w nim praojca wszystkich smoków.

**jötun** (stskand. *jötunn*) – jedno ze skandynawskich określeń olbrzyma.

**junak** – nowożytnie słowo, sztucznie utworzone od starosłowiańskiego *junь* – młodzieniec, na określenie dawnego słowiańskiego młodego wojownika, bohatera.

**Kaennugard** (stskand. *Kænnugarðr*) – skandynawska nazwa Kijowa.

**kafir** (arab.) – niewierny.

**kagan** (języki turko-tatarskie) – władca. Określenie używane (wymiennie z tytułem chan) przez koczownicze ludy azjatyckie, głównie o pochodzeniu turskim. Pod wpływem koczowników tytuł ten przejęli władcy słowiańscy i warescy z terenów Rusi.

**kalif** (arabs.) – następca Mahometa. Tytuł używany przez władców muzułmańskich, którzy byli równocześnie przywódcami religijnymi.

**kańczug** (tur.-tatar.) – nazwa bicia składającego się z drewnianego lub kościanego trzonka oraz skórzanego rzemienia. Później zwany nahajką. Służył koczownikom do poganiania zwierząt, a w wersji wzmocnionej (np. metalowymi kulkami na końcu rzemienia) do walki.

**Kari** (stskand. *Kári*) – Podmuch Wiatru, olbrzym, władca wiatru.

**karzeł** (stskand. *dvergr*) – w mitologii nordyckiej karłowata istota znająca się na magii i kowalstwie. Karły żyły pod ziemią lub między skałami, a rodzić się miały z kamieni. Z oczywistych powodów o bycie karłem podejrzewano wszystkich niskich ludzi.

**katar** – rodzaj sztyletu pochodzenia indyjskiego. Przykład broni kastetowej zakładanej na pięść.

**kenning** (stskand.) – rodzaj rzeczownikowej przenośni, będącej rozbudowanym określeniem zastępczym na często używany wyraz, np. słowo „poeta” zastępowano kenningiem „kował słów”.

**konung** (stskand. *konungr*) – skandynawskie określenie w pełni niezależnego władcy.

**krang** (stskand. *krangr*) – słaby, wątpliwy.

**kreml** (strus. *kreml*) – tak na Rusi nazywano twierdzę wewnątrz grodu lub miasta, która była siedzibą władcy.

**Krist** (stskand. *Kristr*, od grec. *Christos*, *Kristos*) – Chrystus.

**kristmadowie** (stskand. l. poj. *kristmaðr*, l. mn. *kristmenn*) – chrześcijanie.

**Księżyc** – patrz: Mani.

**kureń** (tur.-tatar.) – nazwa obozu koczowników, który charakteryzował się dużą „mobilnością”, składał się bowiem głównie z namiotów, które łatwo było złożyć i przewieźć w dowolne miejsce. Kurenie nie miały stałej lokalizacji i były ciągle przenoszone w poszukiwaniu lepszych pastwisk dla koni. Podczas wojny spełniały funkcję taboru i ciągnęły za wojskiem.

**kurtak** (tur.-tatar.) – kurtka lub kaftan zrobiony ze skóry lub futra (często baraniego), spotykany wśród tureckich koczowników. Niekiedy występował w formie kamizelki z rękawami lub bez.

**kyrtill** (stskand.) – tunika albo długa koszula wkładana na spodnią koszulę. Stać było na nią tylko bogatszych, dlatego często miała wycięcie na piersi i krótsze od spodniej koszuli rękawy, by pokazywać, że właściciela stać na dwie warstwy ubioru.

**Laerad** (stskand. *Læraðr*) – patrz: Yggdrasill.

**Lodowa Wyspa** (stskand. *Ísland*) – Islandia.

**Logi** (stskand.) – olbrzym, władca ognia.

**Lopt** (stskand. *Loptr*) – bóg kłamstwa i oszustw. W mitologii nordyckiej to jedno z imion Lokiego.

**lunatyk** – w krajach arabskich i chrześcijańskich ludzi szalonych często nazywano lunatykami, wierząc, że ich obłąd jest spowodowany wpływem Księżyca (łac. *luna*), a szaleństwo określano lunatyzmem.

**Magni** (stskand.) – dosłownie: Mocny. W mitologii nordyckiej to syn Thora lub jedno z jego wcieleń. W świecie *Skalda* – bóg fizycznej siły, patron wojowników i władca burzy, który kamienną maczugą lub żelaznym młotem rozbija łby olbrzymów.

**al-magus** (arab.) – magowie. Tym mianem Arabowie określali nie tylko czarowników, ale też innowierców – np. pogańskich Normanów – a zwłaszcza wyznawców zaratusztranzizmu (zwanego przez arabskich uczonych religią ognia), mieszkających na terenach dzisiejszego Iranu (ówczesnego Chorezmu). W książce opisane zostało też bractwo magów z Chorezmu, którzy produkowali z oleju skalnego tak zwany ogień grecki – bojową mieszkankę zapalającą.

**mandżanik** – machina wywodząca się od bizantyjskiej biffy. W X wieku powszechnie używana przez koczowników i Rusów. Typ katapulty składający się z wysokiego stojaka i umieszczonego na nim ramienia, którego krótszą część obciążano, a dłuższą wyposażano w nosidło do wyrzucania kamieni.

**Mani** (stskand. *Máni*) – Księżyc czczony jako bóg. Brat Słońca i syn Mundilfarego. W świecie *Skalda* jeździ po nocnym niebem wozem ciągniętym przez dwa konie, Pełnię i Nów, uciekając przed wilkiem Hatim.

**Mauments** (stskand.) – wikińskie zniekształcenie imienia proroka Muhammada (Mahometa).

**merk** (stskand. *merki*) – sztandar używany w bitwie.

**merkismad** (stskand. *merkismaðr*) – wojownik trzymający sztandar.

**Miklagard** (stskand. *Miklagarðr*) – Wielki Gród, skandynawska nazwa Konstantynopola, stolicy Bizancjum.

**Mimir** (stskand.) – olbrzym i najmądrzejsza istota w mitologii nordyckiej. Jego głowa zanurzona jest w źródle wytryskającym spomiędzy korzeni drzewa świata, Laerada.

**Mokosha** – stylizowany na skandynawski zapis imienia słowiańskiej bogini związanej z kultem płodności, Mokoszy.

**mordvarg** (stskand. *morðvargr*) – dosłownie: morderczy wilk. Zbrodniarz, który dokonał zabójstwa w niegodny sposób – podstępnie, w nocy lub używając trucizny.

**Mordwini** – nazwa zbiorcza na mieszkające na południe od środkowej Wołgi ludy ugrofińskich Moksów (patrz też: Burdasi) i Erzjan. Skandynawowie zaliczali ich do Bjarmalandczyków, jak wszystkich Ugrofinów.

**Morze Tattarów** – jedna z nazw Morza Kaspijskiego, pochodząca od koczujących nad jego brzegami

licznych ludów turko-tatarskich. Przez Arabów było zwane Bahr ar-Hazar.

**Mosze** (hebr.) – Mojżesz.

**Muhammad** – Mahomet.

**muhammadanie** – mahometanie.

**Nidhögg** (stskand. *Niðhöggr*) – mityczny smok związany ze śmiercią oraz podziemiem, który zjadał trupy i pił krew zmarłych. Miał leżeć pod korzeniami Yggdrasilla, drzewa świata.

**Noreg** (stskand. *Noregr*) – skandynawska nazwa Norwegii; forma skrócona pierwotnego terminu Norweg (*Norvegr*) – Północny Szlak, jak nazywano ziemie skandynawskie położone nad Morzem Północnym.

**norny** (stskand. l. poj. *norn*, l. mn. *nornar*) – boskie szwaczki. Przędły tkaninę życia każdego człowieka, decydując o jego losie. Odpowiadały za przeszłość, teraźniejszość i przyszłość wszystkich ludzi, a nawet bogów.

**oborotnicstwo** (strus.) – zmiennokształtność.

**Odainsak** (stskand. *Ódáinsakr*) – legendarna kraina znana z islandzkich sag. Nie wiadomo, czy miała historyczny pierwowzór. W powieści została powiązana z wareskimi ośrodkami handlowymi zakładanymi wzdłuż Wołgi.

**odar smid** (stskand. *óðar smiðr*) – kowal słów, kowal poezji. Jedno z określeń na skalda, poetę, pieśniarza.

**odrmad** (stskand. *óðrmaðr*) – szaleniec.

**Oguzowie** – patrz: Al-Guezzija.

**olbrzymy** – ogólna polska nazwa na wielkie humanoidalne stwory będące wrogami bogów, które w wierzeniach skandynawskich zwano trollami, thursami lub jötunami.

**onager** – rodzaj maszyny oblężniczej. Używany w średniowieczu typ balisty, który składał się z podwozia z kołami i „łyżki” z pojemnikiem na kamienie. Źródłem jego siły były dwa drewniane ramiona, które naciągnięte (niczym wielki łuk), przekazywały impet na łyżkę i wyrzucały pocisk.

**öndvegi** (stskand.) – wysokie siedzisko. Miejsce na podwyższeniu, na którym zasiadał władca, przywódca rodu lub gospodarz domu. Odpowiednik łacińskiego tronu.

**Ormuzd** (inaczej: Ahura Mazda) – naczelny bóg panteonu irańskiego (w zaratusztranzimie, manicheizmie i zurwanizmie). Bóg światła i ognia, dobro wcielone.

**Örvar Odd** – znany nordycki bohater, któremu poświęcono heroiczną opowieść *Örvar-Odds saga*. Uchodził za niezrównanego łuczniczkę, a jego przydomek pochodził od słowa *ör* – strzała.

**Östland** (stskand.) – Wschodni Kraj. Nazwa historycznej krainy w południowej Norwegii.

**Östmad** (stskand. *Östmaðr*) – mieszkaniec Östlandu.

**Perm** – ogólna nazwa na rozległe obszary dzisiejszej północnej Rosji europejskiej, zamieszkane

wówczas przez północne odłamy Bjarmalandczyków (jak Skandynawowie określali wszystkie ludy ugrofińskie): głównie Karelów i Wożan (od jeziora Onega do Morza Białego) oraz Permiaków (żyjących między jeziorem Ładoga a Uralem, którzy w ciągu średniowiecza podzielili się na wiele ludów, m.in. Kormiaków, Permian właściwych czy Pieczorców). W świecie *Skalda* Permem jest określana kraina Permian, rozciągająca się na północ od rzeki Kamy, w rejonach Uralu Subpolarnego i Uralu Północnego.

**Permianie** – bjarmalandzkie plemiona zamieszkujące tereny między Morzem Białym a Uralem.

**Perun** – słowiański pan wojny, burzy, władzy, prawa, a w efekcie zapewne bóg naczelny słowiańskiego panteonu. Odpowiednik zarówno wikingińskiego Thora, jak i Odyna.

**Physiologus** – bestiariusz powstały jeszcze w starożytności (prawdopodobnie między II a IV wiekiem), który był bardzo popularny i często kopiowany w średniowieczu zarówno w krajach chrześcijańskich, jak i muzułmańskich. Dzieło to wywarło niezwykle duży wpływ na kulturę tamtej epoki.

**Pieczynowie** – turko-tatarski lud koczowniczy, we wczesnym średniowieczu zamieszkujący stepy nadczarnomorskie. Nazwa arabska: Al-Baganakija.

**Północ** – geograficzno-kulturowe określenie ojczystych krain Skandynawów.

**Prokopiusz z Cezarei** – słynny bizantyjski historyk żyjący w latach ok. 490-561. W licznych dziełach opisywał zarówno życie dworskie (*Historia sekretna*), jak i związane z wojskowością (*Historia wojen*) Cesarstwa Bizantyjskiego.

**Al-Qustantinija** – arabska nazwa Konstantynopola, patrz: Miklagard.

**Ragnarök** (stskand. ) – koniec świata w mitologii nordyckiej.

**Ratatosk** (stskand. *Ratatoskr*) – Niosący Niezgodę. Mityczna wiewiórka, która mieszkała na drzewie świata Laeradzie i przenosiła słowa niezgody między kłócącymi się ze sobą orłem (siedzącym na wierzchołku drzewa) i smokiem Nidhöggiem (mającym leże w korzeniach).

**rum** (stskand. *rúm*) – przestrzeń między ławkami wioślarskimi na statku wikingim.

**runhet** (stskand. *runhet*) – miara poetycka. Niezwykle trudne metrum, będące rzadkością nawet w Skandynawii. Pieśń ułożona w tej mierze składa się z ośmiu czterosylabowych wersów, które musiały się ze sobą rymować. Wersy łączyły się ze sobą w pary za pomocą aliteracji (powtarzanie akcentowanych sylab w kolejnym wersie). Więcej na jej temat patrz też: Egil Skallagrímonson.

**runy** (stskand. *rúnar* – sekret, mądrość) – znaki alfabetu runicznego. Wycinano je głównie w drewnie lub ryto w kamieniu. Używane do celów magicznych, ale i handlowych oraz codziennych.

**rutta** – prosta machina służąca do wyrzucania włóczni. Składała się z pnia, w którym pionowo wydrążano otwory na włócznie, oraz z listwy, która po naciągnięciu wyrzucała pociski.

**saga** (stskand.) – opowieść prozą. Istniały sagi o bohaterach, o królach, o wodzach, o osadnikach nowych ziem itd., ale istniały także sagi dla dzieci, czyli opowieści w rodzaju pierwotnych baśni.

**Saglabowie** (arab. *Saglab*, l. mn. *Sagaliba*) – arabska nazwa Słowian. Niektóre arabskie źródła rozszerzają to miano na wszystkich mieszkańców ziem leżących na północ od strefy stepów nadczarnomorskich, czyli zarówno Słowian, jak Ugrofinów czy Bałtów.

**saif** (arab.) – arabska nazwa miecza, zwykle odnoszona do zakrzywionej broni typu scimitar (sejmitar). Saify były znakomitą i kosztowną bronią, wytwarzaną ze stali damasceńskiej.

**saks** (stskand. *sax*) – germański nóż bojowy, dłuższy od zwykłego noża, a krótszy od miecza. Czasem nazwę tę rozciąga się na każdy rodzaj noży bojowych i mieczy.

**seidrmad** (stskand. *seiðrmaðr*) – czarownik obeznany z magiczną sztuką seid, którą ogólnie rzecz biorąc, wiązała się z właściwymi aspektom kobiecym czarami płodności, stąd traktowano w Skandynawii traktowano seidrmaðów dość niechętnie. Niczym szamani posiadli umiejętność oddzielania swojego ducha od ciała.

**Serklandy** (stskand. *Serkland*) – Ziemia Saracenów. Skandynawska nazwa arabskich krain.

**skald** (stskand. *skáld*) – skandynawski poeta i pieśniarz, uważany też za człowieka mającego dzięki poezji i alkoholowi bliższy kontakt z bogami.

**skip** (stskand.) – statek.

**skjaldborg** – mur tarcz. Formacja bitewna wikingów, która polegała na tworzeniu szeregu wojowników osłaniających się zachodzącymi na siebie tarczami.

**skogarmad** (stskand. *skógarmaðr*) – leśny człowiek. Jedna z nazw banitów żyjących w lesie, czyli poza zasięgiem świata opanowanego przez człowieka. Patrz też: *varg*.

**skömm** (stskand.) – hańba.

**skytning** (stskand. *skytningr*) – wikingiński szynk. Nie jest prawdą rozpowszechniona opinia, że we wczesnym średniowieczu nie było karczm. Były, z tym zastrzeżeniem, że chrześcijańscy władcy zwykle wydawali prawa zakazujące nocowania w takich miejscach – w trosce o moralność biesiadników, jak też po to, aby uniknąć przekształcenia tawern w noclegownię dla pijaków i szumowin. W pogańskiej Skandynawii nic jednak nie wiadano o chrześcijańskim zakazie nieumiarkowania w jedzeniu i picciu, więc skytningi cieszyły się dużą popularnością. Goście mogli w nich kupić jedło i napoje lub raczyć się własnym prowiantem. W islandzkich sagach wielokrotnie opisywano, że pobyty w skytningach kończyły się wielodniowym pijaństwem.

**Słońce** – patrz: *Sol*.

**smerd** (stslow.) – używana we wczesnośredniowiecznej Rusi i Polsce nazwa wolnego gospodarza, posiadacza własnego kawałka ziemi, rolnika i hodowcy. Stali w hierarchii społecznej niżej niż zawodowi druzynnicy, ale także spośród nich wywodziło się wielu wojowników.

**Snaer** (stskand.) – dosłownie: Śnieg. W mitologii nordyckiej to legendarny król lub lodowy olbrzym władający królestwem na dalekiej Północy. Uważany za personifikację śniegu.

**snekkja** (stskand. *snekkja*) – dosłownie: długi, cienki przedmiot wystający z wody. Była to popularna nazwa długiej łodzi wojennej wikingów. Największe statki tego typu zwano też czasem *drekami*.

(l. poj. *dreki*), które w polskiej literaturze są znane pod mianem drakkarów, czyli smoków.

**snekkjamad** – żeglarz, wiosłarz lub wojownik płynący na snekkji.

**Sol** (stskand. *Sól*) – Słońce (jako ciało niebieskie) uważane za boginię. Sol miała jasne włosy i mknęła po niebie w zaprzęgu ciągniętym przez dwa konie: Promyka i Błask. Uciekała przed wilkiem Sköllem, który chciał ją pożreć. Córka Mundilfarego i siostra Księżyca.

**stag** (stskand.) – sztag, lina stabilizująca maszt. Sztagi łączyły maszt z dziobem i rufą.

**sterburta** (stskand. *stjórnborði*) – prawa burta statku wyposażona w wiosło sterowe. Patrz: bakburta.

**styri** (stskand. *stýri*) – ster, wiosło sterowe.

**styrir** (stskand. *stýrir*) – sternik, a często także dowódca okrętu.

**Svarog** – ruska/wareska wersja imienia słowiańskiego boga słońca Swaroga.

**Svarozhich** – ruska/wareska wersja imienia słowiańskiego boga ognia Swarozycza. Syn Swaroga (lub jego wcielenie).

**Sventovit** – ruska/wareska wersja imienia słowiańskiego boga nieba, mądrości i magii Świętowita, któremu poświęcano konie.

**Sviatisleif** – pierwotna skandynawska (bo pochodził z rodu władców skandynawskich) forma imienia Światosława, księcia Rusi Kijowskiej (patrz: Gardariki), panującego w latach 945-972. Do 964 roku rzeczywistą władzę nad krajem sprawowała jego matka, Helga (Olga), która potem współrządziła z synem aż do swojej śmierci w 969 roku. Sviatisleif najpierw (964-967) podbił kraj Bułgarów nadwożańskich i zniszczył imperium Chazarów, a przez resztę panowania walczył na Bałkanach z tamtejszymi Bułgarami i Bizancjum. Zginął w zasadzce urządzonej przez koczowniczych Pieczyngów.

**szabla** – broń sieczna o charakterystycznie wygiętej głowni. Na wschodzie (Persja, Chiny) znana już w starożytności. We wczesnym średniowieczu przywiedziona do Europy przez koczowników (zwłaszcza Awarów). W X wieku na stepach nadkaspjskich i nadczarnomorskich znano zarówno chińską szablę dao, jak szable typu awarskiego i madziarskiego. Broń ta była używana przez koczowników i Słowian, choć u tych drugich została spopularyzowana dopiero w późnym średniowieczu.

**Szalony Odyniec** – przydomek boga Wertragna.

**szatrandź** (arab. *shatranj*) – arabskie szachy. Gra zbliżona do współczesnych szachów. Arabowie przyjęli ją od Persów, a ci od Hindusów.

**śniący** – osoba potrafiąca podczas snu oddzielić swojego ducha od ciała. Patrz. seidrmað.

**Światosław** – patrz: Sviatisleif.

**Tattarzy** (stskand. *Tattarar*) – dosłownie: Tatarzy, ale tego określenia nie należy łączyć tylko z tym konkretnym odłamek plemion mongolskich, gdyż we wczesnośredniowiecznej zachodniej Europie

mianem Tattarów nazywano wszystkie ludy pochodzenia turko-tatarskiego. Podobnie szerokie znaczenie miało słowo „Hun”. Ta z kolei nazwa przyjęła się wśród ludów germańskich, które pamięć o wojnach Gotów z Hunami z IV wieku przechowały w licznych pieśniach o bohaterach. Dlatego w Skandynawii jeszcze w XIV-wiecznych sagach określano Hunami wszystkich koczowników ze wschodniej Europy.

**Tengri lub Tangr** (tur.-tatar.) – bóg nieba w mitologiach tureckich koczowników, którego kult był popularny na stepach nadczarnomorskich i kaspijskich.

**tign** (stskand.) – honor. Jedna z podstawowych cech etosu skandynawskiego wojownika.

**tir** (stskand. *tírr*) – sława, chwała. Wartość, do której dążył każdy szanujący się wojownik.

**tołuba** – używana na stepach czapa z szerokim rondem.

**trabutium** – machina oblężnicza podobna do mandżanika. W powieści jest zwana kobyłą. Typ katapulty z przeciwwagą umieszczoną na stałe (w mandżanikach stosowano różne przeciwwagi, co ułatwiało dobieranie mocy wystrzału i celności maszyny). Składała się ze stojaka i ramienia po jednej stronie obciążonego workami z ziemią, a po drugiej wyposażonego w nosidło do wystrzeliwania pocisków. Rusztowanie chronione było zwierzęcymi skórami, by po wystrzale amortyzować uderzenie obciążonego ramienia.

**Treborg** (stskand. *Tréborg*) – dosłownie: Drzewny Gród. Wymyślona na potrzeby powieści stolica Odainsaku.

**Trigelav** – wareska wersja imienia boga Trzygłowa/Trygława, znanego głównie wśród Słowian Zachodnich. Bóg o trzech twarzach, symbolizujących świat podziemny, ziemski i niebiański, ale też niewykluczone, że ukazujących „trzy warianty czasu”: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

**troll** (stskand.) – jedna ze skandynawskich nazw olbrzymia.

**At-Turk** (arab.) – ogólna arabska nazwa na wszystkie ludy turko-tatarskie z pogranicza azjatycko-europejskiego (m.in. Bułgarów nadwołżańskich, Pieczyngów, Połowców, Chazarów czy Turków właściwych).

**tuttugusess** (stskand. *tuttugusessar*) – dwudziestolawkowiec, typ statku wyposażony w dwadzieścia ławek wiosłarskich. Ponieważ na każdej ławce siedziało po dwóch mężczyzn (każdy ze swoim wiosłem), taki statek napędzało czterdziestu wiosłarzy.

**Tveggi** (stskand.) – czyli Dwojaki. Mistrz magii *seiðr*, bóg o homoseksualnych skłonnościach. Pogardzany przez innych niebian i ludzi. Brat Göllnira. W mitologii nordyckiej to jedno z imion Odyna.

**Tyr** – patrz. Jednoręki.

**Vaering** (stskand. l. poj. *væringi*, l. mn. *væringjar*) – Wareg. Mianem Vaeringów/Waregów określano zbrojne grupy Skandynawów działających i osiedlających się na terenie Rusi.

**Valfud** (stskand. *Valfuðr*, *Valföðr*) – Ojciec Poległych. W mitologii nordyckiej jedno z wcieleń Odyna. W świecie *Skalda* – bóg, który jest gospodarzem Gmaszyska Zarzniętych i gości w nim poległych



wojowników.

**Valland** (stskand.) – skandynawska nazwa Francji, a zwłaszcza Normandii.

**vardkarl** (stskand. *varðkarl*) – strażnik.

**varg** (stskand. *vargr*) – dosłownie: wilk, ale w odniesieniu do ludzi termin ten oznaczał banitę, który po wypędzeniu z ludzkich siedzib musiał żyć w lesie jak wilk. Patrz też: skogarmad.

**veche** (strus.) – wiec, zgromadzenie przedstawicieli wysokich rodów. W powieści instytucja charakterystyczna dla krainy Glaesir.

**Vindasnekkja** (stskand. *Vinda snekkja*) – snekkja Wendów, czyli Słowian. Patrz: snekkja.

**Vindmad** (stskand. *Vindmað*) – Słowianin, Wend. Wikingowie używali tej nazwy na określenie Słowian Zachodnich, szczególnie nadbałtyckich. W źródłach nie zachowało się skandynawskie określenie Słowian Wschodnich, gdyż słowiańscy mieszkańcy Rusi nie mieli poczucia własnej wspólnoty, tak więc i przybysze z Północy nie widzieli w nich jednego ludu. Mieszkańców wschodniej Europy określali, używając nazw poszczególnych plemion czy krain. Z uwagi na wiedzę i przyzwyczajenia dzisiejszego Czytelnika rozciągam pojęcie Vindmadów na wszystkich Słowian, także Wschodnich, którzy pojawiają się w tej książce. Zabieg ten ma pewne historyczne uzasadnienie: Ainar, pochodzący z Norwegii, rzeczywiście mógł w taki sposób określać słowiańskich mieszkańców Glaesiru i Gardariki, dostrzegając ich kulturowe podobieństwo ze znanymi sobie Wendami, czyli Słowianami Zachodnimi.

**visa** (od stskand. *vísa* – strofa) – szereg strof o ujednoczonym metrum, który tworzą utwór o jednym temacie.

**Volos** – ruska/wareska wersja słowiańskiego boga płodności i magii Wołosa/Welesa.

**Wagadou** (z języka ludu Soninke: Kraj Ludzi) – państwo bardziej znane jako imperium Ghany (patrz: ghan), od VII lub VIII do XI wieku panujące nad dużymi obszarami zachodniej Afryki (zach. Mali i wsch. Mauretania). Potęgę zawdzięczało m.in. transsaharyjskiemu handlowi, w którym było ważnym partnerem kupców arabskich. Ainar, jako Skandynaw, nic nie wiedział o tym państwie i – podobnie jak wszystkie inne afrykańskie krainy – nazywał je Blandem.

**Wertragna** (wed., awest.) – bóg mitologii awestyjskiej (perskiej) i wedyjskiej (indyjskiej), który był obrońcą bogów. Jednym z dziesięciu jego wcieleń był Szalony Odyniec, który w szale miażdżył wrogów kopytami. Bóg ten pojawia się w wielu mitologiach z kręgu indo-irańskiego. Wszędzie jest pogromcą zła. W podaniach awestyjskich broni boga Mitry. W Iranie po reformie zaratusztrańskiej stał się pomocnikiem (jako Bahram) jednego z Amszaspandów o imieniu Ardibeheszt. W powieści Wertragna jest oddzielnym bogiem, Szalonym Odyńcem, znanym już tylko nielicznym kapłanom i kupcom z Indialandu.

**Wschód** – patrz: Austrveg.

**Wyspa Englarów** – Anglia.

**Yggdrasill** – w mitologii nordyckiej drzewo świata, na którym ofiarę z samego siebie złożył Odyn

(w świecie *Skalda*: Gölfnir). Jego nazwa oznaczała dosłownie Straszny Rumak lub Wierzchowiec Straszny (boga Ygga) i odnosiła się do koncepcji demonicznego rumaka, który przenosi swojego jeźdźca do krainy śmierci. Jego inna nazwa brzmiała Laerad – i ta jest używana w powieści na określenie świętego drzewa w Treborgu.

**zekier** – pierścień łuczniczy. Chronił kciuk, którym naciągano cięciwę łuku refleksyjnego, dzięki czemu strzelec mógł oddać więcej strzałów. Wynalazek ten był bardzo popularny wśród wschodnioeuropejskich koczowników.

## Przypisy

[1] Opisy dawnych (staroskandynawskich, starosłowiańskich, turkotatarskich i innych) terminów, nazw ludów, nazw miejsc itd. znajdują się w słowniczku na końcu książki. Umieszczenie punktów geograficznych można sprawdzić na mapach na początku książki. Obserwacje poczynione z punktu widzenia muzułmańskiego podróżnika, a dotyczące niektórych występujących w powieści państw i ludów (oraz ich wierzeń i obyczajów), zawiera dodatek *Alego opisanie świata*, umieszczony na końcu książki (przyp. red.).

[2] Nazwa należącego do Skalda miecza Kvernbita oznaczała Gryzący Kamień (przyp. red.).

[3] Dosłownie po staroskandynawsku: „wrona domaga się” (przyp. aut.).

[4] Gałęźniki – młode ptaki, które opuściły już gniazdo, ale jeszcze nie umieją samodzielnie latać, więc ukrywają się w gałęziach drzew (przyp. aut.).

[5] Snekkja (stskand. *snekkja*) – dosłownie: długi, cienki przedmiot wystający z wody (przyp. aut.).

[6] W owym czasie skandynawska setka oznaczała 120 sztuk. Cała armia liczyła więc 260 ludzi (przyp. aut.).

[7] Rum (stskand. *rúm*) – przestrzeń między ławkami wioślarskimi (przyp. aut.).

[8] O ucieczce słońca przed wilkiem patrz hasło Sol w słowniczku na

końcu książki (przyp. red.).

[9] Robione właśnie z końskiego włosa buńczuki były nie tylko ozdobami, ale i oznakami władzy (przyp. aut.).

[10] Pogańscy Skandynawowie uwielbiali jeść koninę, a niekiedy składali też konie w ofierze bogom. Spożywanie końskiego mięsa, uważane za relikw pogaństwa, było tępione w czasach chrześcijańskich, ale pozostało popularne, chociażby na Islandii (przyp. aut.).

[11] Na terenach stepowych ludność rolnicza osłaniała się przed koczownikami, wznosząc długie, wijące się w terenie (stąd być może określenie „żmijowe”) wały, którymi otaczano nie tylko osiedla, ale i ziemie uprawne (przyp. autora).

[12] Według północnych wierzeń karły żyły pod ziemią i rodziły się z kamieni. Dlatego Ainar nazywa czasem Mōdula „synem kamieni” (przyp. aut.).

[13] Hangagud, jako bóg wisielców, miał w zwyczaju zjawiać się pod szubienicą i rozmawiać z powieszonymi (przyp. aut.).

[14] *Koran*, sura II, werset 191, przekład i komentarz Józef Bielawski, Warszawa 1986.

[15] *Víga Göllnir* (stskand.) – dosłownie: „Göllnir zabójca”, albo „Göllnir wojownik” (przyp. aut.).

[16] Przekleństwo do dziś używane na Islandii. Wypowiadane w podobnych okolicznościach, co polskie „kurwa”, choć dosłownie znaczy „idź do diabła” lub „idź do piekła” (także w rozumieniu Hel – staronordyckiej krainy zmarłych) (przyp. aut.).

[17] *Eigi ein hama* (stskand.) – dosłownie: „niemający jednego kształtu” (przyp. aut.).

[18] Czyli „synem Tirusa” – Skandynawowie używali patronimikonów, czyli „odojcowskich” określeń pochodzenia, dodając końcówki *-son* („syn”) lub *-dottir* („córka”) do imienia ojca (przyp. red.).

[19] I rzeczywiście. W latach 964-967 władca Kaennugardu (Kijowa) Sviatisleif (Światosław) zorganizował długotrwałą wyprawę, w której wyniku znacznie rozszerzył na wschodzie granice Rusi Kijowskiej. Podbił między innymi państwo Bulgarów i zniszczył kaganat Chazarów. Także tereny, na których rozgrywa się akcja tej powieści, znalazły się wtedy pod kontrolą Rusów (przyp. aut.).

[20] Czym różniła się meykoning od drottingi, patrz hasło „drottinga” w słowniku na końcu książki (przyp. red.).

[21] Dodatek ten powstał, by ułatwić Czytelnikowi orientację w mnogości ludów przedstawionych w książce. Choć Ali objaśnia w nim także rzeczy zrodzone w umyśle autora powieści, bazuje przede wszystkim na rzeczywistych relacjach arabskich podróżników z X wieku. Wiele informacji tu zawartych pochodzi od takich arabskich geografów jak ibn Fadlan, ibn Hurdadbeh czy ibn Rosteh. Dodatkowo Ali korzysta ze skandynawskich czy słowiańskich nazw, które zasłyszał podczas swoich licznych wędrówek. (Wszystkie przypisy do *Alego opisanie świata* pochodzą od autora).

[22] Morze Vaeringów (Wareskie) – tak, zwłaszcza w źródłach łacińskich, nazywano Morze Bałtyckie.

[23] Bahr al-Hazar – Morze Chazarów, zwane też w książce Morzem Tattarów. Chodzi o Morze Kaspijskie.

[24] Oczywiście Wołga, bo nią właśnie jest Itil, nie łączy bezpośrednio Morza Bałtyckiego z Kaspijskim, ale była najdłuższym etapem rzecznej drogi handlowej między tymi akwenami. Jej źródła leżały niedaleko jeziora Ilmeń i słynnego skandynawskiego grodu Holmgardu, skąd rzeką Wołchow

można było dopłynąć do jeziora Ładoga, a stamtąd już tylko krótki rejs Nową dzielił podróżnika od Zatoki Fińskiej. Była to jedna z dwóch (obok tej prowadzącej nurtem Dniepru) najważniejszych tras handlowych wschodniej Europy, dzięki której na Północ docierały dobra z krajów arabskich.

[25] Obie nazwy odwołują się do Skandynawii. Pierwsza jest określeniem arabskim (zaczepniętym z *Biblii*), druga wywodzi się ze starożytnych greckich opisów podróżniczych (Pyteasz z Massalii i inni). Wraz ze wzrostem wiedzy geograficznej Thule, tak jak i kraj Goga i Magoga, były systematycznie przesuwane poza granicę poznanego świata.

[26] Wszystkie te imiona odnoszą się do Odyna, który w mitologii skandynawskiej posiadał około 200 imion. Więcej o tym pisałem w dodatku do *Karmiciela kruków*.

[27] Arabska nazwa Rusów zamieszkujących głównie Ruś Kijowską (ówczesne Gardariki). Arabowie nazywali tak zarówno Słowian, jak i Wąregów na służbie ruskich władców.

[28] Właśnie ta druga koncepcja prerogatyw Trzygłowa (Trigelava) dominuje w nauce. Głowa jest jednak uniwersalnym symbolem mądrości w kulturach indoeuropejskich, a jak wiadomo, „co trzy głowy to nie jedna”. Pomysł, że Trzygłów był bogiem mądrości, który spogląda w przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, wydaje mi się całkiem prawdopodobny.

[29] To zmyślony przez autora gród, którego staronordycką nazwę (*Dýrargarðr*) należy tłumaczyć jako Zwierzęcy Gród.

[30] Tym, którzy zechcieliby szukać tych krain na mapach średniowiecznej Europy, podpowiem: nie warto. Nie znaczy to jednak, że zostały całkiem zmyślane. Istniały bowiem w skandynawskiej tradycji i opisuje je kilka islandzkich sag. Badacze nie umieją powiedzieć, czy krainy te miały jakiś historyczny pierwowzór i gdzie mogły leżeć. Dlatego tworząc świat

powieści, związałem je z wareskimi państewkami handlowymi, które w owym czasie powstawały wzdłuż najważniejszych rzek Rusi. Waregowie w X wieku niemal zmonopolizowali handel rzeczny wschodniej Europy i znani byli z zakładania silnych ośrodków grodowych nad Wołgą i Dnieprem. Za bardzo prawdopodobne uważam więc, że jeśli Glaesir i Odainsak miały jakieś historyczne pierwowzory, były nimi właśnie handlowe ośrodki Vaeringów na bogatym Wschodzie.

[31] Również ten gród zrodził się w wyobraźni autora. Jego staronordycka (*Tré-borg*) nazwa oznacza Drzewny Gród.

[32] Historyczne miasto, odgrywające znaczną rolę w handlu wschodnioeuropejskim. Bułgarów, którzy swoje siedziby mieli nad Wołgą i Kamą, należy odróżniać od ich krewniaków, Bułgarów żyjących nad Dunajem.

[33] I pozostaje taki nawet dla współczesnych uczonych. Z pewnością był to lud pochodzenia ugrofińskiego, kulturowo podobny do przodków dzisiejszych Finów i Estończyków (Skandynawowie nazywali wszystkie odłamy Ugrofinów mianem Bjarmalandczyków). Część badaczy identyfikuje ich z mordwińskim plemieniem Moksza, choć prawdopodobnie powstałi z przemieszania się Mokszań z irańskimi Alanami. Wydaje się, że arabscy geografowie używali nazwy „Burdasi” na określenie ludności mordwińskiej (czyli także ugrofińskiej), żyjącej w okolicach środkowej Wołgi. Dla uproszczenia przyjąłem podobne stanowisko w swojej powieści, nie wprowadzając dodatkowego podziału na Mokszań (żyjących między Samarą a środkowym biegiem Wołgi) i mieszkających dalej na północ Erzian.

[34] Jomali – staronordycka nazwa fińskiego boga Jumala, znanego również wśród nadwołżańskich Ugrofinów. Pierwotnie odnosiła się do boga nieba, potem używano jej też do określenia każdego boga, w tym chrześcijańskiego i muzułmańskiego.

[35] Tak źródła arabskie określały plemiona turko-tatarskie, często rozciągając ten termin na wszystkich koczowników.

[36] Chazarowie stworzyli bardzo silny kaganat na terenach między Morzem Czarnym a Kaspijskim. Władali dolną Wołgą, przez co kontrolowali znaczną część handlu we wschodniej Europie. Odegrali bardzo ważną rolę w historii Rusi. Według opinii różnych historyków podporządkowali sobie Bułgarię nadwołżańską, ściągali daniny od słowiańskich plemion (Wiatyczów, Radymiczów), a nawet Pieczyngów i innych koczowników. Kres istnienia kaganatu położyła w latach 965-967 wyprawa Światosława, władcy Rusi Kijowskiej.

[37] Dokładnie nie wiadomo, kiedy kagan Chazarów Bułan przyjął wiarę mojżeszową. Prawdopodobnie stało się to między połową VIII a połową IX wieku. Judaizm stał się wtedy religią elit, a w wieloplemiennym państwie Chazarów żyli również muzułmanie i wyznawcy tradycyjnych religii turko-tatarskich.

[38] Radanici – tak źródła arabskie określają żydowskich kupców.

[39] Jest to dobrze znany lud turecki. Oguzowie żyli w X wieku na terenach między Jeziorem Aralskim, Dolną Wołgą, rzeką Ural i Morzem Kaspijskim.

[40] Bagankijczycy to arabska nazwa Pieczyngów. Był to koczowniczy lud turecki (lub związek kilku plemion) zamieszkujący stepy nad Morzem Czarnym i Morzem Kaspijskim. W X wieku byli utrapieniem całej Rusi. W XI wieku zostali pobici i wyparci znad Wołgi przez inny koczowniczy lud – Połowców.

[41] Wojłok – rodzaj filcu wyrabianego z ubitej wełny i zwierzęcej sierści.

[42] Wśród ludów tureckich przeważała wiara w jedyne boga nieba – Tengriego (lub Tangra). Ich pierwotne wierzenia określa się często jako mieszankę animizmu z szamanizmem.